Dolly Parton
Bóg miał powody, by ją stworzyć
▶30

Trudny emocjonalnie
Jak pracuje się z Tuskiem
▶8

WYSOKIE OBCASY
Bruce i Emma Heming Willis
W zdrowiu i chorobie, w dobrej i złej doli

FOT. RON DAVIS/GETTY IMAGES, FEATUREFLASH PHOTO AGENCY / SHUTTERSTOCK

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Kim są katecheci
i czego właściwie uczą dzieci na religii
▶11

RYS. JACEK GAWŁOWSKI

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o. nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 04>

Wrzesień '39
11 linijek w niemieckim podręczniku ▶43

Im gorzej, tym twardsi
Dlaczego Rosja nie ustępuje ▶16

Jan Klata
podgląda carycę Katarzynę ▶4

▶3

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 24-29 stycznia 2026 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 19.11118, 2 Nakład 75 tys. + 317 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 86b7bc0612

Agnieszka Kublik

Niewierny Pierwszej Damie

Marta Nawrocka nie zamierza być Pierwszą Damą bez własnego celu i planu. Pomysł na siebie zaprezentowała już trzy miesiące po zaprzysiężeniu męża na prezydenta. Powołała Fundację „Blisko Ludzkich Spraw", by walczyć z hejtem, zagrożeniami w sieci, wspierać niepełnosprawnych i wyrównywać szanse. „Mocno liczy", że „dzięki fundacji narodzi się mnóstwo dobra", to „jej misja i zadanie".

To doskonałe zajęcie dla Pierwszej Damy – bycie ambasadorką antyhejtu. Napędza ją zresztą własna historia – córka państwa Nawrockich, ośmioletnia Kasia, odczuła na własnej skórze, co to znaczy, gdy w internecie szaleją łajdacy z dostępem do klawiatury. Jej niewinne, pełne wdzięku zachowanie na wieczorze wyborczym taty stało się dla nich pretekstem do durnych, poniżających i grubiańskich komentarzy. „Zesrała się?" – brzmiał wpis pewnej nauczycielki.

Czy według prezydenta to, co hejterzy pisali o jego córce, to „opinie"

Nawrocka pisała wtedy w internecie: „Zatrzymajmy się na chwilę i pomyślmy, jak słowa mogą ranić Zwracam się z więc z prośbą do Państwa: chrońmy najmłodszych, pozwólmy im cieszyć się najpiękniejszymi momentami w ich życiu".

Gdy więc prezydent miał zdecydować, co zrobić z unijnym akt o usługach cyfrowych – Digital Services Act, który mógł pomóc między innymi w walce z internetową nienawiścią – 132 ekspertów apelowało do Pierwszej Damy, by wpłynęła na męża planującego weto. Tłumaczyli jej, że od tej decyzji zależy, czy najmłodsi dostaną w internecie ochronę. A więc to, na czym rodzinie Nawrockich zależy.

Ale pani Nawrocka nie chciała wpłynąć na męża. Dlaczego? Bo – odpisała na apel – choć „hejt, przemoc słowna, treści szkodliwe czy mechanizmy uzależniające obecne w mediach społecznościowych stanowią realne wyzwanie, zwłaszcza dla najmłodszych i niedoświadczonych użytkowników sieci", to „ocena przedkładanych Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej aktów prawnych należy do wyspecjalizowanych zespołów prawnych".

Nawrocki ustawę zawetował. Nie podpisał prawa, choć Nawrockiej bardzo pomogłoby pełnić ważną misję. Tłumaczył, że to „nadregulacja" unijnych przepisów i bronił prawa Polaków do „możliwości dzielenia się w sieci swoimi opiniami". Ale czy to, co pisali o jego córce, to nie były „ich opinie"?

To Trump pilnuje interesów tych korporacji, które zarabiają krocie na X, TikToku, Facebooku, Instagramie i całej reszcie napędzanych algorytmami serwisów społecznościowych. I to Trump broni prawa Amerykanów do bezkarnego rozsiewania kłamstw.

Czyli prezydent Nawrocki jest wierny prezydentowi Trumpowi i niewierny Pierwszej Damie?

Hejt sobie kwitnie, a będzie jeszcze gorzej. Marta Nawrocka będzie miała ręce pełne roboty. Tylko czy tak się „rodzi mnóstwo dobra"? ●

Ukraina
Wkrótce zrobi się cieplej

FOT. PAP/EPA/MYKOLA TYS

Na lwowskim podwórku stanęło kolorowe igloo. Mieszkańcy postanowili znaleźć dzieciom zajęcie i umilić długie wieczory. Pomysł podchwyciło wiele lwowskich rodzin. Ukrainę skuła zima z mrozami -20 stopni, więc Rosjanie intensywnie atakują infrastrukturę energetyczną. Na Pomagam.pl trwa zbiórka na generatory pod hasłem „Ciepło z Polski do Ukrainy".

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Veronika
Krowa dogania szympansy

Veronika to długowieczna krowa rasy szwajcarskiej brunatnej, opiekuje się nią Witgar Wiegele – rolnik ekologiczny, który traktuje zwierzęta jak członków rodziny. Zauważył ciekawe zachowanie u Veroniki. Zaczął ją nagrywać.

Jeden z filmików trafił do Alice Auersperg z Uniwersytetu Medycyny Weterynaryjnej w Wiedniu. – Od razu wiedziałam. To znaczący przykład użycia narzędzi u gatunku rzadko rozpatrywanego z perspektywy poznawczej.

Na nagraniu biolożka zobaczyła, jak Veronika podnosi patyk i używa go do drapania się. Auersperg i jej współpracownik Antonio Osuna-Mascaró, przeprowadzili testy behawioralne. Kładli na ziemi szczotkę do szorowania, za każdym razem inaczej. – Veronika wykorzystuje różne części narzędzia do różnych celów i stosuje odmienne techniki w zależności od funkcji narzędzia i obszaru ciała – zwraca uwagę Osuna-Mascaró.

Veronika preferowała szczeciniasty koniec szczotki, gdy drapała szerokie,

FOT. ANTONIO J. OSUNA MASCARÓ

twarde obszary, jak grzbiet. Przy drapaniu bardziej miękkich i wrażliwych przechodziła na gładki, drewniany koniec. Drapanie górnych partii ciała obejmowało szerokie, energiczne ruchy, drapanie dolnych partii było wolniejsze, ostrożniejsze i bardziej precyzyjne.

Badacze podkreślają, że tego rodzaju wielofunkcyjne użycie narzędzi jest niezwykle rzadkie i wcześniej zostało przekonująco udokumentowane jedynie u szympansów. ● **Aleksander Gurgul**

• **Więcej ▶ Wyborcza.pl/nauka**

Andrzej rysuje

Cytat tygodnia

W ramach własnego sumienia moralnie dopuszczalne byłoby nieposłuszeństwo

FOT. U.S. AIR FORCE PHOTO/SENIOR AIRMAN KRISTIN HIGH

ABP TIMOTHY BROGLIO
kapelan US Army i US Navy, o udziale żołnierzy katolików w aneksji Grenlandii

Więcej ▶ Wyborcza.pl/swiat

Liczba tygodnia

5,4
PROC.

FOT. PAP/EPA/ALEX PLAVEVSKI

O tyle rósł PKB Chin przez ostatnie 5 lat – pochwalił się wicepremier He Lifeng w Davos. Jeden z najważniejszych współpracowników Xi Jinpinga starał się rozwiać lęk przed chińską ekspansją: – Nadchodzi transformacja: z kraju „fabryki świata" do „światowego rynku" – przekonywał, że Pekin „nigdy nie dążył do osiągnięcia nadwyżek w handlu" i zaprosił zagraniczne firmy do korzystania z siły nabywczej chińskiej klasy średniej.

• **Jak mocno trzymają się Chińczycy – opisuje Dominika Maciejasz ▶ Wyborcza.biz**

eprasa.pl 86b7bc0612

34. finał WOŚP

Cała Polska czekała na Macieja Musiała

– Przepychanki i ich pobudki są dużo mniej wartościowe od tego, że Polacy potrafią się jednoczyć. Tego nam potrzeba – mówi przed finałem WOŚP Maciej Musiał.

Andrzej Kulasek

W niedzielę, 25 stycznia Polska, jak co roku, przybierze kształt serca. Rzecz jasna, czerwonego, bo przed nami 34. finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. W tym roku WOŚP zbiera środki dla gastroenterologii dziecięcej. Do pobicia jest rekord z poprzedniej zbiórki, kiedy zebrano 289 mln zł, a walnie do tego może przyczynić się aukcja, którą zaproponował Maciej Musiał.

„Wybiorę się z Tobą (albo osobą, dla której wylicytujesz aukcję) na studniówkę, wesele znajomych lub domówkę. Zatańczymy sobie razem poloneza. Mogę być w oryginalnym stroju z filmu »Pan Tadeusz«. Ale jeśli chcesz, może być garnitur" – zachęca aktor.

W zeszłym roku jego propozycja – sprzątanie w rytmie przeboju „Explosion" – była hitem orkiestrowych licytacji. W tym roku polonez też cieszy się ogromną popularnością. Skąd popularny aktor bierze pomysły i jak wspomina swój pierwszy finał WOŚP?

• Maciej Musiał zaprasza do poloneza. Okoliczności dowolne!
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Z **MACIEJEM MUSIAŁEM**
ROZMAWIA **ANDRZEJ KULASEK**

Mam wrażenie, że jeśli chodzi o WOŚP, to cała Polska czeka przede wszystkim na to, co Maciej Musiał wystawi na aukcję.
– Myślisz, że tak było? W zeszłym roku rzeczywiście miałem fajny pomysł, ale chyba bez przesady z czekaniem.

Choć trzeba przyznać, że masz konkurencję nielichą w postaci nocowanki od Julii Wieniawy.
– Moim zdaniem Julia w tym roku wygrywa.

Tak? Tak od razu uznajesz za pokonanego?
– Tak, oddaje jej tegoroczny puchar „znakomitego pomysłu".

Twój też jest świetny. Skąd je bierzesz? Sam wymyślasz? Tak siadasz po prostu i główkujesz, co by było dobre?
– Pomysły przychodzą mi do głowy cały czas. Chociaż przyznaje, że odrobinę czułem presję po zeszłorocznej aukcji. Miałem sporo różnych pomysłów, ale stanęło na tym polonezie. To chyba konsekwencja tego, że jestem zmęczony wszechobecną sztuczną inteligencją, a ten polonez, strój Pana Tadeusza i osiedlowy sklep wydały mi się tak abstrakcyjne, że uznałem, że to będzie to.

A co ci jeszcze chodziło po głowie oprócz poloneza?
– Megadurne pomysły, naprawdę. Tak durne, że nie będę się chwalił. Ale jestem też dobry w wymyślaniu czegoś dla innych.

Komuś podsunąłeś pomysł na aukcję?
– Na przykład Piotrowi Adamczykowi, żeby wystawił na licytację dzień z nim w roli papieża. Ale się nie zdecydował. Tomasz Karolak mógłby zaśpiewać komuś na podjeździe „Zabiorę cię właśnie tam" – to w przypadkach, gdy mąż coś przeskrobie, w ramach przeprosin. Jurorzy „Tańca z gwiazdami" mogliby zjawić się u kogoś na domówce i oceniać tańczących na parkiecie. Ale widzisz, na nocowankę nie wpadłem. Ale trafiła w dobre ręce! Zresztą, ja nie mówię ostatniego słowa, mamy jeszcze trochę czasu do finału WOŚP [rozmawialiśmy 19 stycznia]. Piłka w grze!

A skąd w ogóle taka inicjatywa, skąd pomysł, żeby zagrać z WOŚP?
– Uważam, że najbardziej patriotyczne, co teraz możemy zrobić, to depolaryzować i łączyć się wokół wspólnych idei. Wydaje mi się, że WOŚP jest ideą bardzo wyjątkową, i to w skali globalnej. Nie wiem, czy jakiś inny kraj ma podobną akcję. Zdaję sobie sprawę, że wokół Orkiestry są jakieś przepychanki, nierzadko polityczne, ale myślę, że trzeba to odczarowywać i nas wszystkich łączyć. Jeżeli będziemy umieli być razem, nauczymy się tej wspólnotowości, to będziemy silniejsi jako naród. A dzisiaj w czasach globalnych niepewności potrzebujemy tego szczególnie i myślę, że jesteśmy w stanie to zrobić... Przepraszam [nagle w tle rozlega się czyjś głos]. Słyszałeś? Jakaś pani przechodząca obok mnie powiedziała, że zatańczyłaby ze mną poloneza. Ale wracając do tamtej myśli – jestem patriotą, uważam, że Polsce idzie teraz znakomicie, a jedność i wspólnota będą nas tylko pchały do przodu. Warto się jednoczyć.

Te polityczne przepychanki, o których mówisz: czujesz jakiś niesmak, gdy tak się dzieje?
– Nie gadajmy o tym. Już samo komentowanie przepychanek będzie działało na niekorzyść łączenia. Przepychanki i ich pobudki są dużo mniej wartościowe od tego, że Polacy potrafią się jednoczyć. Tego nam potrzeba.

To zapraszam do poloneza i wracamy do twojej aukcji. Oto ona: „Wybiorę się z Tobą (albo osobą, dla której wylicytujesz aukcję) na studniówkę, wesele znajomych lub domówkę. Zatańczymy sobie razem poloneza. Mogę być w oryginalnym stroju z filmu »Pan Tadeusz«. Ale jeśli chcesz, może być garnitur". Dobrze tańczysz?
– Dobrze. Jestem dobrym tancerzem, czuję flow, mam luz. Jak ze mną tańczysz, to się po prostu dobrze bawisz.

Ale w „Dzień dobry TVN" zatańczyć z prowadzącą Sandrą Hajduk nie chciałeś. Bo nie licytowała?
– Otóż to. Wtedy to przestałoby być wyjątkowe!

Deklarujesz, że przez resztę wieczoru będziesz towarzyszył osobie, która wygra licytację, że nie musi być studniówka czy impreza, a taniec „możesz strzelić pod osiedlowym sklepikiem" i jeśli zajdzie potrzeba, znasz kawałek inwokacji. I co, będziesz tak stał w tym stroju, nie wiem, pod Żabką i deklamował: „Litwo! Ojczyzno moja!"?
– Oczywiście. Choć nie inwokację. Kiedy zdawałem do szkoły teatralnej, wybrałem fragment z „Pana Tadeusza", w którym Tadeusz przeciska się przez szuwary i wpada na Zosieńkę. Ten fragment jestem w stanie powiedzieć. A że do szkoły teatralnej się dostałem, to jeśli ktoś się jeszcze waha, to może to przechyli szalę!

A ile się spodziewasz zebrać? Z jakiej kwoty byłbyś zadowolony?
– Nie, nie mam żadnych konkretnych oczekiwań czy szacunków, oczekiwania nie są dobre dla głowy. Jestem już zadowolony [na 20 stycznia stan licytacji wynosi 50 tys. zł], na pewno będzie dobrze.

Faktycznie, już jest nieźle.
– Wiesz, fajnie byłoby utrzeć nosa Julii. Ale to może być trudne, bo sam bym licytował to, co wystawiła.

Ty masz takie taneczne oferty głównie, teraz polonez, rok temu sprzątanie w rytmie „Explosion" Kalwi & Remi.
– Kocham tańczyć. Organizuję potańcówki, dawny zwyczaj dancingów [międzypokoleniowe dancingi organizowane są przez aktora w różnych miastach], teraz będzie seria w Hotelu Bristol. Myślę, że Polacy mają bogatą taneczną tradycję, a taniec sprawia, że niezależnie od wieku życie staje się piękniejsze. Polonezy, mazury, „Explosion" – wiesz, to się wszystko łączy w jedną całość.

W ogóle skąd to „Explosion"?
– Dwa lata temu wystawiłem na aukcję, że zawiozę kogoś samochodem na kebaba i w głośnikach będzie leciała „Donda" Kanye Westa. W tym kawałku powtarza się tylko jedno słowo, „donda" właśnie, i uznałem, że to będzie całkiem zabawne. Ale mało kto kojarzył ten utwór, więc nie do końca wypaliło. Dlatego przy następnym finale WOŚP uznałem, że muszę wybrać taki, który wszyscy znają. Potem zrobiłem sobie zdjęcie z tymi wszystkimi akcesoriami do sprzątania, uznałem, że to fajnie zilustruje aukcję, i przypomniałem sobie, że Andrzej Chyra kiedyś wystawił też sprzątanie komuś chaty. A wybór kawałka? W pewnym wieku – teraz mam ponad 30 lat i się trochę pozmieniało – kwintesencją szczęścia była dla mnie taka sytuacja: pierwsza w nocy, jestem na parkiecie, po prawej siedzi mój najlepszy ziomek, po lewej drugi mój najlepszy ziomek i leci „Explosion". To była kwintesencja radości. W pierwotnej wersji aukcji „Explosion" po prostu miało lecieć w tle, a dzień później Kalwi & Remi sami zaproponowali, że dołączą na żywo.

Sprzątałeś ostatecznie w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie na oddziale onkologii. W nagraniu przed wejściem na oddział mówiłeś, że to sprzątanie będzie miało charakter symboliczny, bardziej chodzi o to, żeby pobyć z tymi dzieciakami, umilić im czas. Ale to chyba nie było takie proste zadanie? To jest takie miejsce, gdzie człowiek zaczyna przewartościowywać chyba różne rzeczy?
– Tak, to było raczej spotkanie z tymi małymi pacjentami w formie znacznie bardziej spokojnej, wyciszonej, niż wynikałoby z opisu aukcji. Dzieci były szczęśliwe, że akcja, którą one kojarzyły z internetu, w jakiś szczęśliwy sposób trafiła do nich, i poczuły się wyróżnione. I wzruszone, ale my też byliśmy wzruszeni. Może i liczyłem na jakąś piękną milionerkę, ale najważniejsze, że dobro zatoczyło koło.

WOŚP zagrała pierwszy finał w 1993 roku, ty urodziłeś się dwa lata później. Pamiętasz swój pierwszy finał w ogóle? Taki świadomy.
– Pamiętam. W szkole zbierałem pieniądze do puszki, też dla punktów do egzaminu szóstoklasisty. Można było uzyskać punkty za aktywność społeczną, liczyło się to podczas rekrutacji do szkoły średniej. Czy wzruszałem się wtedy ideą podobnie jak dziś? Nie wiem. Chyba jeszcze do końca jej nie rozumiałem. To przyszło dopiero później. Ale w tym czasie grałem już w „Ojcu Mateuszu" i byłem w studiu TVP podczas finału. I zobaczyłem na żywo zespół Łąki Łan... To był czad. Zakochałem się wtedy w Łąki Łan.

Miałem na koniec zapytać, że ponieważ WOŚP będzie grać do końca świata i o jeden dzień dłużej, to czy też już planujesz swoje kolejne aukcje, ale już wiemy, że nie chcesz zdradzać pomysłów...
– Ja chyba założę kiedyś dom aukcyjny i tam się będę realizował. ●

eprasa.pl 86b7bc0612

TEMAT NUMERU

Ty wstaniesz do hymnu?

Katolicko-patriotyczna Targowica śpiewała: „Żeby Polska była Polską” sto lat przed Pietrzakiem

Z REŻYSEREM **JANEM KLATĄ*** ROZMAWIA **MICHAŁ OLSZEWSKI**

O, idą, całkiem dobrze ich stąd widać.
– Żołnierze do zmiany warty? Odmierzam nimi czas. Tak, okna gabinetu akurat wychodzą na Plac Piłsudskiego, więc mogę regularnie patrzeć, jak paradują. W ogóle bardzo dużo stąd widać.

Jak się czujesz w centrum imaginarium polskiego?
– Wspaniale. Urodziłem się kilkaset metrów stąd. Jestem w moim rodzinnym mieście, u siebie, pomiędzy Grobem Nieznanego Żołnierza, pomnikiem Józefa Poniatowskiego, sercem Chopina, miejscem, gdzie zginął Krzysztof Kamil Baczyński. Miałem zaszczyt zostać dyrektorem teatru założonego przez Stanisława Augusta Poniatowskiego, głównego bohatera pierwszej sztuki, jaką tu wystawiam.

Na dodatek mam widok pełen kontrastów, nabrzmiałe znaczeniami: papieski krzyż, smoleńskie śliskie schody, wykopki Pałacu Saskiego, Piłsudski pilnuje parkingu, a szybcy i wściekli bardzo lubią w weekendy urządzać tu wyścigi grzmiącymi samochodami. Mają do dyspozycji bardzo fajny łuk na ul. Wierzbowej. Aż szyby się trzęsą.

Pytanie: jak długo?

W jakim sensie? Dopiero wprowadziłeś się do gabinetu dyrektora Teatru Narodowego.
– Jak długo imaginarium zostanie nienaruszone. Przecież kiedyś tu był Sobór Aleksandra Newskiego, nieprawdaż? Coś się jednak najprawdopodobniej musi zdarzyć, atmosfera jest oczywista, co czuć nawet w teatrze, gdzie mamy nieustannie szkolenia na wypadek alarmu, nie tylko przeciwpożarowego.

I z tego powodu wszedłeś do tej samej rzeki? „Termopile polskie” Tadeusza Micińskiego, opowieść o śmierci Józefa Poniatowskiego w Elsterze, wystawiałeś już w 2014 roku we Wrocławiu w Teatrze Polskim.
– Wszedłem do tej samej rzeki w zupełnie innym miejscu. Politycznie, społecznie jesteśmy gdzie indziej. Nurt teraz bardziej wartki.

Pewne sensy zawarte w dziele Micińskiego, kiedyś uznawanym za hermetyczne i niezrozumiałe, dzisiaj stały się wyjątkowo czytelne.

Które? „Termopile polskie”, opowieść o Polsce, którą obce potęgi gumkują z mapy Europy, stały się dramatem przedwojennym? Tonący Książę jest metaforą, ostrzeżeniem?
– Moim obowiązkiem jest rozważanie scenariuszy rozwoju wydarzeń wynikających z przeszłości naszej ojczyzny. Wystarczy kończący spektakl „Grób Agamemnona” recytowany przez Jana Frycza albo Janusza Radziwiłłowicza, którzy na zmianę grają Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Widziałem finał w wykonaniu Jana Frycza i przyznaję, że miałem ciarki – nie myślałem, że tak można wskrzesić Słowackiego. Na dodatek ostatni król Polski ma na sobie folię termiczną, taką jak uciekinierzy z Ukrainy w 2022 roku albo uchodźcy wyławiani z morza.
– Tak, nałożyliśmy mu na barki płaszcz uchodźczy zamiast gronostajów. A potem zapadnia z królem

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Jan Klata**

- Rocznik 1973. Jeden z najwybitniejszych polskich twórców teatralnych, laureat kilkudziesięciu polskich i zagranicznych nagród teatralnych, m.in. Nagrody im. Konrada Swinarskiego i Europejskiej Nagrody Teatralnej. Od września 2025 roku dyrektor Teatru Narodowego w Warszawie. Jest ojcem trzech córek i mężem Justyny Łagowskiej, scenografki i reżyserki

- „Termopile polskie” Tadeusza Micińskiego to pierwsza sztuka, którą Klata wystawił w Narodowym. Premiera odbyła się 22 listopada i zbiegła z 260. rocznicą powstania Teatru Narodowego.

eprasa.pl 86b7bc0612

zjeżdża do Hadesu. Zostaje skrwawiony moczar naszej – tej gorszej – części Europy. I tyle.

Ale wcześniej widzimy pole bitwy z rannymi żołnierzami. Stoją o kulach, dookoła nosze, a oni proszą o konie, żeby dalej walczyć. Tylko że tam już nie ma żadnych ludzi. Mieliśmy taki pomysł, żeby w tych bruzdach położyć ciało Józefa Poniatowskiego, ale to też nie było konieczne. W puencie tekstu Micińskiego otwiera się przestrzeń nieludzka i nie trzeba tam nic dodawać. Wystarczą nasze środkowoeuropejskie mgły wiecznolistopadowe, które czule otulą wszystko.

Ale Putin w spektaklu występuje. Nogi u wejścia do teatru wycieramy o kartony z jego podobizną.
– Włodzimierz Włodzimierzowicz ciężko na to zapracował. Ale zaniepokoiła mnie krótka rozmowa przed jednym ze spektakli. Podszedł do mnie mężczyzna, widz, nadzwyczaj wzburzony. I cisnął mi w twarz: „Bardzo głupi pomysł z Putinem, bardzo głupi".

Chciałem zapytać, dlaczego wycieraczka z podobizną ludobójcy jest głupim pomysłem, ale widz poszedł dalej ze swoim oburzeniem. Zdążyłem tylko przeprosić jego plecy za urażenie uczuć religijnych.

„Termopile polskie" nie są pisaną ku pokrzepieniu serc opowieścią o bohaterstwie Józefa Poniatowskiego, który być może tonie dlatego, że Francuzi we mgle mylą go z Kozakiem. Nie ma tu nic pokrzepiającego. To jest opowieść o zdradzie, Targowicy, partii rosyjskiej, królu, który uważa, że Polskę uratować może jedynie Rosja. Miciński postanowił nasze Termopile zamknąć w klamrze pomiędzy Kaniowem, symbolem poniżenia Rzeczpospolitej, i Elsterą, czyli miejscem wielkiej ofiary.
– Raczej między Elsterą a Kaniowem, bo przecież ten spektakl jest jak puszczony do tytułu film. Opowieść o partii rosyjskiej snuje się przez wieki. Przecież katolicko-patriotyczna Targowica śpiewała: „Żeby Polska była Polską" sto lat przed Pietrzakiem!

Jeśli chodzi o królewską zdradę, jestem ostrożny. Oto zły, gnuśny król, który chce oddać Polskę carycy Katarzynie, a tu jego bratanek, wielki patriota, który dla Polski traci życie? To jest zbyt łatwa wizja, daleka od historii i chyba też od wyobrażeń Micińskiego.

Czy nie nadgryza tego prostego rozróżnienia absurdalność śmierci Józefa Poniatowskiego? Owszem, pod Lipskiem był ranny, owszem, przeprawiał się przez bagnistą rzeczkę – przepraszam: nurty Elstery – i tam go dobił friendly fire Francuzów. Jego – jedynego do dzisiaj obcokrajowca, który został marszałkiem wojsk francuskich.

A żeby jeszcze bardziej rzecz utrudnić, dodam, że przeciwko Poniatowskiemu walczył marszałek Bernadotte, który otrzymał buławę z rąk Napoleona, a potem go zdradził i przystał do Szwedów, na czym zresztą Szwecja świetnie wyszła.

A ciało Poniatowskiego znaleźli żołnierza marszałka Karla Philippa Schwarzeneberga, któremu nasz Pepi uratował życie, kiedy w młodości wspólnie walczyli w armii austriackiej.

Staram się poruszać w tych ocenach ostrożnie, bo łatwo tu wpaść na minę. Na przykład Kościuszko, uznawany za największego bohatera, do końca życia w Szwajcarii pobierał rosyjską emeryturę i dystansował się od Napoleona. Chyba słusznie się dystansował.

A po śmierci księcia car Aleksander pomógł zbudować jego wielki mit. Zgodził się, żeby miesiąc po jego śmierci niedaleko stąd, w Kościele św. Krzyża, zorganizować mszę żałobną. Za zgodą cara zwłoki księcia trafiły na Wawel.
– Tamta rzeczywistość składała się z dziwnych, skomplikowanych i trudnych dzisiaj do wyobrażenia kosmopolitycznych splotów, na które możemy do dziś rzucić okiem albo uchem. Duńczyk Thorvaldsen wyrzeźbił księcia Pepi jako Rzymianina, a znany hit „Boże coś Polskę" powstał na cześć cara Aleksandra, tego od Kościoła św. Aleksandra. Natomiast kilka dekad wcześniej król Poniatowski zdobywał szlify dyplomatyczne na służbie ambasadora brytyjskiego w Petersburgu, gdzie przytrafiła mu się miłość życia: niejaka Katarzyna ze Szczecina.

Tym, co porusza mnie bardziej u Micińskiego od Elstery, jest wątek spotkania w Kaniowie. Szkoły o nim milczą, a szkoda, bo to niezwykła i wstrząsająca opowieść. Wyprawa króla, który w 1787 roku wybiera się nad Dniepr spotkać się ze swoją dawną kochanką, już głową imperium. Nadzieje, z którymi jedzie.
– Tak, bardzo to wszystko jest piękne i tragiczne. W drodze do Kaniowa król przecież mało nie traci życia, bo podczas przeprawy przez Pilicę załamuje się pod nim lód. Nie topi się, ale gubi buty. Nocuje w stacjach pocztowych i karczmach, czasami idzie pieszo. Podróżuje aż nad Dniepr.

A tam powstaje miasteczko zbudowane specjalnie przez Kubickiego, tego, który projektował część Zamku Królewskiego. Powstaje tam nawet kopia Wezuwiusza, z którego na cześć carycy ma wylecieć grad fajerwerków.

Caryca płynie Dnieprem, autostradą w stronę Krymu, żeby spotkać się z cesarzem austriackim i uzgodnić rozbiór Turcji. Z drugiej strony jedzie bądź idzie przez błota polski król.

Tyle że plan bierze w łeb i kończy się upokorzeniem. Na Katarzynę król Poniatowski czeka sześć tygodni i nawet jak na standardy rosyjskiej dyplomacji jest to oczekiwanie bardzo znaczące. Na dodatek Katarzyna nie wychodzi na ląd, ponieważ – jak celnie zauważa Patiomkin – nie bardzo ma ochotę stawiać stopy na ziemi, która jeszcze formalnie nie jest jej własnością.

To Poniatowski wchodzi na statek. Całe dziewięć godzin tam spędza.

I stamtąd ogląda fajerwerki.
– Skala upokorzenia i lekceważenia niebywała. Wezuwiusz miał być chyba symbolem miłości, która po trzydziestu latach rozpala się na nowo. Tymczasem Katarzyna obejrzała pokaz i udała się do swojej kajuty.

Poniatowski czekał sześć tygodni. Chyba już wiem, skąd ta kremlowska umiejętność przetrzymywania petentów w przedpokoju. Jak zobaczyłem, ile czasu król spędził w Kaniowie, pomyślałem: co to są trzy marne godziny, które wysłannik Trumpa Steve Witkoff spędził w oczekiwaniu na audiencję u Putina? Godna podziwu ciągłość dyplomatyczna.
– Ale są i inne różnice. Zdaje się, że zamiast strzelać fajerwerkami na cześć cara, poszedł coś zjeść, więc chyba czas szybko mu zleciał. Paszteciki z nadzieniem krabowym, prawda?

Nie tylko, jeszcze przepiórki nadziewane kaszą gryczaną w jednogwiazdkowym lokalu Savva. Do tego trzy rodzaje kawioru i dziczyzna. I spacer przez późnojesienną Moskwę, którą emisariusz Trumpa po prostu się zachwycił.
– Kasza gryczana jest bardzo zdrowa. Rzeczywiście, Moskwa potrafi dobrze nakarmić, są liczne przykłady.

Wróćmy nad Dniepr, do Kaniowa. Nie było geostrategicznej ani nawet sentymentalnej rozmowy w cztery oczy, na którą liczył król. Tylko small talk w większym gronie, bez konkluzji, trochę westchnień nad bezlitosnym upływem czasu. Potem król Poniatowski został wysadzony na ląd, caryca popłynęła dalej i nie poczekała nawet na jego imieniny, które były następnego dnia. Doskonale o tym wiedziała. Kilka dni później wysłała mu bardzo miły liścik imieninowy z wyrazami przyjaźni oraz swój portret, o który Stanisław ją prosił. „Podobieństwo do mnie będzie duże" – napisała.

Jestem daleki od prostych porównań historycznych, ale one muszą nasuwać się same. Kniaź Patiomkin u Micińskiego ze swoją wykładnią geopolityki brzmi jak daleki przodek Putina.
– Patiomkin w pewnym momencie mówi do Katarzyny słowa, które dobrze opisują dzisiejsze myślenie Kremla. „Najjaśniejsza Pani, zbudź się w swej olbrzymiej energii i ambicji, którym równych świat nie znał. Hasłem naszym: Wpieriod! My atakujemy, Europa drży i cofa się nazad. Armia 150 tysięcy czeka w Krymie. Drugie tyle w odwodzie. Musimy rosnąć – bo prawem Natury: kto nie może rosnąć – musi się umniejszać". To esencja rosyjskiego myślenia o świecie, obudowana oczywiście różnymi obłymi zastrzeżeniami.

Rosja, jasna sprawa, nie zaatakuje pierwsza, ale jeśli już zostanie sprowokowana, to odpowie z całą mocą. Rosjanie są od stuleci bezustannie prowokowani i w gruncie rzeczy tylko się bronią. W pewnym momencie mogą się zacząć bronić przed Polakami i jakiś Witkoff przyjedzie nas pogodzić.

Możemy się podśmiewać z przepiórek i przedpokojów, ale udało ci się w pigułce pokazać esencję rosyjskiego myślenia o dyplomacji, a może po prostu o świecie. Jest taki moment, kiedy pełen ogłady i rewerencji dla króla kniaź Patiomkin przeistacza się w urkę. Potrafi sprawnie grać na dwóch instrumentach i zmieniać je błyskawicznie. To również wydaje mi się bardzo współczesne.
– Teraz tę brutalność kryminalisty pomieszaną z ogładą dyplomaty widać bardzo dobrze, ale w Rosji jest ona oczywista od zawsze.

Jak przyjechałem w 2008 roku do Moskwy pokazywać „Transfer!", znakomita szefowa jednego z wówczas najważniejszych festiwali w Europie przyjechała po mnie na lotnisko, jak to w Moskwie, ogromnym samochodem terenowym. No i jechaliśmy przez piękną, modernizującą się stolicę imperium, z której wyrafinowana przedstawicielka rosyjskiej inteligencji była bardzo dumna. Słuchałem o kosmopolitycznych wystawach sztuki nowoczesnej, o progresywnych teatrach i szczodrych inwestycjach w niezależną kulturę.

A potem podjechaliśmy na parking ze szlabanem i ten szlaban z jakichś powodów nie chciał się podnieść.

Wyszedł do nas w tej nowoczesnej Moskwie zaspany mężczyzna w walonkach, wyglądał, jakby go wyciągnęli, nie wiem, spod Omska czy jakiegoś przysiółka pod Norylskiem. I ośmielił się zadać pytanie: „Kim pani jest?". W odpowiedzi otrzymał wiązkę jak spod celi, bluzg poleciał z tego samochodu terenowego straszny. Podziałało błyskawicznie: nigdy nie widziałem tak szybko podnoszącego się szlabanu.

Rosjanie potrafią niewątpliwie dobrze grać w upokorzenie, które jest bardzo mocną bronią w dyplomacji, nic się od czasów carycy i Poniatowskiego nie zmieniło.

Ale nie tylko oni. Zełenski pojechał do Waszyngtonu i kazali mu założyć garnitur, europejscy premierzy ćwiczą trudną sztukę gry w golfa i mówienia komplementów do ucha prezydenta USA, który przecież właśnie otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Nie swoją, ale zawsze. A król Poniatowski po takich upokorzeniach pisał do carycy wspaniałe listy.

Z jakichś powodów nie przeszły do historii polskiej epistolografii. „Niech będzie mi wolno powtórzyć dzisiaj, że jeśli Wasza Cesarska Mość ukróciłaby smutną niepewność naszego teraźniejszego położenia, przywiązując nas do swego imperium trwałym więzłem, zapewniającym integralność naszego terytorium i nasz godny żywot, zyskałabyś Pani oddane sobie królestwo, co więcej zjednałabyś sobie na zawsze cały naród, przez najświętsze wyrazy wdzięczności, do czego przekonuje go jego własny interes". 1793 rok. Przecież już widać było kres na horyzoncie.
– „Jego" w tym przypadku odnosi się nie tylko do narodu, ale również do wydatków króla.

Podatków nie chciał płacić nikt, więc duża część obowiązków państwowych realizowana byłą z królewszczyzny. Łazienki, Komisja Edukacji Narodowej, Teatr Narodowy, Szkoła Rycerska – wszystko to kosztowało.

Inna sprawa, że Poniatowski dostał po abdykacji godziwą pensję od Rosji. Mieszkał w Petersburgu i tam został pochowany – w Kościele św. Katarzyny, oczywiście – z honorami, za ogromne pieniądze przez cara Pawła I, który był przekonany, że jest synem polskiego króla.

Pepi u Micińskiego jest upiorem zatrzymanym na chwilę pomiędzy życiem a śmiercią. Ale z dzisiejszej perspektywy to jedna z najjaśniejszych postaci Polski stanisławowskiej. Dzielny, bitny, po stronie przegranej sprawy. Jeden z pierwszych naszych bohaterów romantycznych obok Kościuszki. No i ta śmierć symboliczna.
– Powoli, powoli. Część dowódców go nienawidziła, na przykład Dąbrowski czy Zajączek. Uważali, że urabiają się po łokcie na frontach, a on pędzi żywot playboya. I rzeczywiście potrafił się świetnie bawić, należał do bananowej młodzieży, nawet jak już był podstarzały.

Pepi miał opinię niespokromionego skandalisty, podobno przejechał przez Krakowskie Przedmieście nago, powożąc końmi, bo przegrał zakład.

To budowało mit bawidamka, który imprezuje, podczas gdy inni walczą za wolność waszą i naszą. „Marsz, marsz" Dąbrowski walczył głównie za waszą (na przykład „wyzwalając" Haiti) i liczył, że za zasługi i dzięki znajomościom legionowym będzie pełnił funkcję kluczową w Księstwie Warszawskim. Tymczasem karty przy Napoleonie zaczął rozdawać Pepi.

Zresztą Tonący Książę nie jest u Micińskiego jeźdźcem bez głowy. W pewnym momencie, kiedy wydaje się, że uda się jeszcze ocalić tak zwaną substancję, mówi: „Na Rosję trzeba działać mądrością polityczną – przekonać, iż nie będzie miała w nas wroga, jeśli zostawi w spokoju".

A gdzie indziej trzeźwo zauważa: „Dlaczego my musimy zginąć? Bo jesteśmy głupcy".

Muszę tu zauważyć, że niesamowita jest historia tego mitu. Podobno zaraz po jego śmierci żołnierze opowiadali, że ranny książę coś bełkotał bez ładu i składu o Polsce i honorze, co wydaje się logiczne, jeśli zważyć, w jakim był stanie. Ale już kilka lat później okazało się, że zanim utonął, wypowiedział pełne refleksji bardzo ładne zdanie: „Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go tylko oddam".

Co nie zmienia faktu, że w polskim imaginarium na drugim biegunie stoi król Stanisław August Poniatowski. Zdrajca, który oddaje Polskę Rosji. Tu Elstera, tam Kaniów.
– Nie zgadzam się. Król kalkuluje, a „Termopile polskie" są dla mnie przede wszystkim opowieścią o różnych podejściach do kompromisu. O jego granicach i momentach, kiedy żadna, najbardziej wyrafinowana gra dyplomatyczna nie pomaga, ponieważ stajesz naprzeciwko ściany.

Na scenie Teatru Narodowego założyciela grają na przemian Jan Frycz i Janusz Radziwiłowicz, reprezentanci polskiej inteligencji. Nie idą w parodię wykształciucha, liberała, który nie potrafi się zderzyć z twardą rzeczywistością, tylko – każdy na swój sposób – tworzą postać znacznie bardziej skomplikowaną, która zderza się ze strasznym, krańcowym momen-

Pomiędzy Grobem Nieznanego Żołnierza, pomnikiem Józefa Poniatowskiego, sercem Chopina i miejscem, gdzie zginął Krzysztof Kamil Baczyński, czuję się wspaniale

eprasa.pl 86b7bc0612

tem. Jeden z posłów grozi przecież, że zabije własne sześcioletnie dziecko, jeśli Sejm i król uchwalą konstytucję.

To Jan Suchorzewski, późniejszy targowiczanin. Historyczna postać, dzisiaj zepchnięta w cień przez Rejtana. Groził, że wykona gest na miarę biblijnego.
– Inteligenci słabo znoszą tego typu szantaże.

Król musi odpowiedzieć sobie na pytanie: Czy można być tyranem wobec łotrostwa? Niesłychanie, powiedziałbym, aktualne pytanie. Można przecież wziąć pałę, bić zdrajców i patrzeć, jak puchną. Można nawet konstytucję wnieść na bagnetach.

Co poniekąd się zdarzyło. Pepi wraz z grupą zaufanych ułanów pilnował przecież w sali Sejmu Wielkiego porządku.
– Kłopot polega na tym, co zrobić z postaciami w typie Suchorzewskiego. Można powiedzieć, że to po prostu zdrajca na żołdzie Prusaków. Sam Suchorzewski ponoć uważał się za patriotę polskiego i ciężko zarobione pieniądze przeznaczał na odbudowę Rzeczpospolitej.

Nie ma więc powodu, by nadmiernie chłostać króla, który musiał rządzić w takim a nie innym miejscu czasoprzestrzeni i mierzyć się z ludźmi, którzy w parlamencie grożą śmiercią własnego dziecka.

Jak zatem kalkuluje król Poniatowski?
– Najpierw luźne skojarzenie. Zeszłej zimy Trump powiedział do Zełenskiego: „Nie masz kart".

U Micińskiego ambasador pruski Lucchesini, postać historyczna, składając królowi propozycję odkupienia tronu, mówi: „Może karty? Tasuję je wciąż – świetnie już przetasowane".

W idiotycznej sytuacji najmądrzejszy człowiek wygląda jak idiota. I to jest właśnie opowieść o królu Stanisławie Auguście Poniatowskim.

Ostatnia wielka wygrana polskiego oręża to bitwa pod Wiedniem, kraj w rozsypce, trzy potęgi sposobią się do rodrapania Rzeczpospolitej. Poniatowski nie ma kart i jedyne, co może zrobić, to kupić sobie i państwu trochę czasu, żeby to, co zasiał – nowy system szkolnictwa, służba cywilna, szkoła rycerska, korpus wojskowy – mogło wzejść. Nic innego nie może zrobić.

Stąd te piękne, pełne ozdobników listy do Katarzyny. Tylko oddajmy uczciwość, ponieważ Poniatowski biegle pisał listy w różnych językach. U Micińskiego wyznaje: „Daremno piszę listy po angielsku do Anglii, po łacinie do Rzymu i po francusku wszędzie".

W ostatnich latach wyreżyserowałeś w gruncie rzeczy tryptyk o polskim fatum, polskich snach i polskich marzeniach o wielkości. „Wesele", „Wyzwolenie" i „Termopile" układają się w spójną całość. W ani jednym nie widać nadziei.
– Nie mam kompetencji do opowiadania o snach, bo właściwie nic mi się nie śni. Czuję natomiast coraz większy kłopot z odróżnieniem zbiorowych koszmarów od rzeczywistości, chyba nie ja jeden.

Trudno mi uwierzyć, że świat dzieje się naprawdę, że to jawa, a nie paranoiczna fantasmagoria.

Dawno nie wracałem do Philipa Dicka, a może trzeba sięgnąć znowu po jego szkatułkowe opowieści o kolejnych piętrach rzeczywistości, z których nie ma się jak wyzwolić. Ze strachem myślę, co jeszcze może się wydarzyć. Ukraina, Rosja, Strefa Gazy, Wenezuela, Donald Trump, który publikuje film zrobiony przez AI, a na tym filmie widać, jak oblewa gównem swoich przeciwników. My w tym wszystkim, co nas dotyka i od nas nie zależy. O jakiej nadziei tu mówić?

Czytam Micińskiego, patrzę na twój spektakl i zastanawiam się, czy polska historia może być czymś innym niż jazdą po okręgu. Albo inaczej: opowieścią o kraju, który jest wiecznie osamotniony i znajduje się pomiędzy dwiema wrogimi siłami? Z tego okna widać obelisk smoleński. Pod czarny kamień przychodzą obywatele przekonani, że naród polski znowu jest zdradzony i pozostawiony sam sobie. To nie są jednostki, tylko tłumy. Tłumy Polaków, które mentalnie żyją w 1939 roku.
– Jak mówi u Micińskiego książę Józef: „Czas nie przemija, tylko się zataja".

Do niedawna wydawało mi się, że można z tego okręgu wyjść. Jak Polska wchodziła do NATO, przyszedłem na ten Plac Piłsudskiego z żoną. Mieliśmy poczucie, że wydarzyło się coś strasznie ważnego i że wiatr historii zmienia naprawdę kierunek. I że nie trzeba będzie, jak mówisz, wchodzić do tej samej rzeki. Podobnie podczas referendum w sprawie wejścia Polski do Unii Europejskiej.

A teraz? „Jakieś fata nas pędzą w przepaść", jak u Wyspiańskiego?
– No właśnie się okazuje, że ciągną, w w turbodynamicznie zmieniającej się rzeczywistości.

I nawet jeśli Donald Trump potknie się na polu golfowym i na amen wpadnie w dołek, może zastąpić go J.D. Vance, co wróży jeszcze gorzej.

Ponieważ są sprawy ponad nami, niezależne od wszystkich demonstracji na Placu Piłsudskiego. Nie zmienimy przecież położenia geograficznego, Polska leży tam, gdzie leży, kiedyś jako płaska rozbiegówka dla czołgów potężnych sąsiadów z jednej i drugiej strony.

Rosjanie potrafią niewątpliwie dobrze grać w upokorzenie, które jest mocną bronią w dyplomacji, nic się od czasów carycy i Poniatowskiego nie zmieniło

Zatem pytanie, co tak naprawdę zależało od zabiegów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, który, jak mógł, próbował ratować Rzeczpospolitą, wydaje się zasadne.

Patrzę, ile tutaj się dzieje za oknem. Ciągle jakiś ruch. Przed chwilą przeszła taka grupa duża młodzieży. Dalej poszła w stronę pomnika. A ci stają przed pomnikiem smoleńskim, zdjęcie robią pamiątkowe. Nawet lornetki nie trzeba.
– Tak, ciągłe harce aktywistyczne, maszerujące w przeciwnych kierunkach proporce i sztandary, koncerty patriotyczne i Parady Równości albo Konfederacja przeciwko Ukraińcom protestuje. Bardzo duża demonstracja. W sprawie palestyńskiej też była demonstracja. Absolutne centrum wydarzeń symbolicznych. Synapsy narodu ciągle tędy przeskakują i można je obserwować.

Jakoś rozumiem żal Jana Frycza, który nie może się pogodzić z faktem, że nad placem nie góruje już dumna nazwa hotelu Victoria, tylko jest Sofitel.

„Termopile polskie" uderzają w to imaginarium, które masz za oknem. I pokazują, że wcale nie jesteśmy tak niezłomni, jak chcielibyśmy siebie widzieć.
– Jeszcze raz: rzekoma prorosyjskość Poniatowskiego bierze się stąd, że on usiłuje rozegrać wielką międzynarodową partię pokera bardzo słabymi kartami. Przeprowadza rachunek, gra, czym może, i przegrywa.

Nie dziwi cię, jak duża jest partia prorosyjska w Polsce w tej chwili?
– My nawet jeszcze nie wiemy, jak duża.

Zastanawiam się, czy ci ludzie wiedzą, że myślą po rosyjsku, czy też żyją w ułudzie, że reprezentują polską rację stanu.
– No to wróćmy do Suchorzewskiego. Bardzo nas w teatrze ta scena poruszyła. Skoro Suchorzewski zapowiada, że publicznie zamorduje swoje dziecko, żeby ocalić Polskę, to może mówi prawdę? Nie czytał ustawy zasadniczej, ale stuprocentowo wie, że godzi ona w wolności obywatelskie. Może on, patrząc w lustro, widzi obrońcę polskiej sprawy, a nie zaprzańca?

Tak samo można usprawiedliwiać Grzegorza Brauna, który jest jednocześnie honorowym ambasadorem Rosji w Polsce i zapewne widzi siebie jako gorącego patriotę.
– Przecież Braun to „genetyczny inteligent", syn wybitnego reżysera teatralnego. Jeśli mowa o tutejszym imaginarium, to jest wyraźnie widoczny. Grigorij Braun jest zjawiskiem popkulturowym, czego dowodem ławki w Ogrodzie Saskim: pełno na nich wlepek Frontu Gaśnicowego. Uwiódł młodzież swą nienaganną polszczyzną.

Nie tylko młodzież. Chyba wszystkich, którzy nienawidzą Ukraińców, Żydów, Niemców i mówią: „Dajcie spokój, ile o tej wojnie można gadać?". I rzecz jasna uważają się za głębokich patriotów, którzy walczą o Polskę.
– O tak, walczą z Ukraińcami, z Niemcami, z Unią Europejską, z wiatrakami. Walczą za Polskę, oczywiście. Patrioci bezobjawowi.

A jeśli trzeba będzie dokonać weryfikacji w momencie rzeczywistej próby?
– Stojący tam na placu Piłsudski mówił, że Polacy chcą niepodległości i jednocześnie pragną, żeby niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi. Nic się w tym względzie nie zmieniło.

Użyłeś wcześniej magicznego słowa „liberał". Zapytam cię zatem: chciałeś upokorzyć Donalda Tuska, tak?
– Proszę?

No tak. Recenzent Tomasz Plata dopatrzył się w rozmowie SAP i carycy wyraźnych odniesień do spotkania Tuska z Putinem na molo w Sopocie, którym wycierają sobie gęby przy każdej okazji prawicowi publicyści. No i znowu twoje „prawackie fantazje" zostały obnażone.
– Czy ja naprawdę muszę się do tego odnosić?

Wypadałoby. Wychodzi przecież na to, że Miciński dzisiaj to młot na naiwnych, gotowych do paktowania z wrogiem libków. Mimo że na razie to liberałowie nawołują do zbrojenia polskiej armii, a skrajna prawica chwyta w lot kremlowskie przekazy.
– Zatem odpowiem tak: to jest ten sam pan, który powiedział, że „Wesele" w mojej reżyserii jest spektaklem pisowskim, ponieważ panna młoda jest w ciąży, a tekst „A to Polska właśnie" jest skierowany do jej brzucha. Ergo: jestem przeciwnikiem legalnego dostępu do aborcji. Oto rodzaj recenzowania, który przechodzi ludzkie pojęcie.

Nie zastanawiam się, czy widzowie są liberałami, czy nie są. Jest to dla mnie absolutnie obojętne i uważam, że podziały na plemiona są bezsensowne, służą tylko dystrybutorom etykietek. Zależy mi natomiast, żeby wszyscy, niezależnie od przekonań politycznych przychodzili do teatru – inaczej będą zdani na recenzentów pokroju pana Platy. Zapraszam wszystkich ludzi dobrej woli.

Prezydent Nawrocki również?
– A dlaczego nie? Ma blisko do Teatru Narodowego, nie widzę przeszkód. A 3 marca do Warszawy przyjadą „Krzyżacy", zrobimy bitwę pod Grunwaldem w gościnnym Teatrze Polskim – jeszcze bliżej.

A plakat autorstwa Bartłomieja Kiełbowicza? To nie jest drwina z naiwnej wizji dziejów, z nagich Yoko Ono i Johna Lennona, którzy w hotelu Queen Elizabeth ogłaszali koniec wojen? Zamiast słynnego „War is over" mamy „War is on"
– Poprosiłem o plakat, który będzie przyciągał uwagę i wkurwiał wszystkich – i dzieło Bartosza Kiełbowicza przerosło moje oczekiwania.

Tak, z jednej strony to szydera, ale z drugiej bardzo poważna interwencja artystyczna.

Wojna trwa, dlatego wchodzimy do teatru po podobiznach Putina, a w marmurowych kuluarach graffiti w różnych niecierpiących zwłoki odwiecznych sprawach. Taki jest właśnie ten nasz nowy wspaniały świat.

Moja artystyczna aktywistyczna córka Jadwiga, jak dowiedziała się, że będę „Termopile" reżyserował, powiedziała: „Tylko proszę cię, nie rób spektaklu o tym, że będzie wojna". Równie dobrze mógłbym powiedzieć pokoleniu naszych dzieci, żeby nie mówiło o zagładzie klimatycznej. To też jest niemiłe i niekomfortowe. Stłucz termometr, nie będziesz mieć gorączki – że zacytuję pewnego pokojowego noblistę.

Ale przyznaj, że prowokujesz liberalną część widowni teatralnej. Zapalają się światła na widowni, a na scenie rozbrzmiewa hymn narodowy. Wstać, nie wstać? Zaszantażowałeś nas hymnem.
– No tak, najważniejsze, żebyśmy czuli się komfortowo, prawda? Ostatnio pomagają nam w tym Putin i Trump.

Cóż ja mogę powiedzieć na swoją obronę? W historii teatru, nie tylko polskiego, było wielu twórców, którzy na różne sposoby szantażowali widzów. Szantażowanie przy pomocy hymnu wydaje mi się dosyć bezpiecznym sposobem wywoływania dyskomfortu.

Wstaniesz czy nie wstaniesz – twoja wola. To nie jest żaden test, czy ktoś jest patriotą czy nie jest patriotą. To nie jest żaden test na to nawet, czy spektakl się podoba, to po prostu spektaklu część, jeden z jego kluczowych momentów, kiedy król przysięga Bogu, że będzie strzegł konstytucji, i zakrzywia czasoprzestrzeń. Tymczasem jedni patrioci na widowni wstają, a inni nie wstają, bo uważają, że tamci, którzy wstali, dali się nabrać. Jeden widz, to wiem z kuluarów, nie wstał, a potem wyrzucał sobie, że siedział. Nie posiadał się z żalu. Ależ prowokacja mi się udała!

Ja miałem odwrotnie. Wstałem, jak wstaje się na meczach, a potem mi się wydawało, że powinienem był siedzieć.
– No właśnie. Nie wyciągamy z tego żadnych wniosków, nie wystawiamy widzom świadectwa patriotyzmu czy kosmopolityzmu. Po prostu jakiś rodzaj niezbyt chyba ryzykownego eksperymentu w czasach, kiedy wiszą nad nami groźby znacznie poważniejsze.

Część widzów śpiewa hymn z zespołem aktorskim, co również jest ciekawe, bo każdy lubi się pośmiać z Jarosława Kaczyńskiego, który nie pamiętał, czy Czarniecki czy Czarnecki wrócił do Poznania, przez morze, ale z precyzyjnym wyśpiewaniem słów hymnu my, genetyczni patrioci, mamy problem. Najłatwiej idzie, że „oto nasi biją w tarabany".

Jeśli będziesz siedział na widowni na swoim spektaklu jak Krystian Lupa, to wstaniesz?
– Podobno Krystian wstał na hymnie.

A ty? Wstaniesz czy nie?
– Oczywiście, żeby jeszcze bardziej rozjuszyć tych, co siedzą za mną.

Jeśli zechcą zobaczyć, co dzieje się na scenie, też będą musieli się podnieść z foteli.

Załóżmy na chwilę, że czas przedwojenny zmieni się w czas wojenny. Co zrobisz?
– Jedyna możliwa i uczciwa odpowiedź brzmi: „Nie wiem". Nie mam planu b ani domu ucieczkowego w żadnym południowym kraju. Nawet w Czechach.

Gdy nastanie czas próby dla Polski, metaforycznie: żywię nadzieję, że leci z nami pilot.

Kiedyś mówiłem aktorom, że w drodze na próbę przechodziłem obok jednego ze sklepów z militariami i na szybie był zachwycający, wielki napis reklamujący: „Wybijanie nieśmiertelników". Witkacowskie nieomal. Możesz się za drobną opłatą wybić na nieśmiertelność, na wszelki wypadek.

I wiesz co, otrzymałem od wspaniałych przedstawicieli zespołu aktorskiego Teatru Narodowego nieśmiertelnik z moim imieniem i nazwiskiem oraz mottem: „Scena pomieści wszystko". Noszę go pieczołowicie.

I to jest moja odpowiedź na teraz. ●

1 RP

eprasa.pl 86b7bc0612

Deszcz

Rozumiem, że pisanie bywa czynnością autoterapeutyczną i z tego powodu nie można się z niego wyśmiewać, nawet jeśli jest niechcący śmieszne.

Michał Rusinek

W 1999 roku ukazała się powieść Jean-Marie Laclavetine'a „Premièr ligne", przetłumaczona przez Wacława Sadkowskiego jako „Przeklęta pierwsza linijka". Jej bohater, Cyril Cordouan, jest redaktorem prestiżowego wydawnictwa, który chce postawić tamę pladze grafomanii. Organizuje coś w rodzaju terapii dla grafomanów i zakłada klub wzorowany na Anonimowych Alkoholikach: „Najpierw trzeba rozpoznać chorobę, postawić diagnozę. Następnie przyznać się otwarcie do niemożności prowadzenia tej walki w pojedynkę [...]. Powstańcie, męczennicy pióra! [...] Wydawcy nie będą już narażeni na wyrzuty sumienia ani stawiani w obliczu smutnych dylematów. Ludzie przestaną cierpieć bez powodu. Narodzi się ruch Anonimowych Autorów".

Czy Cyrilowi się udało? Odsyłam Państwa do tej pouczającej i zabawnej książki. Dawno temu czasopisma literackie prowadziły rubrykę „poczta literacka", w której publikowano nadsyłane do redakcji utwory, często opatrując je stosownym komentarzem. W „Życiu Literackim" rubrykę tę prowadziła – na zmianę z Włodzimierzem Maciągiem – Wisława Szymborska. I bywała okrutna: „Mój chłopiec twierdzi, że jestem za ładna, żeby pisać dobre wiersze. Co myślicie o tych, które załączam?" – spytała pewna młoda poetka. Odpowiedź: „Sądzimy, że jest Pani rzeczywiście piękną dziewczyną".

Nie jestem na szczęście wydawcą, ani też nie prowadzę podobnej rubryki. Ale przypomina mi się książka Laclavetine'a i „Poczta literacka" Szymborskiej (wydana w formie książkowej), ilekroć dostaję do oceny kolejne hektolitry utworów, najczęściej rymowanych, w których „kłamstwa wciąż płyną/ z purpury ust./ Jeśli pokochasz,/ to będzie cud", Polska „jest piękna jak jutrzenka,/ pachnie swojskim chlebem./ Tu jest me miejsce na ziemi,/ pod błękitnym niebem", miłość cielesna przyjmuje formy choreograficznie skomplikowane: „splecione z sobą były/ jak warkocz nasze ciała./ Na chwilę byłam w raju/ i twoja byłam cała", pojawiają się mądrości życiowe i dobre, acz ryzykowne rady: „życie jest takie krótkie,/ pełne kłopotów, smutku./ Więc kiedy możesz, proszę,/ śmiej się, śmiej aż do skutku".

Rzucają się w oczy nader częste motywy entomologiczne: „Motyle nam w brzuchu/ latają jak pszczoły./ A każdy z nas młody,/ młody i wesoły", „wreszcie chcę poczuć/ w brzuchu motyle,/ całuj mnie długo,/ nie tylko chwilę", „Motyle z brzucha/ szepcą do ucha,/ żem romantyczka,/ i ich wysłucham./ Jeśli mnie zechcesz,/ to będę twoja./ Jutro będziemy/ już w Międzyzdrojach" oraz mnóstwo wątków religijnych: „Nie dorosłam Ci do pięt,/ taki dobry jesteś, Boże./ Dajesz mi zachody słońca/ i poranne zorze", „małą białą hostią/ najem się do syta./ Zmartwychwstałeś, Jezu,/ gdy zaczęło świtać".

Rozumiem, że pisanie bywa czynnością autoterapeutyczną i z tego powodu nie można się z niego wyśmiewać, nawet jeśli jest niechcący śmieszne.

W 2025 roku diecezja włocławska zakazała wykonywania w kościołach, podczas ślubów, polskiej wersji piosenki Eda Sheerana „Perfect". Podkreślam: nie chodzi o oryginalną piosenkę, której tekst jest literacko całkiem dobry: mówi o ponownym spotkaniu z dziewczyną, w której podmiot liryczny kochał się w dzieciństwie, o rozkwitnięciu na nowo ich miłości, o wspólnym tańcu w ciemności, boso, na trawie, o słuchaniu ulubionej piosenki i planach na przyszłość.

Nie ma w tym tekście ani odniesień do świętego sakramentu małżeństwa, ani jakichkolwiek wątków religijnych, ale też nie ma niepokojących zwykle przedstawicieli kościoła katolickiego wątków cielesnych, o satanistycznych nawet nie wspominając. Protest Diecezjalnej Komisji ds. Muzyki Kościelnej wywołał polski tekst, dopisany do muzyki Sheerana przez Magdalenę Poniecką z duetu Magdalena & Dawid z Łodzi.

Na początku dostajemy wyraźny znak, że związek małżeński dotyczy wyłącznie kobiety i mężczyzny, co musi być miodem na uszy członków diecezjalnej komisji: „Ona i on to znak,/ dwa serca złączone dziś/ są pośród nas". Zaraz potem pojawia się istota boska oraz obietnica jej hojności w zakładanej z góry sytuacji pewnych niedoborów: „Bóg da im wszystko, czego będzie brak". Tutaj następuje zmiana i podmiot liryczny zwraca się wprost do nowożeńców, żądając od nich podzielenia się uczuciem ze słuchaczami: „Wy nieście swą miłość,/ dajcie ją każdemu z nas".

Znów dochodzi do zmiany i pojawia się zwrot do istoty boskiej: „Bo dziś w Twoim domu, Panie, cud się staje:/ małżeństwem dwoje ludzi zostaje". Tu mamy do czynienia z typowym rymem gramatycznym („staje"/"zostaje"), zwanym nieprzypadkowo rymem częstochowskim. Autorzy takich rymów powinni dostawać na spowiedzi srogą pokutę. Tymczasem nasza autorka prosi dalej Boga o siłę dla nowożeńców oraz by przelał na nich „swej łaski zdrój". Ale to nie wszystko, bo prosi także, by ich obmył „świętą krwią", oczyścił „winy te" (nie precyzując, o jakie chodzi), wybaczył grzechy i zło, otoczył ramieniem i okazał miłosierdzie. Przekonuje, że nowożeńcy „pragną dziś wielbić Cię,/ doświadczać mocy Twej" i „nie chcą już biec w to, co nieważne,/ bo w Tobie jest sens". Na koniec pojawia się żądanie, by Bóg zastosował sztuczkę Zeusa i objawił się w postaci meteorologicznej: „Przyjdź jak deszcz/ na ziemię stęsknionych serc". Przypominam, że w przypadku Zeusa chodziło o zapłodnienie Danae, deszcz ma więc w tym przypadku dość ryzykowne konotacje.

Rzadko zgadzam się z jakąkolwiek kościelną komisją, ale w tym przypadku – jej decyzji z całych sił przyklaskuję. Ale nie z powodów religijnych. Piosenki mają bowiem to do siebie, że dają język do mówienia – w tym przypadku o miłości, a więc uczuciu bardzo ważnym i trudno wyrażalnym. Ze zgrozą wyobrażam sobie, że młodzi ludzie, wysłuchawszy polskiej wersji piosenki Eda Sheerana rozmawiają potem ze sobą jej słowami. Obawiam się nawet, że tego typu rozmowa może zaszkodzić przyszłym relacjom między nimi i negatywnie wpłynąć na dzietność w naszym starzejącym się społeczeństwie. Z rozbawieniem natomiast wyobrażam sobie minę Eda Sheerana, gdy dowiaduje się, jakie słowa dopisano po polsku do jego muzyki i w jakie zdumiewające rejony odpłynął – z szumem deszczu – jego niewinny hymn o romantycznej miłości. ●

W świecie bez reguł będziemy ofiarą

Prawo międzynarodowe staje się językiem uzasadniania decyzji już podjętych, normy służą legitymizacji siły, a naruszenia tłumaczy się „wyjątkami": „szczególnym kontekstem" i „bezpieczeństwem".

Marcin Matczak

Teza tego felietonu jest prosta i brutalna: są w Polsce politycy, którzy od lat atakują prawo międzynarodowe i kibicują Donaldowi Trumpowi – politykowi, który systematycznie podważa sens tego prawa. Ci politycy działają przeciwko interesom Polski.

Ci politycy na pytanie o to, gdzie leży Polska, zapewne odpowiadają jak w dowcipie przywołanym przez Andrzeja Dudę: „Polska nie leży, Polska stoi dumnie". I ta duma być może odbiera im rozum. Polska jest nie imperium, ale państwem średnim, historycznie narażonym na presję silniejszych. A prawo międzynarodowe powstało właśnie po to, by takie państwa chronić. Każdy, kto to prawo kwestionuje, ośmiela naszych wrogów – w tym Rosję.

Trump mówi wprost: traktaty są warte tyle, ile aktualnie przynoszą korzyści. To nie tylko ekscentryzm jednego polityka, ale też powrót do świata, w którym liczy się tylko to, co da się wymusić. I dokładnie ten świat polscy trumpiści uznają za „realistyczny", choć oni niczego wymusić nie mogą – mogą tylko prosić.

Nawet silny podlega normom

Prawo międzynarodowe powstało jako odpowiedź na taki „realizm". Nie było kaprysem idealistów, ale próbą ograniczenia przemocy w świecie bez jednego suwerena. Punkt wyjścia był prosty: relacje między państwami przypominają stan natury – brak arbitra, permanentne ryzyko wojny, prawo silniejszego. Odpowiedzią miało być prawo, które nie znosi konfliktu, ale go cywilizuje: wyznacza granice wojny, oddziela siłę od samowoli, przekształca brutalność w działanie podlegające regułom.

Kluczowa była tu myśl Grotiusa: nawet silny podlega normom. Z tego wyrastała idea moralnej odpowiedzialności państw oraz zasada formalnej równości suwerenów ukształtowana po pokoju westfalskim. Nie dlatego, że państwa są faktycznie równe, lecz dlatego, że bez tej fikcji słabsi nie mają żadnej ochrony.

Prawo międzynarodowe było więc od początku projektem antyimperialnym, opartym na przekonaniu, że można zastąpić brutalną siłę normą, a dominację – zasadą, bo bez tego polityka międzynarodowa cofa się do amoralnej dżungli.

Dziś prawo międzynarodowe staje się językiem uzasadniania decyzji już podjętych, normy służą legitymizacji siły, nie jej ograniczaniu, a naruszenia tłumaczy się „wyjątkami": „szczególnym kontekstem" i „bezpieczeństwem". Dziś silni naruszają normy bez realnych konsekwencji, a słabi ponoszą koszty natychmiast i dotkliwie.

Putin zapamiętuje lekcję

Problemem jednak są nie tylko ci silni, ale też ci, którzy w państwach słabszych uznają ich logikę za atrakcyjną. Gdy polska prawica kwestionuje prawo UE, ignoruje wyroki ETPC czy podważa zobowiązania traktatowe, robi dokładnie to samo co Trump na arenie globalnej, tylko na mniejszą skalę. Uczy świat, że prawo jest wybiórcze. A świat tę lekcję zapamiętuje.

Szczególnie Putin. Skoro Zachód sam mówi, że normy są negocjowalne, to dlaczego miałyby obowiązywać Rosję? Jeśli w Polsce słychać: „nie uznajemy prawa międzynarodowego, gdy nam się nie podobają jego skutki", to dlaczego Rosja miałaby uznawać jakiekolwiek normy dotyczące granic, agresji czy odpowiedzialności za zbrodnie?

Każde osłabienie prawa międzynarodowego uderza w nas podwójnie. Obiektywnie: zmniejsza liczbę barier, które powstrzymują agresję silniejszych. Symbolicznie: wysyła sygnał, że siła jest ważniejsza niż umowy.

Dokładnie taki sygnał odbiera Moskwa. Nieprzypadkowo rosyjska propaganda od lat głosi, że prawo międzynarodowe to fikcja Zachodu.

Gdy słyszymy w Polsce zachwyty nad Trumpem i jego stylem „ultimatum, szantaż, aneksja", zadajmy pytanie: czy naprawdę wierzymy, że w świecie bez reguł Polska będzie beneficjentem, a nie ofiarą?

Siła Polski jako państwa średniego, niebędącego imperium, zawsze była pochodną reguł, sojuszy i instytucji – od ONZ, przez NATO, po UE. Wszystkie one są atakowane przez Trumpa. A nasi politycy dokładają się do tego, na przykład w atakach na UE czy międzynarodowe konwencje. Czy komuś, kto nie rozumie, że UE jest dla Polski systemem zbiorowego zabezpieczenia prawnego i politycznego, rzeczywiście leży na sercu nasza suwerenność? Czy po prostu popiera w ciemno wszystko, co powie amerykański przyjaciel? A co, jeśli nie zawsze nim będzie?

Za karton polskich Nobli

Przecież Polska bez wsparcia prawa międzynarodowego w momencie kryzysu będzie w takiej samej sytuacji jak Ukraina. Nie różni nas pozycja geopolityczna, nie różni nas siła militarna. Różni nas siła organizacji międzynarodowych, do których my należymy, a Ukraina nie.

Czy więc strategia atakowania prawa międzynarodowego i popierania Trumpa przez polską prawicę polityków nie jest po prostu sprowadzeniem nas do sytuacji, w której jesteśmy zdani na kaprys jednego człowieka? Dodatkowo sprawiającego wrażenie niestabilnego, o czym świadczy to, że za moment za „ochronę" zażąda od nas nie tylko prawa do naszej żywności, naszych ograniczonych zasobów naturalnych, ale i zapakowanych w jeden lizusowski karton polskich Nobli.

Co mu wtedy zaproponuje prawica, która od lat podcina gałąź wspólnych, międzynarodowych wartości, na której wszyscy siedzimy? Miłosz odpada: za dużo metafizyki, za mało flag. Szymborska też – ironia jest podejrzana. Tokarczuk? Nawet po gruntownej dezynfekcji z empatii i migracji zbyt uniwersalna. Zostaje Skłodowska-Curie – najlepiej w wersji uproszczonej: bez Francji i feminizmu, po prostu jako „ta babka od energii". O Wałęsie z prawicą nie ma co gadać, poza tym on by się tak nie poniżył. Najbardziej nadaje się Sienkiewicz – piewca polskiego zmierzania do klęski.

Można nie lubić liberalizmu i śmiać się z Joe Bidena. Ale rozsadzanie prawa międzynarodowego to głosowanie za światem, w którym silniejszy może okraść, skopać i poniżyć słabszego. A my w najważniejszych dla nas relacjach jesteś nie silniejsi, tylko słabsi. Dlatego dla państw takich jak Polska trwający już dekadę zachwyt prawicowych polityków nad Trumpem to strategiczne samookaleczenie, które za moment może doprowadzić do poważnego krwawienia. ●

eprasa.pl 86b7bc0612

KRAJ

KOMU *ufa* TUSK

Nie wiem, czy w przypadku Tuska istnieje coś takiego jak wolny czas

Z **KAMILEM DZIUBKĄ***, AUTOREM KSIĄŻKI „KIEROWNIK" POŚWIĘCONEJ DONALDOWI TUSKOWI ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

Nie tylko krytycy, ale też dawni przyjaciele Donalda Tuska twierdzą, że premier jest mściwym politykiem. Mają rację?
– Nie wiem, czy można to nazwać zemstą, ale kiedyś częściej zrywał współpracę z różnymi ludźmi. Za pierwszych swoich rządów Tusk na pewno był bardziej brutalny niż dzisiaj, zwłaszcza wobec najbliższych współpracowników.

Premier pożegnał się z Grzegorzem Schetyną, sekretarzem generalnym Platformy Obywatelskiej, który trzymał partię żelazną ręką, choć razem „haratali w gałę" i spędzali wieczory na rozmowach przy winie. I ze Sławomirem Nowakiem, szefem kancelarii premiera, w Kierowniku wręcz zakochanym.
– Musisz jednak pamiętać, że premier Tusk pozbywał się swoich współpracowników z różnych powodów.

Z Pawłem Piskorskim, byłym prezydentem Warszawy i znaczącą postacią w pierwszych latach Platformy Obywatelskiej, pożegnał się nie tylko dlatego, że uważał, iż mu zagraża, ale też z powodu zarzucanych mu nieprawidłowości związanych z majątkiem. Potem był Schetyna, któremu Tusk mocno ograniczył wpływy w partii, ponieważ zaczął podejrzewać, że sekretarz generalny chce się rozpychać w PO jego kosztem.

Choć Schetyna za wiele nie stracił – co prawda przestał współdecydować o partii, ale był przecież i ministrem spraw zagranicznych, i marszałkiem Sejmu.
– Tylko w przypadku Nowaka możemy mówić o brutalnych metodach, z których rzekomo ma słynąć Tusk. Nowak był bardzo bliskim współpracownikiem premiera, szefem jego gabinetu, złotym dzieckiem Platformy, młodym politycznym talentem, który miał duże ambicje, a jednocześnie był wierny Tuskowi. Padł jednak ofiarą rozgrywki Tuska ze Schetyną. Kiedy premier pozbywał się ówczesnego ministra spraw wewnętrznych z rządu, ten powiedział Tuskowi: „Skoro mnie wywalasz, to musisz też pozbyć się Sławka". I premier się na to zgodził, choć mógł go oszczędzić.

Ta dymisja była niepotrzebna, choć, biorąc pod uwagę późniejsze problemy Nowaka – wpierw wizerunkowe, bo sprawa zegarka była banalna, ale przy ówczesnych, wyższych niż dziś, standardach polityki wydawała się bardzo obciążająca, a potem poważne zarzuty korupcyjne w Ukrainie – to Tusk raczej nie żałuje swojej decyzji.

Odpowiadając więc wprost na twoje pytanie: Tusk bywał wręcz przesadnie brutalny, choć w gruncie rzeczy niewiele mu to dawało. Dzisiaj postępuje inaczej.

Dlatego nie wywalił z partii Rafała Trzaskowskiego, kiedy wracał w 2021 r. do Polski?
– Pozycja Trzaskowskiego w tamtym czasie była naprawdę silna: rok wcześniej zagłosowało na niego ponad 10 milionów ludzi, a jednocześnie część polityków PO podejrzewała, że chce założyć własny projekt polityczny. Organizował przecież Campus Polska, czyli coroczne spotkania z młodymi aktywistami z całego kraju. Obawiali się, że Trzaskowski powtórzy manewr samego Tuska z początku XXI wieku, kiedy wyprowadził z Unii Wolności [jednej z najważniejszych – pod zmieniającymi się szyldami – partii pierwszej dekady wolnej Polski, z przerwami współrządzącej, coś na kształt dzisiejszej Koalicji Obywatelskiej] część działaczy i założył PO, doprowadzając do politycznej śmierci swoje dawne ugrupowanie.

1 RP

eprasa.pl 86b7bc0612

Prawda jest taka, że Trzaskowski nie chciał wziąć odpowiedzialności za Platformę, nie chciał zostać jej szefem, choć bez problemu przejąłby władzę w partii. Jednak Tusk nie mógł sobie pozwolić na pozbycie się polityka o takiej wadze.

Trzaskowski wiedział, że Tusk wraca do Polski?
– Nie, dowiedział się o tym w ostatnim momencie. Od 2020 r. Trzaskowski był naturalnym kandydatem na prezydenta kraju, Tuska nie interesowało to stanowisko, więc podzielił się odpowiedzialnością z młodszym kolegą, mówiąc mu: „Ty weź na siebie odcinek prezydencki, a ja zajmę się całą resztą". Zastanawiam się jednak, jak by postąpił Tusk z Trzaskowskim 15 lat temu, czy pozbyłby się go z partii, i wydaje mi się, że dziś prezydenta Warszawy mogłoby w KO nie być.

Siedem lat Donalda Tuska poza Polską jest słabo opisane. On sam w książce „Szczerze" wspominał spotkania z najważniejszymi przywódcami z całego świata oraz zbudował wizerunek intelektualisty czytającego mądre książki, znającego się na sztuce i muzyce poważnej – i w zasadzie tyle wiemy. W swojej książce wspominasz, że dopiero w Brukseli mógł żyć po swojemu. Co to znaczy?
– W Brukseli miał okazję zaznać znowu trochę normalnego życia. Pracował od poniedziałku do piątku, ale weekendy miał głównie dla siebie. Robił normalnie zakupy, chodził do restauracji, spotykał się z przyjaciółmi, spędzał czas z żoną, pił wino. To unikalny moment dla każdego polityka takiego formatu – przecież w Polsce nie ruszał się bez ochrony, nie mógł pójść na obiad, nie mówiąc o zwykłych zakupach w sklepie.

To był też ważny moment z innego powodu: Tusk nie miał w Brukseli realnej władzy, jaką miał w Polsce. Był po prostu najważniejszym urzędnikiem w Unii. Ale dobrze wykorzystał ten czas: sporo się nauczył – zaczął dobrze mówić po angielsku, na punkcie czego miał wcześniej kompleks, poznał od środka funkcjonowanie dużych instytucji unijnych.

• **Donald Tusk, jako szef Rady Europejskiej drodze na przesłuchanie w warszawskiej prokuraturze wojskowej. Gdańsk, 19.04.2017**
FOT. DOMINIK WERNER / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ma ogromną wiedzę, jest erudytą, nadal w świetnej intelektualnej formie. Nie lubi tracić czasu na niepotrzebne rozmowy, zamęcza go wielogodzinna gadanina o niczym. A najbardziej lubi rozmowy z tymi, których nie ma zapisanych w kalendarzu

Zmienił styl przewodniczenia Radzie Europejskiej. Jego poprzednik Herman van Rompuy, czyli historycznie pierwsza osoba na tym stanowisku, zajmował się wyłącznie częścią administracyjną, a Tusk chciał realnie wpływać na Unię. Wielu urzędników przeżyło szok, kiedy Tusk nie chciał się spotykać z przedstawicielami różnych, w jego mniemaniu nieistotnych, organizacji czy przyjmować na kolacji ambasadorów małych państw.

Mówisz o tym, że premier się sporo nauczył na europejskich salonach. A czy wiemy, jak był postrzegany przez przywódców światowego kalibru, tuzy takie jak Angela Merkel czy Emmanuel Macron?
– Myślę, że najciekawszy wątek dotyczy jego relacji z Merkel. Była przecież jedną z promotorek jego kandydatury na szefa Rady Europejskiej. Mieli świetne relacje, gdy Tusk był premierem, dobrze się wtedy poznali. Interesujące, że w Brukseli ich współpraca nie zawsze była łatwa. Mieli fundamentalny spór dotyczący migracji. Merkel uważała, że kraje Unii powinny się podzielić odpowiedzialnością za gigantyczną falę migracji z Bliskiego Wschodu. Tusk wolał stawiać przede wszystkim na ochronę granic zewnętrznych Unii. Mało kto dziś to pamięta, ale zdarzało mu się nawet chwalić Viktora Orbana, który od początku ostro skonfliktował się w tej sprawie z unijnym mainstreamem.

Niemiecka prasa często zarzucała też Polakowi, że wychodzi z roli bezstronnego szefa Rady Europejskiej i zbyt mocno kieruje się polską perspektywą.

Jeden z ministrów opowiadał mi jakiś czas temu, że kiedy pojechał z premierem na któryś ze szczytów unijnych, to zaskoczyła go jedna rzecz: kiedy mówił Tusk, inni przywódcy go naprawdę słuchali. Nadal tak jest?
– Z pewnością tak. Tusk jest jednym z najbardziej doświadczonych ludzi w tym gronie, w końcu funkcjonuje w Brukseli od blisko dwóch dekad. Poza tym reprezentuje jedno z największych państw Unii Europejskiej.

Ponoć już w 2019 r. Tusk zamierzał wrócić do Polski, żeby zatrzymać PiS, które było na etapie „sky is the limit" i to demonstrowało, robiąc w państwie, co chciało. Dlaczego w końcu tego nie zrobił?
– O premierze się mówi, że nie wchodzi w projekty, które mogą się skończyć porażką, a w 2019 r. PiS miało najwyższe poparcie w historii, wygrało wybory do Parlamentu Europejskiego z wynikiem 45 procent, choć Schetyna do końca przekonywał Tuska, że Koalicja Europejska, czyli KO, PSL i SLD startujące z jednej listy, idzie po zwycięstwo.

Premier pojawił się w tamtym czasie na dwóch wiecach: przed wyborami europejskimi zachęcał do głosowania na wspólną listę, a na kolejnym, zorganizowanym w Gdańsku już po wyborach, miał ogłosić triumfalny powrót do polskiej polityki. W tym scenariuszu Koalicja Europejska miała jednak najpierw wygrać wybory, a Tusk zostać ojcem tego zwycięstwa. Nie wyszło, ale trudno było odwołać gdański wiec bez utraty twarzy, więc Tusk powiedział tam kilka okrągłych słów i wrócił do Brukseli. Zdał sobie sprawę, że KO jeszcze nie jest w stanie wygrać z Jarosławem Kaczyńskim, więc jest za wcześnie na pełne zaangażowanie w krajową politykę.

Rok później przestał kierować pracami Rady Europejskiej, został szefem Europejskiej Partii Ludowej [europarlamentarnego ugrupowania gromadzącego krajowe partie chadeckie i liberalne, na przykład niemiecką CDU], czyli kimś bez większego znaczenia. Gdybyś dzisiaj kogoś zapytał, kto jest szefem największej europejskiej partii, to myślę, że mało kto szybko odpowiedziałby: Manfred Weber.

Jako szef Rady Europejskiej Tusk jeździł na szczyty G20, spotykał się z najważniejszymi politykami swoich czasów, jego głos był słyszalny na kontynencie. Jako szef EPP był utytułowanym, ale jednak figurantem. A tymczasem w kraju po przegranej Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich w 2020 r. notowania Platformy spadły do blisko 10 procent. Borys Budka jako szef partii nie poradził sobie z kryzysem, więc w pewnym sensie sam poprosił Kierownika o powrót.

Tusk zdawał sobie sprawę, do jakiej partii wraca?
– Nie do końca. Oczywiście utrzymywał w Brukseli kontakty z politykami Platformy, ale nie wiedział dokładnie, jak wyglądają struktury, czy ta partia jeszcze żyje, jak wygląda jej organizacja, kto jest zaangażowany w różnego rodzaju wewnętrzne gry. Tuż przed powrotem do kraju spotykał się więc regularnie z Marcinem Kierwińskim, sekretarzem generalnym PO, ale zaprosił też do Gdańska Schetynę, ponieważ chciał poznać różne perspektywy.

W tamtym czasie na prawdziwego lidera opozycji wyrastał Szymon Hołownia. Tusk pomyślał, że to ostatni moment na walkę z Kaczyńskim. Uważał, że trzecia kadencja dla Zjednoczonej Prawicy będzie oznaczała coś bardzo niebezpiecznego i dla Polski, i być może dla niego osobiście. O ile przez dwie kadencje PiS nie udało się postawić Tuskowi zarzutów, ponieważ nie znalazł się prokurator, który by się pod nimi podpisał, o tyle trzecia byłaby jazdą bez trzymanki. Więc w 2021 r. partia czekała na Tuska, a on sam chciał zostać zapamiętany nie jako ten, który uciekł do Brukseli w 2014, tylko jako polityk, który wygrał z populistyczną prawicą.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Kamil Dziubka

• dziennikarz Onetu, wcześniej związany z Telewizją Polską. Jego książkę **„Kierownik. Kulisy władzy Donalda Tuska"** – właśnie opublikowało wydawnictwo Czerwone i Czarne. Do kupienia w księgarniach a także w formie e-booka i audiobooka na Publio.pl

Komu ufa Tusk?
– Żonie i dzieciom.

Jest niezwykle rodzinny, dba o relacje z dziećmi, wnukami, siostrą czy teściową. I bardzo często o nich wspomina w prywatnych rozmowach. Być może wynika to z wieku – Tusk zbliża się do siedemdziesiątki, co skłania do refleksji.

Ufa tylko rodzinie?
– Ma wokół siebie małą grupę ludzi, która towarzyszy mu na każdym kroku. Ale musisz pamiętać, że kategoria zaufania w polityce jest mocno problematyczna, w tej dziedzinie trudno za kogoś ręczyć, dać sobie uciąć rękę. Tusk ma ludzi, na których się opiera, ale nie wiem, czy ma w swoim otoczeniu kogokolwiek, komu ufałby stuprocentowo.

Na pewno jego najwierniejszym współpracownikiem od 20 lat jest Paweł Graś, choć nie wiem, czy są przyjaciółmi. Żona Grasia pracuje w Brukseli, jest wiceszefową protokołu Ursuli von der Leyen i kiedy Tusk był przewodniczącym Rady Europejskiej, to często spotykał się z Grasiami rodzinnie.

Wokół premiera są też ludzie znajdujący się w jego cieniu od 30 lat, czyli Wojciech Duda i Grzegorz Fortuna, zatrudnieni w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów jako oficjalni doradcy. W latach 90. wydawali książki Tuska, prowadzą „Przegląd Polityczny", a więc czasopismo idei założone przez premiera jeszcze w drugim obiegu, czyli w podziemiu wydawniczym w końcówce PRL.

Szef rządu ma zaufanie do Macieja Berka, wybitnego legislatora i urzędnika zawodowca, który przekłada na język prawniczy polityczne pomysły premiera.

Nadal niezwykle ważną postacią jest Igor Ostachowicz, choć nie pojechał z Tuskiem do Brukseli. Ten wybitny specjalista od politycznego wizerunku nie jest zatrudniony w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, pracuje na mieście w dużej firmie doradczej, gdzie zarabia pieniądze. Ostachowicz wymyśla strategie, przekłada pomysły premiera na efekt medialny.

eprasa.pl 86b7bc0612

Mamy też Agnieszkę Rucińska, byłą dziennikarkę Polskiego Radia, która pracowała później w partii. Tusk ją polubił między innymi dlatego, że to twarda zawodniczka.

W KPRM bywa też Jan Krzysztof Bielecki, były premier i przez lata jeden z najważniejszych w Polsce bankierów, a przy tym osoba niezwykle wpływowa za kulisami polityki. Wspólnie zakładali w latach 90. Kongres Liberalno-Demokratyczny, wolnorynkowiec i polityczny liberał Bielecki był przez wiele lat patronem politycznym i ideowym Tuska. Był i wciąż trochę jest jego mentorem, choć jest oczywiste, że z nich dwóch to obecny premier osiągnął w polityce nieporównanie więcej.

A co z Adamem Szłapką, rzecznikiem rządu, którego premier ze sobą dosłownie wszędzie zabiera?
– Ewidentnie Tusk pozwala mu przy sobie budować się politycznie.

Z pewnością trzeba jednak powiedzieć, że premier nie jest łatwym szefem. Od osób, które z nim współpracowały, często słyszałem o traumatycznych doświadczeniach, wspominają ten czas jako trudny emocjonalnie.

Znam człowieka, który pracował z premierem przez dwie dekady, nie rozstali się w gniewie. Tusk nigdy jednak później się do niego nie odezwał. 15 lat temu premier potrafił wrócić w poniedziałek z Trójmiasta, zwołać naradę i wszystkich opieprzyć za coś, co powiedziała mu teściowa jako reprezentantka vox populi.

To może brzmieć trochę jak kapryśny szef w stylu folwarcznym, ale Kierownik jest bardzo wymagający merytorycznie. Jeśli przychodziłeś do jego gabinetu i chciałeś zaprezentować odmienne zdanie, to musiałeś je doskonale uargumentować. Jeśli tego nie zrobiłeś, Tusk potrafił od razu dać do zrozumienia, że lepiej było dla delikwenta, gdyby się nie odzywał.

Jeden z twoich rozmówców opowiada, jak podczas podróży całego rządu pociągiem do Gdańska Tusk odpytywał ministrów z dat słynnych bitew.
– No tak, on ma ogromną wiedzę, jest erudytą, nadal jest w świetnej intelektualnej formie. Tusk nie lubi tracić czasu na niepotrzebne rozmowy, zamęcza go wielogodzinna gadanina o niczym. A najbardziej lubi rozmowy z tymi, których nie ma zapisanych w kalendarzu .

Są też politycy, dla których jest miły, uczynny, pomocny, przeciąga spotkania, chce z nimi rozmawiać.
– To prawda. Znam ministrów, którzy przed pierwszym spotkaniem z premierem mieli nogi z galarety, a po wszystkim się okazało, że Tusk jest bratem łatą. Wszystko zależy od tego, z kim premier rozmawia.

Młodszych ministrów chyba traktuje trochę po ojcowsku, buduje z nimi relacje, sporo w nich inwestuje. Myślę, że tak było z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, który był w jego rządzie młodym ministrem pracy po 2011 r. A na przykład Tomaszowi Siemoniakowi, który był w latach 90. kierowcą Tuska i jego bardzo bliskim człowiekiem, potrafił z dnia na dzień zabrać Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji. Czy Siemoniak miał żal? Mógł mieć. Czy Tuskowi było przykro? Nie wydaje mi się. On po prostu wie, że taka jest polityka, i zrobił to, co było konieczne.

A czy ma wokół siebie polityków, których szanuje intelektualnie? W Sejmie sporo się mówi o bliskich relacjach Tuska z Włodzimierzem Czarzastym, który prywatnie jest oczytanym erudytą. Może w przeszłości kimś takim był Janusz Palikot?
– Ponoć z Czarzastym mają podobne zamiłowania czytelnicze. Są też z tego samego pokolenia. Myślę jednak, że w marszałku Sejmu najbardziej ceni to, że jest przewidywalnym partnerem koalicyjnym. Myślę, że łączy ich też podejście do tego, czym jest polityka – że to nie jest romantyczna gra, tylko zajęcie dość brutalne, w którym liczy się skuteczność, a nie sentymenty.

Tusk lubi spędzać wolny czas w Miami, czyli na osłonecznionym tarasie willi przy Parkowej. Co jeszcze robi po pracy?
– Nie wiem, czy w przypadku Tuska istnieje coś takiego jak wolny czas. Faktycznie, lubi spędzać czas w tym miejscu, w ciepłe dni spotyka się na tarasie rządowej rezydencji ze współpracownikami. W willi na Parkowej odbywają się też spotkania z pozostałymi liderami koalicji 15 października.

Dlaczego właśnie tam?
– Sam doskonale wiesz, że Kancelaria Prezesa Rady Ministrów jest nieprzyjemnym gmachem, które nie sprzyja nieformalnym spotkaniom. A w willi na Parkowej Tusk może napić się wina, posłuchać muzyki – lubi jazz i klasykę – pograć w ping-ponga, bo w piłkę już raczej nie gra. Zwłaszcza że teraz już raczej nie wraca na każdy weekend do Sopotu jak kiedyś. Jego dzieci są już dorosłe, mają swoje dzieci.

Z twojej książki wyłania się obraz Tuska, który jako wciąż młody polityk z łatką „zdolny, ale leniwy" najpierw sam sięgnął po władzę i przemeblował scenę polityczną z pierwszej dekady Trzeciej Rzeczpospolitej, potem potrafił wygrać ze starym wyjadaczem Jarosławem Kaczyńskim, a po latach jest pozbawionym sentymentów, bardzo wymagającym premierem, który nie buduje przyjaźni politycznych. A czy już teraz na horyzoncie widać Kierownika 2.0?
– Nie widzę nikogo takiego w Koalicji Obywatelskiej. Tusk wie, że hodowanie następcy nie jest dobrym pomysłem, o czym polska polityka boleśnie się przekonała w 2014 r., kiedy szefową PO została Ewa Kopacz. Tym Tusk różni się od Jarosława Kaczyńskiego, który jednak pozwolił kilku politykom młodszego pokolenia na rozwój.

Nie bez powodu mówi się, że przyszłym premierem może zostać Przemysław Czarnek.
– Ale w tej grupie był też Mateusz Morawiecki, choć ostatnio Jarosław Kaczyński chyba pozbawił go złudzeń w tej sprawie. Są jednak inni. A w KO nie ma ani jednego naturalnego następcy premiera, bo przecież Radosław Sikorski, który jest wybitnym politykiem nie tylko jak na polskie warunki, jednak przez lata nie zbudował swojej potęgi w samej partii. Sikorski jest indywidualistą, chce zostać prezydentem Polski, a niekoniecznie liderem Koalicji Obywatelskiej. Poza tym szef resortu spraw zagranicznych nie jest politykiem młodszego pokolenia, jest tylko o kilka lat młodszy od Tuska.

Wydaje mi się, że Tusk przypomina Kaczyńskiego w jednym: obaj raczej oddadzą swoje partie w sytuacji osobistego kryzysu, śmierci lub choroby. Premier raczej nie ma w głowie jednego nazwiska następcy. Wątpię, że komuś po prostu przekaże partię.

Ale z czego to wynika? Dlaczego Tusk, tak pragmatyczny, a jednocześnie ideowy gracz, który zna i rozumie historię polityki, nie dba o następców? Przecież mógłby wychować sobie kogoś, kto byłby jego kontynuatorem.
– Może teraz zacznie *(śmiech).*

Lider, który jest w ogniu walki, myśli o walce, a nie o tym, co będzie, gdy go zabraknie. Przynajmniej jeszcze nie teraz. A sądzę, że on myśli o sobie jako liderze w dłuższej perspektywie niż dwa lata, jakie zostały do kolejnych wyborów parlamentarnych.

A czy jest coś, co jeszcze łączy Kaczyńskiego i Tuska?
– Na pewno nie poszli do polityki dla własnych korzyści finansowych. Tusk nie spotyka się z ludźmi biznesu, nie stołuje się w drogich restauracjach i pilnuje, żeby nikt w partii nie dorobił się wielkich pieniędzy na polityce. Choć trzeba pamiętać, że Kaczyński miał inną filozofię działania: sam stronił od pieniędzy, ale pozwolił na systemowe okradanie państwa przez swoich ludzi w imię utrzymania jedności partii.

Na pewno Kaczyński i Tusk nawzajem się obserwują, co było widać tuż po wyborach prezydenckich. Premier spotkał się wtedy z klubem parlamentarnym i zapowiedział, że nie będzie rozliczeń za przegrane wybory. To samo zrobił Kaczyński po 15 października 2023 r.

Widać też wyraźnie, że Tuskowi zaczyna teraz bardziej zależeć na partii, chce ją po swojemu ułożyć, być może przygotowuje ją na przejście w 2027 r. do opozycji.

W połowie roku sporo pisało się o tym, że Tusk jest zmęczony, nieobecny, zniechęcony tarciami w koalicji rządzącej. Dzisiaj się wydaje, jakby złapał drugi oddech. Premiera nakręca politycznie Karol Nawrocki i rosnące grono młodej prawicy?
– Tusk dobrze czuje się w walce, a Nawrocki tę walkę mu zapewnia. Na dodatek prezydent siłą rzeczy stał się głównym punktem odniesienia po prawej stronie sceny politycznej, bo dysponuje realnymi, władczymi narzędziami, jak weto. A to sprawia, że pozycja Kaczyńskiego słabnie.

PiS traci w sondażach, a przecież powinno zyskiwać po wyborach prezydenckich. Tak się nie stało, bo zwycięstwo Nawrockiego wcale nie oznaczało, że ludzie chcą powrotu Prawa i Sprawiedliwości do władzy. Premier to widzi. Poukładał swoje zaplecze, uspokoił sytuację w koalicji. Bezproblemowo przeprowadził rotację na stanowisku marszałka – a ta operacja mogła rozbić układ rządowy. Dziś ma dwa lata do wyborów i szansę na wygraną.

Oczywiście wiele może się zdarzyć, a sondaże, nastroje, klimat w świecie wskazują, że na razie to prawica ma lepsze perspektywy na rządzenie. Ale z pewnością nic nie jest przesądzone – i to na pewno jest zasługa Tuska. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ" PORADNIK ZDROWOTNY

Co pomaga wątrobie?

- Jakie produkty wspomagają jej regenerację, a które szkodzą?
- Jak alkohol niszczy wątrobę?
- Miesiąc bez picia. Co możesz, dzięki temu zyskać?

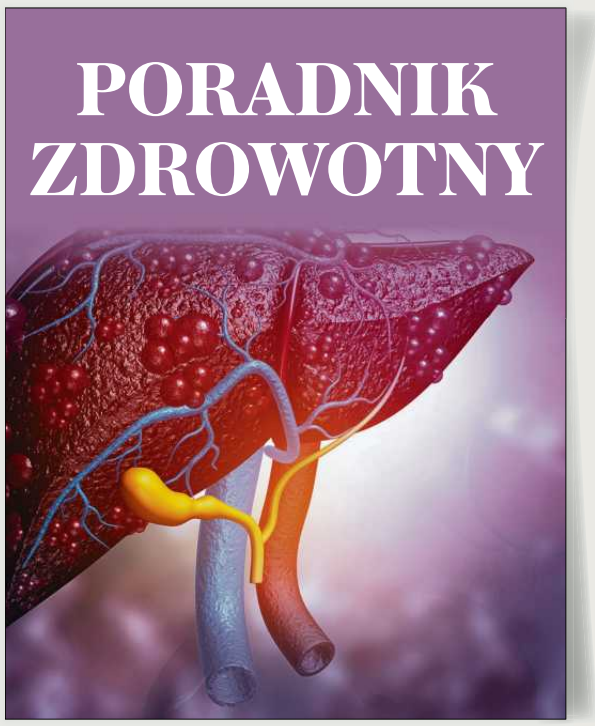

2 RP

eprasa.pl 86b7bc0612

UCZĘ POD SĄD OSTATECZNY

Obecne pokolenie już się go nie boi, ale też nie ma z nim bliższej relacji. Bóg stał się nijaki, nieinteresujący.

FOT. GETTY IMAGES

Monika Redzisz

Bartek: Boli mnie to, że tyle młodych osób odchodzi od wiary, ale stało się to dla mnie motywacją do nauczania religii. Bo po utracie wiary pozostaje w nich jakaś pustka. Autentyczna wiara daje poczucie sensu, że jest w życiu coś, dla czego warto żyć.

Paweł: Młodzi potrzebują przestrzeni, gdzie będą mogli porozmawiać o sensie życia. Jeżeli mamy czas na muzykę i plastykę, to powinniśmy znaleźć czas także na sens życia.

Dorota: Kiedy po reformie zobaczyłam swój plan, pomyślałam: „35 lat pracuję, a jestem traktowana jak śmieć". Całą radę pedagogiczną przepłakałam.

Maria: Skoro Ministerstwo Edukacji zmniejszyło już liczbę godzin religii w szkole, to może, zamiast załamywać ręce, pomyślmy, jaka jest dobra strona medalu?

Oni swoich dzieci na religię nie będą już posyłać

Kryzys instytucjonalnej religii widać także w szkołach – coraz mniej dzieci zapisuje się na lekcje religii. W Warszawie na przykład chodzi na nie już tylko 11 proc. maturzystów. „Serio? – dziwi się katechetka ze Śląska. – U mnie dzieci ją po prostu kochają! Może problem jest w gigantycznych miastach, ale nie u nas! U nas wszyscy chodzą. Tylko innowiercy nie, ale to góra dziesięć osób na całą szkołę".

Faktycznie, frekwencja bardzo się różni w zależności od wieku dziecka i miejsca jego zamieszkania. Według danych Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego najniższy odsetek uczniów uczęszczających na religię jest w diecezji warszawskiej (53 proc.), a najwyższy w diecezji tarnowskiej (96 proc.). Jak wynika z danych przekazanych Katolickiej Agencji Informacyjnej przez samorządy, na religię w dużych miastach uczęszcza 60-70 proc. uczniów podstawówek i 15-30 proc. uczniów liceów i techników.

Jednak proces ten będzie postępował; w wiek reprodukcyjny wchodzi najmłodsze pokolenie dorosłych Polaków, wśród których najszybciej spada odsetek wierzących – według badań CBOS w kategorii wiekowej 18-24 lata odsetek ten spadł z 93 proc. w roku 1992 do 71 proc. w 2021 – a także regularnie praktykujących – z 69 proc. do 23 proc. Oni swoich dzieci na religię raczej nie będą już posyłać.

Kiedy we wrześniu 2025 roku ministra edukacji Barbara Nowacka ograniczyła liczbę lekcji religii w szkołach z dwóch do jednej godziny tygodniowo organizowanej na pierwszej lub ostatniej lekcji, wielu nauczycieli religii albo straciło etat, albo – jeśli mieli dodatkowe kwalifikacje i uprawnienia dydaktyczne – zaczęło uczyć także innych przedmiotów.

Według danych z roku szkolnego 2024/2025 ponad dwie trzecie z nich to osoby świeckie (17 tys. na 8 tys. duchownych). Prawie połowa wszystkich nauczycieli religii to kobiety – katechetki świeckie (49 proc.); księża stanowią 30 proc., katecheci świeccy 11 proc., siostry zakonne 6 proc., a zakonnicy 3.

Zatrudniani są zgodnie z Kartą Nauczyciela, a ich pensje podobnie jak w przypadku innych nauczycieli zależą od stażu, wykształcenia i miejsca pracy. Jedyną różnicą jest to, że zatrudnienie nauczyciela religii wymaga specjalnego skierowania, misji do nauczania reli-

eprasa.pl 86b7bc0612

gii, od władz kościelnych, a jego cofnięcie jest równoznaczne z utratą uprawnień do nauczania religii w danym przedszkolu czy szkole.

Katecheci nie kryją rozgoryczenia reformą. „Jak nie będziemy w szkole uczyć dzieci wartości, to gdzie i kiedy one się tego nauczą? Na matematyce przy twierdzeniu Pitagorasa będą rozmawiać na tematy moralne? O tym, co ich boli? Nie sądzę. To na religii pytają o sprawy, o które nie zapytają na żadnym innym przedmiocie, bo to wynika z naszych tematów: dlaczego opłaca się być dobrym, jaki jest sens życia i czy jest coś dalej" – mówi jedna z katechetek.

W odpowiedzi na reformę Stowarzyszenie Katechetów Świeckich wyszło z obywatelską inicjatywa ustawodawczą „TAK dla religii i etyki w szkole". Projekt ustawy postuluje powrót do obowiązkowych lekcji religii lub etyki w szkole w wymiarze dwóch godzin tygodniowo. Ocena z tych przedmiotów miałaby na powrót być umieszczana na świadectwie i wliczana do średniej.

Paweł: Jestem przedstawicielem dobrego Boga, więc nie będę się bawić w złego policjanta

– Jako jeden z nielicznych katechetów wciąż uczę tylko religii. Wszyscy albo uczą już dwóch przedmiotów, albo w ogóle się ewakuują. A ja wciąż robię to, co lubię, i nawet udaje mi się z tego żyć. Ale to tylko dlatego, że jestem szczęściarzem. Dobrze się ożeniłem – moja żona miała dom, więc nie mam kredytu. Mama zostawiła mi mieszkanie, więc mogę je wynajmować. Oraz mam troje dzieci, więc dzięki Kaczyńskiemu i Tuskowi – żeby tak zapalić Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek – mam również trzy razy 800 plus. Do tego jeżdżę do pracy rowerem i pracuję od ósmej do osiemnastej. I dobrze mi z tym – mówi Paweł Staniewicz, który uczy religii w warszawskim Liceum im. Staszica.

– O tym, że zostanę nauczycielem, różne osoby przepowiadały mi od dziecka. Zawsze chciałem rozumieć, a kiedy już zrozumiałem – tłumaczyć to innym.

Mój najlepszy przyjaciel był ateistą. Jego ojciec mówił, że Biblia to bajki dla naiwnych dzieci, moja mama – odwrotnie.

Szybkośmy się zaprzyjaźnili, bo byliśmy jedynymi, których te sprawy interesują. Pozostali byli tumiwisistami – „Jest Bóg czy Boga nie ma – chodźmy pograć w piłkę". Myśmy też szli, ale przed i po dyskutowaliśmy.

Żaden drugiego jak dotąd nie przekonał, bo – jak wiadomo – nie ma ani dowodów na istnienie Boga, ani dowodów na jego nieistnienie. Są tylko poszlaki.

Studiowałem teologię, ale zanim zacznie się teologię, najpierw przez dwa lata studiuje się filozofię. Wtedy się w filozofii zakochałem, bo filozofia jest tym dla teologii, czym matematyka dla fizyki. Swoim uczniom zawsze mówię, że chcę umrzeć, znając prawdę. Jeżeli przekonają mnie, że ona jest gdziekolwiek indziej, to daję słowo, że zmienię wiarę, poglądy, wszystko. Ale na razie jeszcze nikt mnie nie przekonał. Nigdy nie miałem jakiegoś wielkiego kryzysu wiary. Miałem tylko taki moment, kiedy było mi z nią nie po drodze. Jak by to ładnie ująć? Trochę się namieszało wtedy w moim życiu i starałem się o niej nie myśleć.

Na moje lekcje w Staszicu chodziło zwykle 60 proc. uczniów szkoły. W tym roku, po reformie, chodzi połowa. To średnia podkarpacka, a nie warszawska! W niektórych liceach w Warszawie chodzą dwie, trzy osoby. Co robię, że chcą chodzić? Gra się tak, jak przeciwnik pozwala, jak mówił Kazimierz Górski. Przychodzą spóźnieni, bo wiedzą, że nawet się krzywo na nich za to nie spojrzę. Nie krzyczę, nie robię kartkówek. Bardzo słabo też sprawdzam obecność. Mam przecież ich zachęcić, a nie wypłoszyć. Muszę być najpierw empatycznym człowiekiem, a dopiero potem katechetą. Jestem tam przedstawicielem dobrego Boga, więc nie będę się bawić w złego policjanta! Jak to ktoś ładnie ujął: są katechetci, którzy głoszą dobrą nowinę o wiecznym potępieniu. To nie ja.

Program? Matematyk czy polonista musi zrobić program pod maturę, ja to ich uczę pod sąd ostateczny...

Przede wszystkim muszę zrobić wszystko, żeby oni chcieli ze mną dyskutować, bo inaczej nie będę miał uczniów. Myślę, że przeciętny katecheta jest odrobinę lepszym nauczycielem od innych, bo polonista może być wypalony, a i tak uczy – nikt mu nie podskoczy. Wypalony katecheta straci pracę, bo wypiszą mu się wszystkie dzieci z lekcji.

Zdarzają się klasy trudne, tak zwane akwaryczne, które milczą i patrzą na mnie jak ryby w akwarium. Ale zdarzają się i takie, że mógłbym dopłacić za to, że tam jestem. Ich pytania sięgają samych trzewi: śmierci, seksu, sensu życia. Staram się przekazywać im wiedzę teologiczną, ale kiedy przychodzą tacy nagrzani, z trudnymi tematami, transsubstancjacja czy tajemnica Trójcy Świętej odchodzą na półkę.

Tak, pytają o pedofilię w Kościele. Cóż, ja się identyfikuję z Kościołem katolickim, z jego najpiękniejszymi i najgorszymi kartami. To trochę jak z rodziną – mogę się wstydzić za wujka alkoholika, ale nie zmieniam nazwiska. O tym jest przypowieść o dobrym Samarytaninie, który zabiera potrzebującego do gospody – tej podłej speluny pełnej alkoholu i prostytutek. Kościół jest jak ta gospoda. Chciałoby się, żeby była lepsza, ale jest, jaka jest. Jezus wiedział, że tak będzie. Jak się czyta historię apostołów, to z całym szacunkiem, ale ja nie zatrudniłbym takich ludzi do roboty. Żadna korporacja z takim personelem nie przetrwałaby dwudziestu lat, a kościół ma ich przeszło dwa tysiące. Czy to nie dowód na to, że to niesamowita instytucja?

Jeśli chodzi o doktrynę, Kościół katolicki bardzo mało się przez ten czas zmienił.

Kościół przypomina trochę – przepraszam za to porównanie – Tomasza Terlikowskiego. Zmienił trochę język, trochę podejście do pewnych kwestii, ale tak naprawdę nie zmienił poglądów. Czego najlepszym dowodem są ci, którzy pytają: „Gdzie te kobiety księża? Gdzie małżeństwa homoseksualne? Gdzie rozwody?". Celibat akurat nie jest dogmatem, ale uważam, że jest przydatny. Kiedy miałem w życiu zawirowania, pomógł mi pewien ksiądz. Mogłem siedzieć u niego do 1 w nocy tylko dlatego, że żył w celibacie. Jak do mnie przychodzi uczeń i prosi o rozmowę, to ja mówię: „Dobrze, ale o 19 musimy skończyć, bo mnie żona patelnią zabije".

Na moją religię często przychodzą ludzie niewierzący. W zeszłym roku wypisała mi się dziewczyna, która chodzi codziennie na mszę trydencką. „Te pana lekcje nic mi nie dają! Ja bym chciała poczytać dekrety soborów, a pan cały czas dyskutuje z tymi niewierzącymi!" – mówi. Ale najwięcej niewierzących mam na oddziale psychiatrii dziecięcej, gdzie też uczę.

Pierwsze, o co pytają, to czy LGBT to grzech. „Bardzo mi miło, mam na imię Paweł – ja na to. – Jestem szczęśliwym mężem i seks jest dla mnie bardzo ważny, ale z nikim się nie witam, mówiąc: »Dzień dobry, jestem heteroseksualistą«. Najpierw się trochę poznajmy, a obiecuję, że wrócimy do wątków seksualnych, łącznie z LGBTQ".

I rzeczywiście, po jakimś czasie wracamy. Homoseksualizm, tak jak i heteroseksualizm, jest neutralny moralnie i Kościół się na ten temat nie wypowiada. Natomiast – i mówię im to otwarcie – Kościół katolicki ma najtrudniejszą etykę seksualną na świecie. Czasami żartuję, że gdybym miał wybrać religię, która najbardziej by pasowała do moich pragnień, zostałbym muzułmaninem. Jezus stawia nam poprzeczkę dramatycznie wysoko. Wystarczy, że spojrzę na piękną kobietę i stworzę sobie naturalną dla zdrowego mężczyzny wizję, to już równa się to cudzołóstwu! Więc powiedzmy sobie uczciwie – homoseksualiści nie są tu jakoś wyjątkowo źle traktowani.

Ale przede wszystkim opowiadam im o sensie życia. Że jest Bóg, który ich kocha. Że ich życie nie jest pomyłką. I że wszystkie te wydarzenia, nawet tak trudne jak choroba psychiczna czy próba samobójcza, mogą się okazać kiedyś klockiem w pewnej większej układance.

Uważam, że to jest bardzo wielka strata, że można dzisiaj wybrać nic. Mój wymarzony model to jedna obowiązkowa godzina religioznawstwa i jedna godzina dla chętnych etyki lub religii do wyboru. Dzieci wypisują się z religii, etyki i edukacji zdrowotnej, ale gdyby mogły zrezygnować z biologii, chemii i matematyki, to też by to zrobiły.

Potrzebujemy przestrzeni, gdzie dzieci będą mogły porozmawiać o sensie życia. Jeżeli mamy czas na WF, muzykę i plastykę, to powinniśmy znaleźć czas także na sens życia. Frekwencja na religii tu, na psychiatrii, jest dla mnie najlepszym tego dowodem. Przychodzą do mnie sataniści, mimo że mówię od razu: „Słuchajcie, moim sensem życia jest Jezus. Jak będziecie się źle czuli, możecie wyjść w każdej chwili". Nigdy nie wychodzą.

Przyszedł do mnie raz chłopiec ateista ze łzami w oczach. Mówi, że się boi. Jedyne, co miałem, to obrazek Jezusa z napisem „Jezu ufam Tobie". Dałem mu go i mówię: „Słuchaj, buddyści nie wierzą w Boga, ale się modlą. Ty też możesz. Jeśli będzie ci się chciało wyć, weź ten obrazek i powtarzaj jak mantrę: »Jesteś czy Cię nie ma, ufam Tobie«". Po jakimś czasie mówi: „Wie pan, że to pomaga?".

Osiemnasty rok jestem katechetą; przez pierwsze dziesięć lat to bym się wypisał z własnej religii. Może rok przed emeryturą poprowadzę taką lekcję, o której powiem: „O, na taką religię to ja chciałbym chodzić".

Maria: wolność wyborów jest w kościele słabo akcentowana

– Swoją historię z katechezą zaczęłam 25 lat temu za granicą. Uczyłam tam religii w szkołach podstawowych i średnich jako przedmiotu niewyznaniowego, byłam również zaangażowana w katechezę w parafii razem z innymi świeckimi – mówi Maria, katechetka z diecezji białostockiej.

– Religia i katecheza to moim zdaniem dwie zupełnie różne ścieżki. Katecheza to moment skupienia, budowania duchowości, której w naszych czasach, kiedy rośnie poczucie pustki, brakuje coraz bardziej. Biorą w niej udział osoby wierzące, które moment decyzji mają już za sobą – są świadome wyboru podążania za Jezusem.

Dlatego katecheza w szkole jest dla mnie nieporozumieniem; szkoła nie jest do tego dobrym miejscem. W szkole dzieci powinny poznawać różne sposoby rozumienia świata. Religia w szkole, rozumiana jako racjonalne poznawanie chrześcijaństwa i jego znaczenia kulturowego, powinna być obecna i ale nie powinna być przedmiotem o charakterze wyznaniowym.

Potrzebę katechezy można natomiast zaspokajać w miejscu przeznaczonym do tego – w parafii. Tym bardziej że katecheza to także sposób na budowanie i kształtowanie wspólnoty. Samo uczęszczanie do kościoła to zbyt mało, żeby stworzyć wspólnotę wierzących. Wspólnota buduje się przez relacje, wspólne działania, niesienie pomocy potrzebującym. To dzięki temu Kościół się rozrasta.

Zdecydowałam się na powrót do Polski, żeby zaopiekować się moją mamą, która stała się osobą niesamodzielną. Byłabym hipokrytką, gdybym uczyła tego, czym jest troska o drugiego człowieka, nie troszcząc się o własną matkę. Ale przefastrygowanie do polskiej rzeczywistości było dla mnie bardzo trudne. Szczególnie bałam się uczenia religii w szkole; wiedziałam, że moja wizja Kościoła jest zupełnie inna. Podjęłam w końcu tę pracę, ale uznałam, że będę pracować tak, jak dyktuje mi moje sumienie.

Po powrocie zdałam sobie sprawę, że współczesna Polska to już zupełnie inny kraj niż ten, z którego przed laty wyjechałam. Myślę, że tylko jakieś 20 proc. uczniów chodzą-

Chłopak, szósta klasa, pyta szczerze: „Jak Matka Boża mogła być dziewicą, skoro urodziła Jezusa?"

FOT. GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl 86b7bc0612

cych na religię w klasach, w których uczę, świadomie wyznaje wiarę.

Na lekcjach skupiam się więc przede wszystkim na tym, żeby im pokazać, kim jest Bóg. Obecne pokolenie już się go nie boi, ale też nie ma z nim bliższej relacji. Bóg stał się taki trochę nijaki, nieinteresujący. Dużo pracujemy więc z tekstem biblijnym, żeby mieli bezpośrednią styczność ze Słowem Bożym. I dzieci są go ciekawe. Nie są to łatwe teksty, ale po to z nimi jestem, żeby im towarzyszyć. Pozwalam im na pytania i wątpliwości; to moment kształtowania się ich indywidualnych postaw i odrębności.

Często pytają o to, czy ta postawa lub czyn jest grzechem. To pytanie od samego początku błędne, bo kształtowanie postaw moralnych jest wtórne.

Jeśli nauczymy się rozeznawania własnego sumienia, to moralne wybory staną się naturalne. Moim zdaniem kościół w Polsce niestety to przekłamanie podtrzymuje. Katecheza sprowadza się często do kształtowania konkretnych postaw. Uważam, że powinniśmy dążyć do tego, by człowiek umiał sam dokonywać właściwych wyborów, które są zgodne z nauką Kościoła. To wolność powinna kształtować naszą wiarę i wyrażać się w trosce o drugiego człowieka, a to jest w Kościele słabo akcentowane.

Myślę, że bolączką Kościoła w Polsce jest klerykalizm. Brakuje w naszych parafiach wymiaru społecznego. Ustalenia Soboru Watykańskiego II, że Kościół powinien być wspólnotą, a nie hierarchiczną instytucją, wciąż nie są w Polsce wystarczająco wprowadzane w życie.

Kościół długo był u nas miejscem schronienia przeciwko jakiejś ideologicznej napaści; musimy to zmienić – budować wspólnotę, a nie stronnictwa, hierarchię zamienić na partnerstwo. Ksiądz powinien być bliżej ludzi; nie wystarczy kolęda raz do roku. Homilie, które słyszymy w kościele, są często po prostu odklejone od rzeczywistości, naznaczone brakiem zrozumienia tego, czym żyją ludzie. Gdybyśmy byli bliżej siebie, do naszej wspólnoty wielu chciałoby dołączyć.

Mówimy dzisiaj młodym, że są częścią Kościoła, ale jak mają się w nim odnaleźć, jeśli nie przez konkretne działania? Młodzi potrzebują aktywności i poczucia sprawczości, w których dorośli powinni im towarzyszyć. Z tego powodu poświęcam czas, by w ramach wolontariatu współpracować z pewną organizacją pozarządową. Uczestniczą w tym chętnie dzieci i wierzące, i niewierzące. To jeden ze sposobów głoszenia Ewangelii.

W polskim Kościele brakuje głosu świeckich. Wynika to z postawy prezbiteriatu polskiego – braku chęci współpracy. Jednym z dowodów jest to, że my, katecheci świeccy, zostaliśmy tylko symbolicznie zaproszeni do dyskusji na temat zmian, jakie zachodzą w edukacji. A przecież, gdybyśmy zostali wysłuchani, moglibyśmy wiele do niej wnieść.

Ale skoro już Ministerstwo Edukacji zmniejszyło liczbę godzin religii w szkole, to może, zamiast załamywać ręce, pomyślimy, jaka jest dobra strona medalu? Może to dobra okazja, żeby religia w szkole stała się przedmiotem o charakterze nie wyznaniowym, choć opartym na wartościach chrześcijańskich, a katecheza w parafii przyczyniła się do wzrostu wiary i budowania wspólnoty lokalnej?

Pierwsze, o co pytają, to czy LGBT to grzech

Bartek: Po licencjacie z Kanta i szczególnej teorii względności wstąpiłem do nowicjatu

– Z jednej strony boli mnie to osobiście, że tylu młodych osób odchodzi od wiary. Z drugiej stało się to dla mnie motywacją do nauczania religii. Bo po utracie wiary pozostaje w nich jakaś pustka. Są wrzuceni w świat pozbawiony znaczenia, w którym trudno się odnaleźć. Autentyczna wiara daje poczucie sensu, że jest w życiu coś, dla czego warto żyć i podejmować wysiłki. To właśnie chciałbym tym młodym ludziom przekazać – mówi Bartek Wesół, 28 lat, który od czterech lat na jedną dziesiątą etatu uczy religii w warszawskim Liceum Stevensona. Oprócz tego studiuje teologię i pisze doktorat z filozofii. Na jego lekcje chodzi zwykle po pięcioro uczniów z jednego rocznika.

– Kiedy miałem 12 lat, trafiłem do duszpasterstwa dominikanów. Moja mama należała do ruchu neokatechumenalnego, tata wychował się w oazie, moja siostra również, uczyłem się w szkole katolickiej. Ale dominikanie to była inna religijność niż ta, którą dotąd znałem. Byłem trochę w kontrze do tego, jak wiarę przeżywali moi rodzice, i do tego, co znałem ze szkoły, w której było dużo przymusu i sztywności. Chciałem to robić po swojemu.

W klasie maturalnej zacząłem się zastanawiać nad powołaniem do zakonu, ale ojcowie dominikanie poradzili mi, żebym najpierw poszedł na studia. Wahałem się pomiędzy fizyką i filozofią, zdecydowałem się więc na studia międzywydziałowe, które pozwoliły mi to połączyć.

Na początku studiów miałem duży kryzys wiary. Zajmowałem się głównie filozofią, która w dużej mierze polega na wątpieniu... Myślę, że kluczowym dla mnie momentem było zrozumienie, że to jest kwestia mojej decyzji. Wybrałem wiarę, bo w niej odnalazłem sens. To dzięki niej, idąc przez życie, nie muszę się bać, bo mam kogoś, kto we mnie wierzy i mnie wspiera.

Po licencjacie z Kanta i szczególnej teorii względności wstąpiłem do nowicjatu. Przez rok mieszkałem w klasztorze, nosiłem habit, kontakt telefoniczny miałem tylko z najbliższą rodziną, a z przyjaciółmi jedynie listowny. Wykorzystałem ten czas, żeby głębiej wejść w siebie oraz pogłębić relację z Bogiem.

I odkryłem, że zakon to dla mnie bezpieczna, wygodna droga, a moim powołaniem jest jednak życie świeckie. Wróciłem na studia, napisałem magisterkę z Kanta i mechaniki kwantowej. To było bardzo ciekawe, ale trochę oderwane od życia, co popchnęło mnie do tego, żeby zostać nauczycielem.

Na początku byłem zagubiony. Chciałem się dzielić swoją wiarą, ale jednocześnie musiałem wziąć pod uwagę podstawę programową i przekazywać uczniom konkretną wiedzę. Nie chciałem się skupiać na ocenach, choć musiałem przecież stawiać stopnie. Oswoiłem się z tym wszystkim dopiero niedawno.

Staram się odpowiadać na ich potrzeby. Robimy lekcje dyskusyjne, oni wybierają temat.

Ciekawi ich stosunek Kościoła do osób homoseksualnych, aborcji, kapłaństwa kobiet, innych religii. Przerabiam to z przyjemnością.

Co roku zapraszam do naszej szkoły znajomego muzułmanina z fundacji „Dunaj" Instytut Dialogu, gdzie wcześniej pracowałem, bo dzieci o islamie nie wiedzą prawie nic, a mimo to często mają już wyrobioną opinię.

Młodzi mają bardzo dużo pytań, wątpliwości. Myślę, że brakuje im w Kościele przestrzeni, żeby móc to wyrazić. Staram się niczego przed nimi nie ukrywać i nie unikać trudnych rozmów. Kiedy ja byłem w ich wieku, bardzo ważna była autentyczność, której doświadczyłem u dominikanów. W mojej katolickiej szkole tak sobie radzono z niektórymi sprawami, że po prostu o tym nie rozmawiano.

Najbardziej muszę odkręcać ich wyobrażenie na temat Boga. Wciąż trochę budzi ich lęk, ale już czują, że nie o to chodzi, że mamy tylko bać się piekła. Mówię im, że – jak pisze św. Jan – Bóg jest miłością, a prawdziwa miłość usuwa lęk. To jest istota chrześcijaństwa: miłość, która wyzwala od lęku.

Dorota: Czasem ktoś powie: „Proszę pani, Adam jest pedałem!"

– Kiedy po reformie zobaczyłam swój plan, pomyślałam: „35 lat pracuję, a jestem traktowana jak śmieć". Same okienka, pierwsze godziny i ostatnie. Całą radę pedagogiczną w sierpniu przepłakałam. Nie dźwignęłam tego. Od września jestem na L4 – mówi Dorota Chmielewska, katechetka z Jeżewa w powiecie świeckim, województwo kujawsko-pomorskie.

Dlaczego zostałam katechetką? Działanie Pana Boga – kwituje. Uczy, odkąd w 1990 roku religia wróciła do szkół.

– „Dorota, a może ty byś chciała uczyć?" – zapytał mnie ksiądz proboszcz, chociaż nie miałam wtedy jeszcze studiów. Teraz mam skończoną zaocznie teologię, oligofrenopedagogikę, pedagogikę przedszkolną i przygotowanie do życia w rodzinie, ale wtedy to u nas na wsi człowiek nic nie wiedział o takich sprawach jak studia.

Co prawda przeczytałam w jakiejś gazecie o Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie i marzyłam o teologii, ale do Warszawy miałam 300 km. Trzeba było zabrać się do czegoś innego. Skończyłam jako technik analityki medycznej i zaczęłam pracować w szpitalu.

Natomiast od dziecka byłam zaangażowana w życie Kościoła. Chodziłam na piesze pielgrzymki do Częstochowy i jeździłam na rekolekcje; kupowałam tam Pismo Święte dla młodzieży i przywoziłam do wioski. Miałam dużo zamówień, wtedy książek religijnych u nas nie było. Nie zapomnę, jak ksiądz nam powiedział przed komunią, że nie dostaniemy książeczek do komunii, bo na granicy zostały przechwycone i spalone.

Zaczęła pracę w trzech szkołach równocześnie. W jednej z nich, największej, dla 400 uczniów, pracuje do dziś. Oprócz tego uczyła w dwóch małych szkołach w okolicy, jednej dla 120 i drugiej dla 40 uczniów.

– Widziałam, jak się cieszą, że mają religię w szkole – że mogą się modlić, kolorować, śpiewać, robić jasełka. Rodzice niektórych dzieci nie mogli ich dowozić na religię przy parafii, bo mieli za daleko, samochód nie zawsze był. Moja mama wspomina co prawda, że chodziła do kościoła pieszo 7 km, ale dzisiaj to by już nie przeszło.

U mnie nigdy nie było problemu z frekwencją. W przeciągu 35 lat mojej pracy dwie osoby zrezygnowały z religii. Kilkoro dzieci nie uczestniczy w lekcjach religii. Żal mi ich, bo w naszej szkole nie ma niestety lekcji etyki, choć powinna być.

Starałam się na lekcjach wprowadzać atmosferę rodzinności i życzliwości. Uczyć dzieci tego, czego Pan Bóg nas uczy: żeby być dobrym, życzliwym, przebaczającym, a to trudne na co dzień, w rozpędzonym świecie. Pan Bóg to teraz dla dzieci taki dobry kumpel, przyjaciel, przewodnik. Czują, że mogą nabroić, a on i tak im przebaczy.

Praca katechetki to wielka odpowiedzialność za każde słowo. Chłopak, szósta klasa, pyta szczerze: „Jak Matka Boża mogła być dziewicą, skoro urodziła Jezusa?". Zapewniam ich zawsze, że każde pytanie jest możliwe, odpowiadam więc zgodnie z zasadami wiary:

„Widzisz, po ludzku to niemożliwe. Ale z punktu widzenia naszej wiary Maryja była pełna łaski, czyli bez grzechu. Albo zechcesz w to uwierzyć, albo nie. Masz wolność, aby dokonać wyboru" – mówię. Bo wiara to otwartość serca. Tłumaczę dzieciom: „To tak jak z czekoladą. Ktoś wam może opowiadać, jaka jest pyszna, ale dopóki sami jej nie posmakujecie, nie będziecie wiedzieć. To sprawa złapania osobistego kontaktu z Panem Bogiem".

Raz zapytali o księży pedofilów, tyle na ten temat jest wokoło, w mediach. Odpowiedziałam: „Wiele złych rzeczy się w Kościele zadziało. Grzech jest wszędzie tam, gdzie ludzie. To nie jest tak, że jak ktoś jest księdzem czy siostrą zakonną, to nie będzie popełniał błędów. To, co jest przestępstwem, musi być odpowiednio ukarane. Jeżeli coś się złego dzieje, trzeba to zgłaszać, chronić siebie i innych. Do mnie zawsze możecie przyjść" – zapewniam, że zawsze pomogę.

Zdarzało mi się popłakać na lekcji, bo uczeń sprawiał takie problemy, że bariera pękła i łzy się polały. I to też miało znaczenie wychowawcze. Myślę, że uczniowie widzieli we mnie człowieka, który jak i oni mierzy się z trudnościami.

Czasem ktoś powie: „Proszę pani, Adam jest pedałem!". Tłumaczę: „Nie obrażajcie kolegi! Nie chodzi o to, żeby kogoś piętnować! Kościół katolicki mówi, że związki takie są przed Panem Bogiem niewłaściwe, czyli są grzechem. Ale to, że ktoś czuje, że jest homoseksualistą, to jeszcze nie znaczy, że musi żyć w takim związku. Są przecież tacy, którzy nie zakładają rodzin. To nie jest tak, że mamy wszystko w życiu, co byśmy chcieli".

Zawsze byłam bardzo zajęta – zarówno w szkole, jak i w parafii. Nie było czasu na hobby, nawet na odpoczynek. Prowadziłam grupę liturgiczną i grupę rycerzy Niepokalanej, we wrześniu organizowałam wyjazdy do Niepokalanowa, w październiku – na diecezjalny dzień misyjny do Pelplina. Prowadziłam też sklepik misyjny i sprzątałam groby przed 1 listopada.

W grudniu był znowu wyjazd do Pelplina, chodzenie po domach z kolędowaniem i zbieranie pieniędzy na pomoc dla misji. Wiosną robienie palm na kiermasz misyjny i sprzedawanie ich w kościele, aby np. kupić sprzęt dla chorych, którzy będą mogli wypożyczyć go przez gminny ośrodek pomocy społecznej. W maju – przygotowania do komunii. I tak na okrągło.

Działam też w Stowarzyszeniu Katechetów Świeckich. Jestem zaangażowana w walkę o religię i etykę w szkole, bo są one potrzebne do wychowania dzieci do wartości uniwersalnych. Napisaliśmy projekt ustawy „TAK dla lekcji religii lub etyki w szkole". W krajach Unii Europejskiej odbywają się lekcje religii lub etyki, a w Polsce jest z tym problem.

Zbiórka podpisów przerosła nasze oczekiwania – mamy ich ponad pół miliona. Mam nadzieję, że nasza inicjatywa ustawodawcza – obywatelski projekt ustawy o obligatoryjnym wyborze religii lub/i etyki w szkole – przejdzie proces legislacji i uczniowie będą mieli zagwarantowane wychowanie do wartości zgodnie z życzeniem rodziców.

Od września dzieci widzę tylko w kościele. Bardzo za nimi tęsknię. Ale jak człowiek nagle tak wysiądzie z wyczerpania i ciągłej niepewności co do przyszłości, co do zachowania wolności wyznania w przestrzeni publicznej, to nie może dzieciom tego zanieść. Do dzieci trzeba iść z nadzieją, radością. Odpocznę i czas pokaże, co będzie. ●

Kościół przypomina trochę – przepraszam za to porównanie – Tomasza Terlikowskiego

eprasa.pl 86b7bc0612

CIEPŁE MIEJSCE

Nigdy cię pijanego nie widziałem ani żeby coś się działo złego. Ale mama nie chce cię zabrać w ten mróz.

Iwona Görke

Termometr wskazuje minus 7 stopni Celsjusza. W Olsztynie jest piękny, słoneczny poranek. Za chwilę razem ze strażnikami miejskimi: Adamem i Darkiem, ruszę na patrol. Odwiedzimy koczowiska osób bezdomnych.

– W weekend mieliśmy takie zgłoszenie: mężczyzna śpi w zsypie w bloku – opowiada komendant Straży Miejskiej w Olsztynie Jarosław Lipiński. Przyszedł się przywitać, zanim wyruszę z jego pracownikami na patrol. – Nocy w tym zsypie by nie przeżył. Jest za zimno, miał w dodatku 5,5 promila alkoholu w wydychanym powietrzu.

Najpierw zajeżdżamy do Caritasu odebrać herbatę.

Dostajemy wielki gar z kurkiem i plastikowe kubki. Pani pyta, czy weźmiemy chleb i pasztet. Weźmiemy.

Do Caritasu wchodzi mężczyzna. Chce się umyć i ogolić. Gdy słyszy, że do łazienki jest czwarty w kolejce, zmienia zdanie. Potrzebuje się tylko ogolić, może to zrobić już teraz, wejdzie do łazienki, gdy inna osoba się kąpie. Na to nie ma szans. Łazienkę mam jedną, mówi pracownik. Kąpiel czy golenie, nieważne. Swoje trzeba odczekać.

Samochód

Radiowóz jest spory, ale wielki gar z herbatą nie jest łatwo zapakować. Bagażnik wypełniony jest różnej wielkości klatkami dla zwierząt – strażnicy prowadzą też zwierzęce interwencje.

– Najpierw pojedziemy do tego pana, co mieszka w samochodzie – zapada decyzja.

– W nocy było bardzo zimno, możliwe, że go nie będzie – ostrzega Adam.

– W takie mrozy bezdomni szukają cieplejszych miejsc na nocleg – dopowiada Darek.

– Schronisko albo noclegownia? – dopytuję.

– Raczej klatka schodowa. W ubiegłym tygodniu rozmawialiśmy z dziesiątkami osób. Tylko dwie zdecydowały się na pójście do schroniska – mówi Adam.

Zatrzymujemy się. Gdy on już otwiera drzwi od zaparkowanego pod drzewem auta, wciskam długopis w notes. Nie ma nikogo. Są za to wydeptane ślady, można więc założyć, że mężczyzna koczujący w samochodzie spędził w nim noc. I wyszedł.

– Zbiera coś na sprzedaż? – pytam.

– Trudno powiedzieć, oni się z nami takimi informacjami nie dzielą – przyznaje Darek.

Samochód jest pokryty śniegiem, wygląda to prawie jak kamuflaż. Zaglądam do środka. Pełno w nim koców, jakieś kołdry, ubrania. Jest słoi z jedzeniem, siatka z pieczywem przykryta niebieskim kocem, butelka wody wystaje spod siedzenia kierowcy. Na aucie – folie i plandeki mające ocieplać. Ale samochód to przecież blacha. Musi być w nim zimno. Nietrudno sobie wyobrazić, jak bardzo.

Samochód nie jest dobytkiem jego aktualnego lokatora. Ktoś go porzucił i zajął go ten pan, którego nie spotkaliśmy.

– Ten samochód jest tu już od miesięcy – zwraca się do nas przechodząca obok kobieta.

– A ten pan, co w nim śpi?

– A to ja tu nie widziałam nikogo. – Kobieta wydaje się zaskoczona.

Bo to zła kobieta była

Adam i Darek pracują w Straży Miejskiej od 25 lat. Naoglądali się bezdomności. Ładna nie jest, mówią. Wiadomo – każda osoba ma swoją indywidualną historię. Ale są punkty wspólne. Często jest tak: alkohol, utrata pracy, rozwód, więcej alkoholu, ulica.

– Mężczyźni o swoich byłych często mówią: „Bo to zła kobieta była" – opowiada Darek. – Zawsze jest jakiś problem, z którym człowiek nie potrafi sobie poradzić. Nikt przecież nie rodzi się z myślą, że dostanie bezdomnym.

• Strażnik Darek odchyla baner, który zastępuje ściany. Lokatora nie ma

FOT. IWONA GÖRKE

• Ktoś porzucił ten samochód. Zamieszkał w nim bezdomny

FOT. IWONA GÖRKE

Są jednak i zmiany. Ale nie na lepsze. Na ulicach można zauważyć coraz więcej młodych mężczyzn.

Jedziemy w kolejne miejsce. Zatrzymujemy się przy ulicy, przy której ktoś zostawił kilka płyt pilśniowych. Strażnicy mówią, że to ci panowie, co tu mieszkają, przynieśli sobie na opał. Mieszkają w altance, mają kozę. Jest i butla z gazem zasilająca kuchenkę turystyczną, stoją na niej osmolone patelnia i czajnik.

Altana ma może jakieś 8 m kw. Pod jedną ze ścian stoi rozłożona wersalka wyłożona sfatygowanymi kocami i kołdrami. Jest na niej i plecak, nieodłączny element tułaczego życia. Po drugiej stronie, przy oknie, nad kozą rozpościera się sznurek. Na nim suszą się jakieś fragmenty ubrań.

Elementem wystroju są różnorodne meble – jakaś stara szafka kuchenna, fragment meblościanki, pufa nakryta ścierką. Jest i duży zegar w czerwonej plastikowej ramie. Działa. Przed nim leżą dwie mandarynki, na półce poniżej – śrubokręty i inne narzędzia. Rzeczy jest sporo. Także takich przydasiów.

Lokatorów nie ma. Najpewniej, sądząc po śladach, a raczej ich braku w śniegu, nie spędzili tu nocy. Teraz mieszka tu dwóch panów. Wcześniej była jeszcze kobieta, ale strażnicy mówią, że została pobita i trafiła do jakiegoś ośrodka.

Trzy kołdry i mróz

Po kilkuminutowym marszu w śniegu trafiamy w kolejne miejsce. Stary budynek z czerwonej cegły. Zrujnowany. Wejście osłonięte jest kocem przymocowanym do framugi i płytą na dole. Zastajemy lokatora. Herbaty nie chce. Pasztetu ani chleba też nie.

– Zaraz idę do Caritasu. Zupy są o 11:30 – tłumaczy mężczyzna, może mieć 45, ale i równie dobrze 55 lat.

Pozwala wejść do środka. Ma na sobie kurtkę i czapkę. Do schroniska nie chce iść. – Mam trzy kołdry – mówi. Chociaż przyznaje, że mróz ma i w środku.

– Kozy nie ma? – pyta Darek.

– Nie ma, to teren kolejowy jest, jakbym zaczął palić, to by mnie jeszcze stąd wygonili – odpowiada.

Dwa lata już tam koczuje. Wcześniej też mieszkał w starym budynku na kolejowej działce, ale kolejarze teren sprzedali, to się musiał wynieść. No i tak trafił tutaj. Początkowo mieszkał na dole, w piwnicy. Ale tam ciemno, dlatego przeniósł się na górę, czyli na poziom zero.

– Jakby pan tu powiesił folię na okna, tę NFC, to by pan sobie jeszcze ze stopień zatrzymał. A najlepiej to dywany. – Darek taksuje pomieszczenie. Mężczyzna odpowiada, że musiałby jakieś belki zainstalować, żeby te dywany wieszać. Wspomina, że tu nawet okien nie miał. W miejsce szyb wstawił to, co znalazł. Okna są więc nieszczelną mozaiką płyt, szkła i paneli. Drzwi to wspomniane już koc i płyta.

– Styropianem też by pan mógł sobie ocieplić. To lepiej by trochę było – kombinuje dalej Darek.

Przy ścianie, na której wisi znaleziona niedaleko podkowa, stoi łóżko. Na nim wielka poduszka i te trzy kołdry, które zapewniają ty-

eprasa.pl 86b7bc0612

le ciepła, że nie chce iść do schroniska. Między ścianą a łóżkiem wciśnięta czarna karimata. Ma chociaż trochę zredukować chłód od czerwonych cegieł.

Są i stoliki. Suto zastawione – napoczęte konserwy i opakowania po nich, wkłady do zniczy, sztućce, wysoka szklanka z Ikei, przyprawa do kurczaka, ogórek, zmarznięte pomarańcze, budzik w czarnej plastikowej obudowie. Na parapecie stoi drugi, jakby złoty. Nie działa.

Na podłodze sporo ubrań, opakowania od pasztetu z żurawiną, butelki po wodzie i wódce, piwie, sosie do potraw. Jest i dziecięcy wózek.

Woda zamarza, tak samo zresztą chleb.

Do schroniska nie chce. Mówi, że się o nich nasłuchał. Ten czasownik nie zwiastuje niczego dobrego.

– Nie tylko o tak, od ludzi, ale i w radiu. W innych miastach jest tak samo – stwierdza.

– Czyli jak? – dopytuję. A on, patrząc mi prosto w oczy, tłumaczy: – No może nie tyle, że wszy tam można złapać, ale nie wszyscy tam są normalni. Chodzę na Caritas, to widzę. Jedni, co tam przychodzą, są normalni, inni – można powiedzieć – nie do końca. W schronisku nie czułbym się bezpiecznie. Wolę być tutaj. Tu mam święty spokój. W nocy włączę sobie radyjko, leżę sobie spokojnie, nikomu nie przeszkadzam, nikt mi nie przeszkadza.

– A co jest zimą tutaj najtrudniejsze? – pytam.

– To, że woda zamarza – odpowiada, uśmiechając się. Ją czasem czerpie z kranów na cmentarzu.

– A nie temperatura?

– Nie, mam trzy kołdry, mam nawet śpiwór, nawet go jeszcze nie rozpakowałem. – Sięga po tobołek leżący na krześle i pokazuje. – Mnie jest ciepło tak, jak mam. Było minus 17 i ja spałem tu normalnie.

– Nie boi się pan, że się nie obudzi?

– Nie – odpowiada. Ale przyznaje, że spod tych kołder rano to się wychodzić nie chce. No i czasem tak zasypie, że trudno się wydostać. A przecież nie będzie tu siedział cały dzień i dobytku pilnował. Chociaż kilka razy go okradli. Stracił butlę z gazem, maszynkę do golenia i dużą latarkę.

Mężczyzna wychodzi m.in. do Caritasu czy znajomego na Poprzeczną. – Telewizję pooglądać, w ciepłym się herbaty napić – opowiada. Ale teraz nie może, bo kolega jest w szpitalu.

– To może tej herbaty ciepłej pan weźmie od nas – próbujemy go namówić, ale znowu zbywa nas tym, że idzie do Caritasu, zaraz ma autobus, no i gdzie on ją weźmie, jak wróci, to będzie zimna. Albo zamarznięta. Ale okazuje się, że ma termos, i stwierdza, że to dobry pomysł, by nalać herbatę do termosu.

Idziemy razem, we czworo do radiowozu. W drodze opowiada: pod budynek, w którym mieszka, przychodzą dziki i lisy, ale jak się zbliżają, to pies mieszkający niedaleko daje znać. Koty też się pojawiają. Dokarmia je. Jest i mysz.

– Jak ja ją wygonię, to będzie jak ja – bezdomna. – Śmieje się. Poza zwierzętami przychodzi do niego jeszcze ksiądz, jedzenie przynosi, chce mu pracę załatwić, ale do tego przydałby się jakiś telefon komórkowy, to też ma mu załatwić. Pracować by chciał. Jest hydraulikiem.

Już przy samochodzie, kiedy nalewa sobie herbatę do niebieskiego termosu, mówi, że przez wiele lat pracował za granicą. W Niemczech. Wrócił, bo ile można siedzieć za granicą, tym bardziej jak ma się żonę w Polsce.

On miał, ale ona znalazła sobie innego. Sam też poznał inną kobietę. Mieszkali razem, tylko że ona nie płaciła za mieszkanie, więc ją eksmitowali. Wróciła do ojca do Dobrego Miasta.

– A ja zostałem na lodzie – wspomina. I tak wylądował w tym domku kolejarzy. Na ulicy jest cztery lata, może pięć. Dokładnie nie pamięta.

Jest 10:20, przypomina mu jeden ze strażników. Za 10 minut ma autobus do Caritasu. Żegnamy się, życząc sobie dobrego dnia.

– W tym naszym schronisku był niedawno remont, całkiem nowy budynek też jest, warunki nie są złe – mówi Adam już w radiowozie, kiedy jedziemy w kolejne miejsce. – Ale oni nie chcą iść i wymyślają różne powody, takie jak te wszy. Nie przyznają przecież, że nie pójdą, bo pić w nim nie można – stwierdza strażnik. Mówi, że prawie wszyscy piją. Trzech, może czterech, których spotykają, są niepijący.

Panowie wychowani

W kolejnym miejscu mamy odwiedzić kilka osób. Strażnicy pukają do chałupniczo ocieplonej altanki, pierwszej na naszej trasie. Gospodarz uchyla drzwi. Nie zaprasza nas do środka, nie wychodzi na zewnątrz. Opiera się o drzwi. Ma na sobie czarny polar, stoi w skarpetkach na ścierce.

Ciepłej herbaty nie chce. – Właśnie sobie kawkę grzeję – mówi. Ma kuchenkę gazową i piecyk gazowy. W altanie jest całkiem ciepło. Ocieplił ją znalezionymi panelami, wstawił okna, bo jak ją zajął, to ich nie było. I tak sobie tu mieszka.

Jak długo? Trudno powiedzieć, ale bezdomny jest już 14 lat. Nie zawsze tak było. Kiedyś miał gdzie mieszkać, miał pracę. Przepracował zresztą niemało, bo 36 lat. Niedługo będzie mógł się starać o emeryturę. Mówi, że w szczególnych warunkach pracował 23 lata „przy kwasach" w zakładzie chemicznym, ale prywaciarz zarejestrował go jako magazyniera, żeby mniejsze składki za niego odprowadzać.

Mieszkał na kolonii jednej z warmińskich wsi. Matka chciała mieszkanie na niego przepisać, ale on nie chciał, bo kawaler, bezdzietny, na co mu to, na starość musiałby jeszcze chodzić po notariuszach, żeby to na kogoś przepisać.

W schronisku nie czułbym się bezpiecznie. Wolę być tutaj. W nocy włączę sobie radyjko, nikomu nie przeszkadzam, nikt mi nie przeszkadza

– Powiedziałem, żeby na siostrę przepisała, ona dwoje dzieci ma. Tak zrobiła, a siostra mnie wymeldowała – opowiada.

– Czemu tak zrobiła?

– A bo chciała – mówi, enigmatycznie się uśmiechając.

Mama już nie żyje. Siostra w Holandii siedzi. Mieszkanie puste. Ale on tam nie chce iść.

– Co bym tam robił? Drewna tam nie ma, sklepu nie ma.

– I znajomych nie ma – mówi Darek.

– Jak nie ma? Przecież nie poumierali wszyscy. – Śmieje się mężczyzna.

– Ale tam może warunki lepsze? – dopytuję.

– A bo ja wiem, czy lepsze? – ucina temat mieszkania po matce.

– Tu chociaż macie pogadać z kim – mówi strażnik. W naszą stronę zmierza właśnie jeden z mężczyzn mieszkających na działkach.

– Zimno? – pyta mocno otuloną postać Adam.

– Musi, zima jest – odpowiada mężczyzna. Herbaty nie chce, chleba też nie, ale pasztet weźmie chętnie. Jak będziemy wracać do radiowozu, zawołamy go, żeby z nami poszedł i wziął, bo my teraz musimy iść dalej. Sprawdzić, co u reszty mieszkańców tego osobliwego osiedla.

Przechodzimy przez bramkę, nad nami pergola z bluszczu. Na tej posesji w niewielkiej altanie ze spadzistym dachem mieszka kobieta. Wpuszcza nas do wąskiego korytarzyka, w którym stoi turystyczna kuchenka. Ciepło ma, nie chcemy jej wychłodzić domku. Od piątej rano pali. Chętnie weźmie od nas chleb i pasztet.

Kolejna posesja też jest ogrodzona. Znajduje się na niej spora altana zbudowana z różnych płyt i innych elementów oraz dużych szyb. Te są zaparowane. Nikt nie otwiera, próbujemy zajrzeć do środka. W środku widać buty. Strażnicy się zastanawiają, czy wejść i sprawdzić, czy z lokatorami wszystko w porządku. Po chwili uznają, że wyszli i zamknęli drzwi na klucz.

Idziemy dalej. Do domku na drzewie, jak mówią strażnicy. Domek nie jest na drzewie, ale jest to zaskakująca piętrowa konstrukcja. Wąska. Ostatnie piętro, może na wysokości trzech metrów, obite jest banerami. Strażnicy pukają. Nikt się nie odzywa. Darek wdrapuje się na górę. Łatwo nie jest, bo konstrukcja nie jest stabilna. Odchyla baner otulający konstrukcję. Pusto.

To wszyscy. Możemy zajść po panią z altanki z bluszczem i mężczyznę, który wie, że jak jest zima, to musi być zimno.

Drepczę za energiczną panią. Ma na sobie polar i musztardową czapkę.Unosi się za nią słodki zapach perfum. Mówię jej o tym. – To, że na działkach mieszkamy, nie znaczy, że mamy nie dbać o siebie – wydaje się trochę obruszona.

Komplementuję jej domek i ten bluszczyk na pergoli. Mówi, że latem to ma w ogródku same kwiaty. A tak, to nic nie uprawia. Chociaż to „nic" okazuje się marchewką, pietruszką, ogórkami i koperkiem. Na swój użytek. Trawkę sobie podcina nożyczkami.

W tej altance mieszka 11 lat. Od lipca ubiegłego roku jest na emeryturze. Niewielkiej, więc sobie do niej dorabia. Okna myje, na grzyby i jagody chodzi. Siedzieć bezczynnie nie lubi. – Czasu nie mam. – Śmieje się.

Ją i inne osoby mieszkające na tym osiedlu wspomaga fundacja. Nie wie jaka, ale cieszy się, że jest. Jak przyjeżdżają do nich, to często w nocy, nawet przed 23. – Pewnie wcześniej nie mogą, bo pracują – duma kobieta. Wolontariusze przywożą zupy, nawet nowe ubrania. Zaopatrzyli mieszkańców na zimę w skarpetki, kurtki, rękawiczki, więc nie ma co się tej zimy bać, mówi.

– Cieplutko w domu mam – przyznaje. Jest piec i kominek, i słoneczko na gaz. Mieszka tu, jak mówi, na własne życzenie. Alkohol był i życie powywracał do góry nogami. Rodzina jest – dwóch braci. Daleko, ale to nie szkodzi, bo kontaktu z nimi nie ma i nic chce mieć.

– Jeszcze gorsi są niż ci tutaj – przyznaje, wskazując na działki swoich sąsiadów. Ale oni jej nie dokuczają, nie naprzykrzają się, nie przychodzą. I ona do nich też nie.

– Panów mam wychowanych. – Śmieje się. Samotna się nie czuje. Kotkę ma. Zwierzak był pana, co wcześniej tu na rogu mieszkał, a jak ten pan zmarł, to kotka za nią poszła. I tak została.

Jedzenie od matki

Teraz możemy pojechać do tego młodego do namiotu, ale on nam nic nie powie, może tylko głowę z namiotu wystawi – ostrzega Adam.

– To chociaż zapytamy go, czy nie jest głodny – mówię.

– On nigdy nie jest głodny. Jedzenie mu matka przynosi – odpowiada strażnik.

Zatrzymujemy się na pętli autobusowej. Musimy wejść na skarpę. Staram się na nią wdrapać, nie jest łatwo. Tracę równowagę, dwa razy ląduję w śniegu.

Na szczycie skarpy znajduje się dom. Kilka metrów za jego ogrodzeniem, pod drzewem rozstawiony jest szary namiot.

Nie ma jak zapukać, więc Adam głośno mówi: „Dzień dobry", słyszymy jakiś ruch w namiocie. Chwilę to trwa, zanim jego lokator otworzy zamki. Nie wychodzi z namiotu, strażnik prosi go, by bliżej się przesunął, tak by było go dobrze widać.

– Zimno jest? – pyta.

– Daję radę – odpowiada spokojnie postać z namiotu. Na głowę naciągniętą ma czapkę i kaptur.

– Dajesz radę? Do schroniska nie chcesz? – pyta. Odpowiada, że nie chce. – Mamy ciepłą herbatę, chleb, pasztet w samochodzie...

– Nie trzeba.

– Nie trzeba? Nie jesteś głodny? – Adam dopytuje. – Masz co jeść?

– Mam. Mama mi dała.

Wygląda mimo zarostu bardzo młodo. Jego niebieskie oczy patrzą w dół, na rękaw od bluz. Ma ich na sobie trzy. Wystają spod kurtki.

Adam: – Pracy jakiejś szukasz? Tak, żeby sobie pomóc. Nie szukasz? – Chłopak kręci głową. – To powiedz, jaka przyszłość ciebie tutaj czeka.

– Nie wiem.

Lakoniczność nie zraża strażnika. – Zobacz, my rozmawiamy gdzieś ponad pół roku, nie? I nic nie chcesz. Zabrać się stąd, do pracy. Może w schronisku ci pracę załatwią. Masz jakiś fach? Jakiś zawód?

– Nie, ja nie skończyłem szkoły.

– Żadnej? Masz tylko podstawową?

– I gimnazjum. Po nim nic nie kończyłem.

– Mama do domu nie chce cię zabrać? Nawet w te mrozy?

– Nie chce.

– A byś do domu chętnie poszedł, co? Zawsze w domu inaczej, nie? Ty chyba nie jesteś rozrabiańcem, co? Nigdy cię pijanego nie widziałem ani żeby coś się działo złego. Ale mama nie chce cię zabrać.

– Ten konkubent za bardzo nie chce, żebym się tam pojawiał.

Ma braci. Jeden za granicą, drugi gdzieś w Polsce. Nie mają kontaktu. Mówi, że wszyscy wiedzą, w jakich warunkach mieszka.

– Za bardzo nikt nie chce pomóc, co? – ciągnie Adam. – Trzeba iść do pracy, nie oszukujmy się, za każdy kąt trzeba zapłacić, ty pracowałeś, pracy się nie boisz, nie? Ogarnij się, chłopie, nie masz nawet 30 lat. W takich warunkach, jak jesteś, to lepiej nie będzie. Widzisz, że jest coraz gorzej. Jak nie będziesz chciał sam, to ci nic nie pomoże, nie? Musisz też wykazać jakąś inicjatywę. Te panie, co ze mną przyjeżdżają ze schroniska, one ci mogą pracę załatwić, one ci mogą załatwić ze swojej strony jakieś lokum. Ogarniesz się. To nie chcesz herbaty? – pyta jeszcze strażnik.

Nie chce.

– Jutro chłopaki od nas będą wieczorem zupę rozwozili. Będziesz chciał? – niezbyt chętnie, ale chłopak z namiotu się zgadza.

– To zejdziesz do nich na dół, nie? Bo oni z tym wiadrem nie wejdą. Podjadą, poświecą i będziesz musiał zejść, nalejesz sobie ciepłej zupy. Dobra. – Adam prostuje się. – Nie chcesz pomocy z naszej strony, nie chcesz jedzenia, nie chcesz nic, to weź się ciepło ubierz, okryj i do następnego razu.

Zdziwienie

– Nie chce pomocy, to nic nie można zrobić. Jakby był mamroczący, w złym stanie, to wtedy można by było wezwać karetkę, teraz nie ma ku temu podstaw – mówi Adam w drodze powrotnej do radiowozu.

Strażnicy od dawna patrolują ulice, od dawna sprawdzają koczowiska osób bezdomnych. Zastanawiam się, czy to, że większości z nich nie udaje się namówić, by przyjęli pomoc, jest dla nich rozczarowujące.

– Kiedyś, na początku było – mów Darek. – Ale człowiek się do tego przyzwyczaił. Jedno jest jednak niezmienne. Zdziwienie, że ludzie nie chcą dać sobie pomóc.

– Mają panowie takie poczucie, że to, co robią, jest ważne?

– Pewnie, że tak. – Adam nie zastanawia się nad odpowiedzią. – Czasem trzeba wezwać pogotowie, bo dana osoba jest wychłodzona, w złym stanie. To w człowieku zostaje. Zostaje też to, że te osoby, które teraz mieszkają na ulicy, kiedyś miały prace, rodziny, ale to się skończyło.

W dniu, gdy pojechałam ze strażnikami na patrol, w Polsce zmarła z wychłodzenia 1 osoba.

W momencie, gdy publikujemy ten tekst, tylko w styczniu 2026 z powodu wychłodzenia zmarło 20 osób.

eprasa.pl 86b7bc0612

ŚWIAT

Klaus Bachmann

Dlaczego im gorsza sytuacja Rosji, tym bardziej usztywniają się rosyjscy negocjatorzy?

Krew

W HURCIE NIE DROŻEJE

Istnieją dwie bardzo różne, ale właśnie dlatego interesujące, interpretacje stanowiska Rosji w obecnych negocjacjach dotyczących zawieszenia broni.

Pierwsza głosi, że Rosjanie negocjują, ponieważ choć nie są w trudnej sytuacji militarnej, to znajdują się w trudnej sytuacji gospodarczej. I właśnie dlatego stoimy w Europie przed nową falą eskalacji wojny hybrydowej. Tak ostatnio twierdził choćby szacowny think-tank Royal United Service Institute.

Według drugiej tezy Rosja negocjuje tak nieustępliwie i nieelastycznie, ponieważ może wytrzymać tę wojnę jeszcze przez wiele lat. Sankcje straciły na znaczeniu, wyrządziły nam, czyli temu, co pozostało z dawnego Zachodu, więcej szkody niż Rosji, a wsparcie Iranu, Korei Północnej i Chin zrównoważyło je Rosjanom z nawiązką.

Przyjrzyjmy się zatem sytuacji. Gdzie znajduje się Rosja po czterech latach wojny, na krawędzi przepaści czy na szczycie, na którym Władimir Putin może z uśmiechem czekać, aż Wołgą spłyną ciała jego przeciwników?

Odpowiedź na oba pytania brzmi „tak": tak, sankcje wyrządziły Rosji ogromne szkody, znacznie większe niż tym, którzy je nałożyli, ale nie tak wielkie, by zmusić Putina do poddania się. Towary konsumpcyjne, broń i żołnierze płynący z zaprzyjaźnionych reżimów to tylko jeden z powodów. Inny jest taki, że Rosja, kiedy rozpoczęła wojnę, była zacofanym, biednym krajem i właśnie dlatego jest teraz tak odporna. Ale po kolei.

•

Wkrótce po najeździe Rosji na Ukrainę w lutym 2022 roku zachodni inwestorzy wycofali się z rosyjskiego rynku na niespotykaną skalę.

Rok 2021 przyniósł pierwsze ożywienie gospodarcze po pandemii, ale inwazja całkowicie je zniweczyła. Po wzroście bezpośrednich inwestycji zagranicznych z niecałych 10 mld dolarów w 2020 r. do 40 mld rok później, w 2022 r. nastąpił spadek o niebagatelne 15–18 mld. Od tego momentu rosyjska gospodarka zaczęła podupadać. Kraj cofnął się do poziomu z 2001 r., a więc o całe pokolenie. Nie zdołali tego zrekompensować sojusznicy: Chiny, Iran i Korea Północna.

Rosyjski bank centralny zareagował drastycznym podwyższeniem stóp procentowych, co uchroniło rubla przed głębokim upadkiem i ograniczyło inflację. Jeszcze bardziej ograniczono wymienialność narodowej waluty, co teraz utrudnia międzynarodowe porównania. Kurs rubla nie jest już ustalany przez rynek, lecz przez bank narodowy. Celem nie jest już utrzymanie silnego i stabilnego rubla, ale dostosowanie jego wartości do potrzeb gospodarki wojennej. Słaby rubel równoważy spadające ceny ropy i gazu, ale podnosi również ceny zakupów nowoczesnych technologii z Zachodu – które Rosja wciąż kupuje, tylko za pośrednictwem sąsiednich krajów – i powoduje wzrost inflacji.

Dla mieszkańców Rosji oznacza to, że zachodnie gadżety stają się coraz droższe, a wysokie stopy procentowe sprawiają, że na nieruchomości stać już tylko bogatych. Przykład: miesięczne obciążenie kredytem hipotecznym za mieszkanie o pow 100 m2 w Moskwie wynosi obecnie ok. 772 tys. rubli – ponad 35 tys. zł – przy okresie spłaty wynoszącym prawie 25 lat. To siedmiokrotność średniego dochodu w Moskwie. W Londynie miesięczne wydatki na podobne mieszkanie wynoszą mniej niż połowę średniego dochodu. W Londynie odsetki wynoszą do 5 proc. rocznie, w Moskwie 28,5 proc.

Sankcje i skutki wojny nie tylko cofnęły Rosję o pokolenie pod względem poziomu życia, ale także spowodowały zapaść.

Przed inwazją Rosja odpowiadała za 2,75 proc. całkowitego światowego handlu, obecnie to 2,2 proc.. Wynika to również z faktu, że Rosjanie handlują już nie z Europą i Ameryką Północną, ale przede wszystkim z Azją, gdzie ich towary eksportowe są sprzedawane po niższych cenach niż przed inwazją (również ze względu na unijny limit cen ropy).

•

Podobnie jak wiele krajów osiągających wysokie dochody z eksportu surowców, Rosja ma narodowy fundusz gromadzący oszczędności na czasy po zakończeniu boomu surowcowego. W 2004 roku utworzono „fundusz stabilizacyjny", który miał przeciwdziałać ewentualnemu spadkowi cen na rynkach światowych. Cztery lata później podzielono go na fundusz inwestujący za granicą i „krajowy fundusz majątkowy", który miał inwestować w kraju.

Pierwszy został wyczerpany już w 2017 roku. Wykorzystano go do sfinansowania deficytu budżetowego i zrównoważenia niskich cen ropy. Drugi, pierwotnie wyposażony w równowartość 32 mld dolarów, właśnie się wyczerpuje, ponieważ deficyt budżetowy nadal rośnie, a ceny ropy spadają. Duża część tego funduszu obejmuje obecnie niepłynne aktywa, których nie można szybko zamienić na ruble i wydać. A część gotówkowa, która przed wojną składała się głównie z dolarów amerykańskich i euro, jest obecnie denominowana głównie w renminbi, czyli chińskiej walucie.

Każdy rząd, który chce wydawać więcej, niż zarabia, a nie ma już dostępu do międzynarodowych rynków finansowych, może drukować pieniądze. Tak samo jest w przypadku Rosji. Jej minister finansów stale sprzedaje obligacje państwowe, które kupują banki. Tak Kreml finansuje szybko i gwałtownie rozwijający się sektor wojskowy – przedsiębiorstwa bezpośrednio produkujące broń, czołgi i sprzęt na potrzeby wojny, do których w ostatnich latach dzięki coraz wyższym wynagrodzeniom migrowali pracownicy sektora cywilnego.

W ten sposób koszty wojny mniej obciążają bieżące budżety i są przenoszone na przyszłość. Nie inaczej postępuje „koalicja chętnych" ze swoimi „funduszami specjalnymi" pokrywanymi długiem, zbrojeniami finansowanymi na kredyt, a teraz także Unia Europejska ze swoim pakietem pomocowym dla Ukrainy – również finansowanym z długów. Z trzema istotnymi różnicami.

1. „Koalicja" może zaciągać kredyty na międzynarodowych rynkach, dzięki czemu jej wojna jest finansowana przez cały świat (w tym amerykańskie fundusze inwestycyjne i emerytalne), a ryzyko jest bardzo szeroko rozłożone.

2. W porównaniu z odsetkami, które muszą płacić rosyjskie przedsiębiorstwa, zachodnie obciążenia kredytowe są bardzo niskie.

3. Jeśli „koalicja chętnych" w pewnym momencie stanie się niewypłacalna, będzie to problem dla całego świata.

Jeśli Rosja ogłosi bankructwo, nastąpią masowe zwolnienia w administracji, upadną banki, a obywatele uciekną przed hiperinflacją w nieruchomości, tak jak Niemcy w Republice Weimarskiej – ale świat to niespecjalnie obejdzie. Dla Pekinu nie stanowi to większego problemu, ponieważ zależność Rosji od Chin jest znacznie większa niż odwrotnie. Inaczej mówiąc: jeśli „koalicja chętnych" upadnie pod ciężarem swoich długów, cały świat będzie miał problem. Kiedy upadnie Rosja, będzie z tym sama.

Rosyjskie wojsko i zbrojeniówka rozrosły się tak bardzo, że bezrobocie wynosi tylko dwa procent. Zakładając, że wszędzie jest pewna mała grupa ludzi, którzy ze

eprasa.pl 86b7bc0612

• **Zbiorka poborowych przed wyjazdem do garnizomu w Czycie w Kraju Zabajkalskim. 29 września 2025 r. Putin podpisał dekret nakazujący do 31 grunia pobór do wojska 135 tys. mężczyzn w wieku 18-30 lat.**
FOT. EAST NEWS/IMAGO/EVGENY YEPANCHINTSEV

Ludiej u nas mnogo

0 15–18 mld dol.
• spadły inwestycje zagraniczne w Rosji w 2022 roku po inwazji na Ukrainę

35 tys. zł
• to średnia miesięczna spłata kredytu hipotecznego za 100-metrowe mieszkanie w Moskwie

18,3 tys. zł
• wynosi rządowa premia za podpisanie kontraktu żołnierza zawodowego.
Regiony dokładają do tego nawet 130 tys. zł

do 238 tys. zł
• wynosi roczny żołd Moskwianina służącego na froncie

1,8 mln
• rosyjskich mężczyzn służy obecnie w wojsku

20 mln
• rekrutów w wieku 20-40 lat ma jeszcze na prowincji w zapasie Putin

Na młodych mężczyznach z rosyjskiej prowincji ciąży podwójna presja, aby zgłosić się „dobrowolnie": ze strony państwa i ze strony rodziny oraz otoczenia

względu na choroby nie mogą w ogóle pracować i dlatego wskaźnik bezrobocia nigdzie nie osiągnie 0 procent, można ten wynik traktować jako deficyt rąk do pracy. Sektor zbrojeniowy mógłby zatrudnić jeszcze więcej ludzi, a budżet, drukując pieniądze, opłacać jeszcze więcej etatów w zbrojeniówce – ale tych ludzi nie ma. Dotąd sektor wojskowy wysysał kadry i środki z sektora cywilnego, ale ten rezerwuar powoli się skończy. Ma to powolne, ale daleko idące konsekwencje.

Do tej pory w Rosji istniało wiele programów dotujących kredyty hipoteczne, dzięki którym nieco zamożniejsi – czyli mający wkład własny – obywatele mogli obejść horrendalne ceny nieruchomości.

Teraz te dotacje zawieszono lub przekształcono w programy finansowane wprost z podatków, wskutek czego wszyscy podatnicy, również z przedsiębiorstw cywilnych, budżetówki czy świata kultury dopłacają do nieruchomości dla lepiej zarabiających pracowników sektora wojskowego.

Wojna stworzyła skomplikowaną sieć subsydiów i kompensat finansowych między centrum, regionami, warstwami społecznymi i sektorami. Niektóre analizy już nadały jej nazwę *Deathonomics*, „ekonomii śmierci".

•

Państwo, które nie pozostawia obywatelom żadnego wyboru, musi liczyć się z oporem, nawet jeśli stłumiło wszelką niezależną działalność społeczną i rozbiło społeczeństwo poprzez represje. Lecz w tej chwili Rosjanie nadal mają wybór: mogą zgłosić się na ochotnika do „Specjalnej Operacji Wojskowej" lub pracować w sektorze wojskowym albo cywilnym.

W pierwszym przypadku szybko stają się zamożni, ale ryzykują, że nie nacieszą się dobrobytem, bo w krótkim czasie mogą wrócić w trumnie lub okaleczeni – acz wtedy, co wielu motywuje, względnie zamożni stają się ich bliscy. W sektorze wojskowym zarobią mniej, ale znacznie więcej niż w sektorze cywilnym. Ale niezależnie od tego, co wybiorą, mają więcej do stracenia niż gdyby uzbroili się i próbowali przetrwać w podziemiu.

Tę różnicę zniwelowałaby masowa przymusowa rekrutacja. Młodzi mężczyźni mieliby wybór między zejściem do podziemia a pójściem na front. Synowie z dobrych rodzin płaciliby łapówki, aby uniknąć poboru, ale pieniądze te nie trafiałyby do skarbu państwa, lecz do kieszeni skorumpowanych urzędników i lekarzy.

Aby uniknąć tego rozwiązania lub przynajmniej odwlec je jak najdłużej, władze stworzyły system zachęt dla ochotników.

1. Wprowadzono jednorazową „nagrodę" wypłacaną z federalnego budżetu; początkowe 200 tys. rubli – nieco ponad 9, 1 tys. zł – w sierpniu 2024 r podwyższono do 400 tys. rubli, około 18, 3 tys. zł.

2. Do tej kwoty dokładają się regiony, obecnie zwiększając „centralną" premię o ponad 3 mln rubli – blisko 138 tys. złotych!

3. Do tego dochodzi żołd – do 5,2 mln, czyli około 238 tys. zł, w pierwszym roku na froncie dla mieszkańców Moskwy – i zasiłek pogrzebowy.

Jednak te czynniki mają niewielkie znaczenie dla decyzji o wstąpieniu do armii.

Po pierwsze, nikt nie wie, ile jeszcze potrwa wojna, a więc jak długo będzie wypłacany tak hojny żołd – i czy w razie przeciągania się lub malejącej intensywności walk nie zostanie obniżony.

Po drugie, państwo może dość sprytnie uniknąć – i robi to – wypłaty zasiłku pogrzebowego, ogłaszając żołnierzy zaginionymi, a następnie szukając ich w nieskończoność lub uznając za dezerterów, co powoduje wygaśnięcie prawa do zasiłku.

Jedyny pewnik, który rzeczywiście zachęca do ryzykownej służby, to jednorazowa wypłata przy podpisaniu kontraktu. Korzysta z niej nie tylko rekrut, ale i krewni, którzy dziedziczą po nim.

Krąg beneficjentów można jeszcze rozszerzyć, żeniąc się. Co zresztą sprawia, że młodzi, biedni mężczyźni na wsi, przez dekady postrzegani jako „przegrywy" bez szans na związek i założenie rodziny, stali się niezmiernie atrakcyjni. Małżeństwo zapewne potrwa krótko, ale to może i lepiej – wdowa będzie wciąż młoda, a bogata.

Kto zgłasza się na ochotnika w biedniejszych republikach, może jednym pociągnięciem długopisu dramatycznie poprawić los rodziny. A ponieważ rodzina, spójność społeczna i normy są bardzo ważne na rosyjskiej prowincji, na młodych mężczyznach ciąży podwójna presja, aby zgłosić się „dobrowolnie": ze strony państwa i ze strony rodziny oraz otoczenia.

Ten mechanizm dla rządzących i elity ma same zalety. Gwarantuje, że w jakiejś wsi czy miasteczku sfrustrowani, przestraszeni czy niezadowoleni nie skrzykną się, że nikt nie stworzy podziemnych grup ani lokalnych partyzantek. Chroni burżuazję z Moskwy i Sankt Petersburga. I pozbywa się nadmiaru słabo wykształconych chłopców z głębokiej prowincji, którzy co prawda nie sprawiali systemowych kłopotów, bo ich rodziny nie były w stanie bronić się przed korupcją i arbitralnością władz, ale generowali lokalne społeczne problemy.

Po czterech latach wojny nadal nie ma żadnych oznak, że młodzi ludzie uciekają przed poborem i tworzą oddziały partyzanckie lub uzbrojone bandy rabusiów. Wręcz przeciwnie: pomimo kilku drastycznych doniesień o zbrodniach dokonanych przez powracających z frontu żołnierzy zrekrutowanych wśród chorych psychicznie i w więzieniach, spadają wskaźniki przestępczości, również tej z użyciem przemocy.

Rosyjski sposób na zbieranie i wykorzystywanie mięsa armatniego jest niemoralny, brutalny i nieludzki – ale jak dotąd skuteczny.

A premie wciąż rosną. W Biełgorodzie regionalna dopłata do rządowej nagrody za podpis na kontrakcie wzrosła czasowo do 3 mln rubli, ale już w obwodzie samarskim do 4. – to aż 183 tys. zł.

•

Na podstawie tych liczb można by wnioskować, że Rosji kończą się ochotnicy. Dlaczego inaczej miałaby tak podnosić wydatki na jednorazowe wypłaty?

Ale tak nie jest. Jest odwrotnie: Rosji kończą się pieniądze. Już teraz prawie 1/3 budżetu federalnego idzie na wydatki wojskowe. Oficjalnie, bo nie uwzględniono tu licznych, częściowo tajnych „budżetów cieni" i funduszy specjalnych. A drukowanie pieniędzy dociera do ściany, bo brak pracowników cywilnych w końcu powoduje stagnację gospodarczą i hamuje innowacje.

Ale Rosji nie brakuje jednego: żołnierzy. Obecnie w wojsku służy około 1,8 mln mężczyzn. W grupach wiekowych od 20 do 40 lat, które są preferowane podczas rekrutacji, Putin wciąż ma do dyspozycji ponad dziesięciokrotnie więcej ludzi.

Ukraiński wywiad szacuje, że około 1,2 mln rosyjskich żołnierzy zginęło lub zostało rannych w stopniu uniemożliwiającym dalszą służbę. Szacunki BBC, amerykańskiego Instytutu Badań nad Wojną oraz brytyjskich służb wywiadowczych są niższe.

Jednak nawet jeśli przyjąć zapewne zawyżone ukraińskie liczby, to 1,2 mln straconych ludzi w ciągu czterech lat daje 300 tys. rocznie. Podczas gdy potencjalnych nowych rekrutów w wieku od 20 do 40 lat jest prawie 20 mln!

Wniosek: sankcje (oraz ukraińskie ataki na infrastrukturę energetyczną) cofnęły Rosję gospodarczo i finansowo o całe pokolenie, przywróciły wysoką inflację (choć nie hiperinflację jak w latach 90., które straumatyzowały całe pokolenia) i masowe represje, a także silnie izolują Rosję na rynku światowym, co ma dramatyczny wpływ na poziom życia obywateli.

Wojna powoduje coraz większe nierówności: bogaci stają się jeszcze bogatsi, zamożni mogą trzymać się z dala od wojny, którą toczą biedni i najbiedniejsi z biednych.

Ale dla Kremla to nie są wystarczające powody, by zakończyć wojnę. Fakt, że kraj cofa się w rozwoju, a ludność cierpi, rzadko bywa dla przywódców politycznych i wojskowych powodem do zawarcia pokoju.

Nie był nim dla europejskich rządów podczas I i II wojny światowej, nie był podczas wojny w Jugosławii, nie był Sudanie, nie był w Kongo ani podczas wojny Iranu z Irakiem.

Pokój nadchodzi, gdy jedna ze stron musi się poddać lub obali własny rząd. Od zatrzymania marszu na Moskwę wagnerowców i śmierci ich szefa Jewgienija Prigożina w sierpniu 2023 r. na murach Kremla nie pojawiły się jednak żadne pęknięcia.

Putin może jeszcze przez jakiś czas drukować pieniądze, a tak długo, jak państwo rosyjskie ma co redystrybuować, tak długo, jak może się posługiwać zachętami atrakcyjnymi dla mieszkańców prowincji i nie musi się uciec do powszechnej mobilizacji, tak długo Rosja może zamienić drukowane, coraz mniej warte ruble na mięso armatnie. A ogromna ludność wiejska Rosji może się chronić przed hiperinflacją za pomocą handlu barterowego.

I tak długo opłaca się Putinowi udawać negocjacje z Trumpem tak, aby go powstrzymać go od drastycznej zmiany kursu – bez żadnych ustępstw na rzecz Ukrainy.

A gdyby Putinowi zabrakło żołnierzy – to od Volkssturmu Hitlera po Kongo i Sudan historia pokazuje, że zanim władca się podda, raczej szuka ratunku w wysyłaniu dzieci na front. ●

eprasa.pl 86b7bc0612

Z NEW DELHI NIE WIDAĆ KIJOWA

Brytyjski analityk: Reagujecie na Trumpa tak emocjonalnie, bo weszliście do klubu Zachodu chwilę temu

Z **DR. SAMIREM PURIM**
ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

Zgadza się pan ze stwierdzeniem, które chyba wszyscy już przyjęli za pewnik – że żyjemy w świecie post-amerykańskim?
– Faktem jest, że Ameryka znacząco redukuje swoje zaangażowanie w świecie. Ale stwierdzenie, że żyjemy w czasach post-amerykańskich, miałoby sens tylko wtedy, gdybyśmy patrzyli na stosunki międzynarodowe jako płaszczyznę, na której USA mają zawsze decydujący głos.

Ale po pierwsze, nawet jeśli z perspektywy europejskiej czy szerzej, atlantyckiej, tak było przez ostatnie sto lat, to nigdy nie była perspektywa całego globu.

A po drugie, mówiąc, że coś jest post-amerykańskie, sugerujemy, że Waszyngton przestaje mieć znaczenie – a tak przecież nie jest i nie będzie. Ameryka pozostaje w wielu obszarach kluczowym graczem. Obaj to chyba rozumiemy, wszak pochodzimy z krajów, które są od lat wiernymi sojusznikami USA.

Czasami nawet chyba zbyt wiernymi. O Polsce mówi się momentami, że jest 51. stanem Ameryki. Nie tylko dlatego, że mamy gigantyczne poparcie społeczne dla sojuszu z USA. Na przykład zderegulowany kapitalizm lubimy bardziej niż sami Amerykanie.
– Właśnie udzielił pan odpowiedzi na pańskie pytanie. Kraje takie jak Polska potrzebują Ameryki, więc nie można mówić, że Waszyngton przestaje odgrywać istotną rolę. Rozumiem, skąd biorą się takie tezy, ale one mnie irytują, bo są emocjonalną reakcją na fakt, że Stany Zjednoczone przechodzą strategiczną reorientację. Mówienie, że Ameryka znika, jest empirycznie niepoprawne. Proszę spojrzeć na Donalda Trumpa – to na pewno nie jest izolacjonista. Nie interweniuje w taki sam sposób, jak jego poprzednicy w politykę innych krajów, ale od świata się nie odcina.

Być może on nie, ale jego administracja często ma takie ciągoty. Trudno zresztą połapać się w dzisiejszej amerykańskiej polityce zagranicznej. Jednego dnia Trump bombarduje Iran, drugiego jego podwładni chcą wycofać wojska z Rumunii. Z jednej strony – pojmanie Nicolása Maduro w Wenezueli i ryzyko destabilizacji kraju, z drugiej – nieustanne mówienie o zakończeniu wojen. A do tego ostatnie groźby aneksji terytorialnej Grenlandii, a nawet Kanady. My załamujemy ręce na końcem powojennego ładu, ale tak naprawdę amerykańska dyplomacja przypomina codzienne wymyślanie koła na nowo.
– W tej administracji są frakcje izolacjonistyczne, ale są też wpływowi urzędnicy, którzy bardzo chętnie będą się mieszać w sprawy innych państw.

To, co nam zaciemnia obraz i obnaża nasze deficyty wyobrażeniowe, to fakt, że oni używają do tego innych instrumentów. Trump niekoniecznie chce używać bezpośredniej siły wojskowej w sposób typowy chociażby dla George'a W. Busha. Ale bardzo chętnie wykorzystuje narzędzia nacisku gospodarczego i samą groźbę interwencji militarnej, a jeśli interweniuje, to jak w Wenezueli czy w Iranie – punktowo, ograniczonymi środkami, z powietrza. To coś w rodzaju groźby – mam możliwości, jestem zdeterminowany i nigdy nie możecie być pewni, czy i kiedy przejdę od słów do czynów.

Widać, że za plecami Trumpa ścierają się różne wizje świata. Ludzie z Make America Great Again to klasyczni izolacjoniści, ale często zderzają się z urzędnikami o innych poglądach. Najciekawsze jest to, co z takich zderzeń wychodzi.

I co wychodzi?
– Jak na razie, wbrew nagłówkom prasowym i intuicji, sumą walk frakcyjnych jest po prostu bardziej umiarkowana obecność Ameryki w świecie. Nie ma już pakowania się w każdy możliwy konflikt, przynajmniej nie na stałe.

Wpływ światopoglądu MAGA ma znaczenie, ale w dużej części to efekt wyciągnięcia wniosków z poprzednich lat i zrozumienia, że wszechmoc i wszechobecność Stanów Zjednoczonych na całym świecie są nie do utrzymania. W porządku jednobiegunowym, jaki zapanował po upadku ZSRR, kiedy Ameryka była tak zwanym dobrodusznym hegemonem, nawet jeśli nie interweniowała wszędzie, to nie miała poważnych rywali, którzy by wysysali jej zasoby. Waszyngton mógł więc dość łatwo przesuwać swoje pionki na globalnej szachownicy i wyglądało, jakby Amerykanie mogli wszystko.

Teraz świat wygląda inaczej. Spójrzmy na Rosję. Też mam problem, żeby uznać ją za mocarstwo, ale rosyjska armia nie dość, że jest bardzo liczna, to jeszcze jest hiperbrutalna. Władimir Putin mobilizuje co roku dziesiątki tysięcy młodych mężczyzn i niespecjalnie się przejmuje, że większość z nich zginie. To sprawia, że nagle z Rosją znowu trzeba się liczyć.

Chiny są głównym graczem w Azji, a dodatkowo mają własną, równoległą do zachodniej, sieć porozumień międzypaństwowych. Pekin łączy siły z Koreą Północną, z Iranem, działa w ramach BRICS – bloku wschodzących i odradzających się mocarstw kwestionujących przywództwo Zachodu, który pierwotnie skupiał Brazylię, Rosję, Chiny, Indie i RPA, a teraz poszerza się o kolejne kraje dawnego Trzeciego Świata.

Niedawno u wybrzeży Republiki Południowej Afryki odbyły się wspólne ćwiczenia marynarek wojennych RPA, Chin i Rosji. Może miało to wartość bardziej symboliczną niż strategiczną, ale przecież czegoś takiego

eprasa.pl 86b7bc0612

FOT. PRESS INFORMATION BUREAU/ANADOLU VIA GETTY IMAGES

• **Premier Indii Narendra Modi wita i prezydent Zjednoczonych Emiratów Arabskich (ZEA) Mohammeda bin Zayeda Al Nahyana w New Delhi (19.01 2026)**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dr Samir Puri

• urodzony w 1980 roku w Londynie w rodzinie o azjatycko-afrykańskiej historii, brytyjski dyplomata, analityk, dyrektor w Center for Global Governance and Security w Chatham House. Wcześniej pracował dla think-tanku Institute for International and Security Studies, biura premiera Wielkiej Brytanii oraz dla brytyjskich ministerstw obrony i spraw zagranicznych. Wykładowca londyńskiego King's College.

• Autor nagradzanych książek o tematyce międzynarodowej, takich jak „The Great Imperial Hangover: How Empires Have Shaped the World" czy „Russia's Road to War with Ukraine: Invasion Amidst the Ashes of Empires". Jego najnowsza książka to „Westlessness. The Great Global Rebalancing".

Ukraińskie wysiłki mające zbudować wizerunek Rosji jako kolonialnego okupanta przynosiły całkiem niezłe rezultaty – do 7 października 2023 roku, kiedy po morderczym rajdzie Hamasu Ukraina stanęła po stronie Izraela

20 lat temu nie mieliśmy i nawet sobie nie wyobrażaliśmy.

Ameryka musi się dostosować, jak każdy. Owszem, MAGA to głównie izolacjoniści, ale obok nich są tacy, którzy po prostu do polityki zagranicznej podchodzą bardziej pragmatycznie.

Jeśli więc nie post-amerykański, nie post-zachodni, to jaki jest i będzie nasz świat? Tytuł pana nowej książki brzmi „Westlessness". Mniej Zachodu, ale nie jego całkowite zniknięcie?

– Moja książka jest antidotum na histeryczne reakcje względem spadku znaczenia szeroko pojętego Zachodu w stosunkach z resztą świata. Europejczycy czy Amerykanie mają tendencję do nadinterpretacji i mówienia, że „całkowicie znikają". Zdaję sobie sprawę, że „mniej Zachodu" nie jest tak atrakcyjnym nagłówkiem, jak „Zachód już się nie liczy", bo ludzie wolą jednoznaczne, czarno-białe stwierdzenia i definitywne, najlepiej wstrząsające konkluzje.

Europa się skończyła, Chiny wygrają wyścig o przyszłość, USA zdominują rywalizację w sztucznej inteligencji... Dla mnie te narracje o ostatecznych wygranych tego czy innego państwa to absolutny nonsens. Wielu polskich czytelników pamięta upadek komunizmu – nawet jeśli nie było cię wtedy na świecie, to w dzieciństwie czy młodości żyłeś w blasku tych wydarzeń.

Wielka Brytania czy inne europejskie kraje specjalnie nie różnią się pod tym względem. Całkowite załamanie się imperialnego Związku Radzieckiego przyniosło Zachodowi wielki triumf, rozprzestrzeniło jego wartości na nowe obszary. To był triumf tak wielki, że przyniósł bardzo wiele oczekiwań w warstwie emocjonalnej. Dlatego wielu osobom ciężko jest zrozumieć, co działo się ze światem w 2025 roku. Dla ludzi, którzy dzisiaj rządzą Europą – 40., 50. czy 60-latków upadek Związku Radzieckiego był momentem formacyjnym, ukształtował ich wizję rzeczywistości.

Przez lata najpierw jako dyplomata, potem jako analityk, zauważyłem, że dla tych ludzi, zwłaszcza dla zlaicyzowanych Europejczyków, poparcie dla liberalnej demokracji, wolnego rynku i praw człowieka jest wyznaniem wiary. W tych społeczeństwach religia straciła kluczową rolę, ale one same nie przestały być religijne. Tradycyjne wspólnoty wiary zastąpiła społeczna wiara w demokrację. Nie ma w tym absolutnie nic złego, tylko trzeba zrozumieć, że to podejście po części religijne, po części oparte na przyzwyczajeniu i dlatego tak trudno je dzisiaj odrzucić czy choćby zaktualizować.

Bycie częścią zglobalizowanego świata to zatem nie tylko pragmatyzm, racjonalny wybór, ale również tożsamość, z której jest się dumnym. Ale to samo można powiedzieć o patriotyzmie czy nacjonalizmie. To też wyznania wiary?

– Dla niektórych klas społecznych, a nawet całych narodów – jak najbardziej. Trafność tej diagnozy bardzo dobrze widać w pana części świata. W ostatnich latach spędziłem sporo czasu w Ukrainie, zjeździłem ją od wschodu po Lwów. Wielokrotnie bywałem też w Polsce. Bardzo lubię jeździć do tych krajów, bo są obszarami, które relatywnie niedawno, w ciągu ostatnich dwudziestu-trzydziestu lat stały się integralnym elementem zglobalizowanego świata. Weszliście do tego klubu chwilę temu.

I na pewno bardzo podnosi na duchu słuchanie historii ludzi takich jak pan i pana znajomi, którzy załapali się na ten cywilizacyjny pociąg, poszli w górę na drabinie społecznej, skorzystali z oferty globalizacji. Problem w tym, że kiedy się trafia do tej grupy, automatycznie zaczyna się zakładać, że cały świat porusza się linearnie do przodu. A to jest iluzja i nieprawda. Reszta świata, która nie siedzi z panem czy ze mną w pociągu beneficjentów globalizacji, albo została przez zachodnie normy zepchnięta na margines, uznana za niepasującą do głównego nurtu, albo ma to wszystko gdzieś, albo po prostu wyciągnęła zupełnie inne wnioski z wydarzeń, które dla nas są zamkniętym tematem, rozwiązanym problemem. Prymat wolnego rynku, demokratyczne wybory, pokojowa współpraca państw – my to uważamy za oczywistość, inni niekoniecznie.

Ekspansja Zachodu osiągnęła szczyt na przełomie tysiącleci, z rozszerzeniem NATO i Unii Europejskiej na wschód, więc obywatele globalnego Zachodu oraz krajów doń aspirujących uwierzyli, że ekspansja i dominacja ich wartości, ich instytucji nigdy nie ustanie. A tymczasem okazuje się, że NATO wprawdzie się nie skurczy, rozszerzeń się nie cofnie, ale te organizacje nie będą się rozszerzać w nieskończoność.

A czy to nie jest system naczyń połączonych – spadek znaczenia Zachodu wywołuje wzrost potęg niezachodnich? Czy też jedno nie ma na drugie wpływu?

– Zdecydowanie ta druga opcja.

Zdaję sobie sprawę, że stwierdzenie, iż marginalizacja Zachodu tworzy próżnię, w którą wchodzą inni, byłoby atrakcyjniejsze dla czytelników. Niemniej prawda jest taka, że w historii mieliśmy bardzo wiele procesów, które toczyły się równoległe, ale nie były od siebie zależne. Z czasem jeden może przyspieszał drugi, ale punkty wyjścia były odmienne.

Być może globalizacja miała najszerszy zasięg, bo zaczęła się tak naprawdę już w 1945 roku, a po upadku ZSRR i triumfie amerykańskiego militaryzmu Waszyngton mógł dostarczyć dużą część intelektualnego oprogramowania dla całego wolnego świata – i wiele krajów na tym zyskało, także ekonomicznie. Ale nie wszystko działo się z powodu czy za pozwoleniem Ameryki.

Nie uważam na przykład, że Chiny stały się potęgą wyłącznie z powodu amerykańskiej naiwności. Ich sukces jest kombinacją własnych zdolności, umiejętności zbudowania osobnego modelu przemysłowego oraz cech społeczeństwa, takich jak szacunek dla władzy i nadrzędna rola zbiorowości.

Jeszcze inną kwestią są trajektorie rozwoju dawnych kolonii. W Europie to dość słabo rozumiemy, w Ameryce – w ogóle, bo ja czy pan zostaliśmy wychowani w przekonaniu, że świat zmieniał kierunki w 1918, 1945 i 1991 roku – gdyż te daty miały dla nas znaczenie. Ale dlaczego taki sam zestaw miałby obowiązywać wszędzie na świecie? Czy pan wie, że dla 280 milionów Indonezyjczyków punktem odniesienia jest wojna o niepodległość z Holandią w latach 1945-49? Albo że Wietnamczycy mówią i myślą o latach 50. i wojnie z Francją tak, jak my o pierwszej wojnie światowej?

Indonezję większość Europejczyków postrzega przez pryzmat byłej kolonii. Tymczasem od kilkunastu lat to jeden z najważniejszych gospodarczych graczy w Azji, a źródła współczesnego państwa indonezyjskiego znajdują się właśnie w ruchu antykolonialnym. Tożsamość Indonezyjczyków opiera się na sprzeciwie wobec Europy.

Mało tego, cały czas nie zdajemy sobie sprawy, że w wielu miejscach na świecie amerykańska obecność wojskowa była po prostu przedłużeniem europejskiego kolonializmu. Z punktu widzenia Wietnamczyków Amerykanie przejęli pałeczkę w wojnie, którą wcześniej toczyli Francuzi i którą przegrali. W innych miejscach USA zastąpiły kurczące się Imperium Brytyjskie. Dla Europejczyków, Australijczyków, Koreańczyków z południa czy nawet pokonanych Japończyków amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa były bardzo komfortowe – ale dla ich bliższych czy dalszych sąsiadów były kolejnym narzędziem opresji. Nie chcę powiedzieć, że globalizacja była przedłużeniem kolonializmu w skali 1:1, ale jest między tymi zjawiskami znacząca ciągłość, której my wciąż nie zauważamy.

Więc bieżące zmiany na świecie nie oznaczają całkowitego upadku Zachodu, tylko koniec uniwersalnych, często narzucanych z góry interpretacji rzeczywistości. To nie znaczy, że nagle wszyscy są antyzachodni. Po prostu w wielu krajach rośnie świadomość, że trwająca wiele stuleci niezagrożona dominacja Zachodu już osiągnęła szczyt i teraz się cofa.

Nie jest tak, że istnieją jakieś magiczne guziki, które ktoś – Trump, Putin, Xi Jinping czy ktokolwiek inny – może nacisnąć, żeby cały porządek zachodni się rozpadł. Jasne, może kraje takie jak Iran – ufundowane na wrogości wobec Zachodu – by tego chciały, ale są wyjątkami. Przeważają państwa i społeczeństwa takie, jak Indonezja, Indie, Filipiny, które po prostu zaczynają zdawać sobie sprawę, że nadchodzi ich czas, bo nie muszą już bezwarunkowo akceptować zachodnich wzorców. Nie wszystko z nich odrzucą, ale wiedzą, że mają wybór. A dla ludzi Zachodu to może być niesamowicie stresogenna obserwacja, więc mają prawo być zaniepokojeni.

Ten stres jest chyba przyczyną wielu błędnych diagnoz dzisiaj. Ale porozmawiajmy najpierw o tym, czym ten „Zachód", celowo wzięty w cudzysłów, w ogóle jest. Niedawno w magazynie „Foreign Affairs" Stewart Patrick, ekspert think-tanku Carnegie Endowment for International Peace, napisał esej o upadku Zachodu jako koncepcji. On postrzega Zachód jako „system wewnątrz systemu, a nie pojęcie geograficzne. Granice Zachodu definiowały uniwersalistyczne zasady, a nie czas i przestrzeń".

eprasa.pl 86b7bc0612

– Zachód nie był nazywany Zachodem aż do czasów Zimnej Wojny i to jest dość kluczowa obserwacja dla naszej rozmowy. Idee, o których mówimy, kiedy myślimy o cywilizacyjnym Zachodzie, tak naprawdę wywodzą się z europejskiego chrześcijaństwa, a rozprzestrzeniły się po świecie z pomocą osadniczego kolonializmu Europejczyków w Ameryce Północnej czy Australii. Włosi, Holendrzy, później Irlandczycy byli świadomie wysyłani za ocean w ogromnych liczbach i w ten sposób Zachód rozszerzał się dosłownie. Szczyt tego procesu osiągnęliśmy po upadku muru berlińskiego, kiedy nastąpiła westernizacja Europy Wschodniej, dzięki czemu Europa stała się znacznie bardziej zunifikowana.

Stewart Patrick ma rację, kiedy mówi, że Zachód to głównie idee – ale równie ważne jest wskazanie sposobów rozprzestrzeniania się tych idei. Powstanie Zachodu było możliwe wyłącznie dzięki migracji Europejczyków, technologii i globalizacji – bo normy można było rozprzestrzeniać dzięki globalnej żegludze, handlowi międzynarodowemu oraz osadnictwu, z czasem również telewizji, prasie czy podróżom lotniczym. Nigdy wcześniej taka uniwersalizacja wartości i kultur nie byłaby możliwa, bo nie mieliśmy takich narzędzi. Jasne, Marco Polo jeździł do Chin, ale aż do XIX wieku nie było technicznej możliwości masowego kontaktu całych społeczeństw.

Problem w tym, że sukces Zachodu po upadku ZSRR sprawił, że nasze oczekiwania wobec przyszłości stały się wygórowane, wręcz nierealistyczne. Stąd szok, który wiele osób teraz odczuwa z powodu Trumpa. A on jest tylko katalizatorem zmian. Ściągnął kurtynę z pęknięć, które na ciele Zachodu występowały od dawna.

Pocieszające, że mimo szoku zaczynamy dokonywać korekt w naszym myśleniu, uelastyczniamy się, biorąc pod uwagę różne, do niedawna niewyobrażalne scenariusze. Dam panu przykład – niedawno w Chatham House mieliśmy zamkniętą dyskusję o przyszłości Ameryki Północnej i kanadyjscy oficjele z pełną powagą rozmawiali o zagrożeniu amerykańską inwazją lądową. Nie dlatego, że uważają ją za nieuchronną i grożącą za chwilę – ale dlatego, że ignorowanie takiej opcji byłoby dzisiaj nieodpowiedzialne. W podobnym miejscu znajdują się na przykład Japończycy, którzy nie mają pojęcia, czy w razie konfliktu militarnego z Chinami Trump ich jakkolwiek poprze.

Ostatnia rzecz, którą trzeba powiedzieć o ewolucji Zachodu w ostatnich latach, to fakt, że znika z niego komponent rasowy. Jeszcze mniej więcej do lat 70. bycie człowiekiem Zachodu było zarezerwowane dla białych ludzi. Kiedy w tamtych latach moi rodzice przenieśli się do Wielkiej Brytanii, podział rasowy był znacznie silniejszy niż teraz. Co oczywiście powoduje sprzężenie zwrotne, bo widać doskonale, że wielu ludzi pragnie powrotu do bardziej segregowanych rasowo społeczeństw w Europie czy USA, zupełnie jak w czasach kolonialnych.

Czy tej pamięci zachodniego kolonializmie nie da się wykorzystać na korzyść Europy? Polski minister spraw zagranicznych od wielu miesięcy próbuje to zrobić, jeżdżąc po Globalnym Południu i przekonując kraje pozaeuropejskie, żeby poparły Ukrainę w walce z Rosją, przedstawiając Rosję jako najeźdźcę kolonialnego.

– Znam Radka Sikorskiego i znam jego argumenty. Kiedy pracowałem w Singapurze dla International Institute for Strategic Studies, przyjechał z gościnnym wykładem. Rozumiem jego strategię, ale uważam, że jest naiwna.

Dlaczego?

– Po pierwsze, Sikorski zakłada, że cały świat rozumie różnicę między Ukraińcami i Rosjanami. A dla wielu to są dwa narody białych ludzi wyznających prawosławie, niektórzy mogą nawet nie zrozumieć, że tam dochodzi do jakiejś okupacji czy zniewolenia. Czy wyobraża pan sobie, że ludzie w Kenii czy w RPA będą mieli szczegółową wiedzę na temat imperialistycznych ambicji Rosji na przestrzeni stuleci czy polityki cara wobec Ukrainy? Nie – i nie można ich za to winić. My też nie mamy szczegółowej wiedzy o historii innych części świata.

• **Brytyjski premier Keir Starmer i prezydent Indonezji Prabowo Subianto na Downing Street 10. Przed nimi kot Larry, który od 2011 r. pełni w siedzibie premiera oficjalną funkcję Głównego Myszołapa**
FOT. JUSTIN TALLIS/ POOL VIA REUTERS

Po drugie – wiem, że Sikorski wygłasza te przemówienia, bo to jest w strategicznym interesie Polski, ale dla jego partnerów w krajach Azji czy Afryki jego intencje są oczywiste. Przyjeżdża tam i staje na mównicy, bo czegoś od nich chce. Nie robi tego bezinteresownie i nikt nie ma co do tego złudzeń. A kraje postkolonialne są na tym punkcie przeczulone.

Po trzecie – założenie, że w dawnych koloniach istnieje uniwersalny guzik z napisem „nienawiść do wszelkich imperializmów" i wystarczy go wcisnąć, żeby te kraje poparły Ukrainę, jest błędne. Większość krajów będzie miała stosunek emocjonalny do konkretnych imperializmów, których była ofiarą, ale nie do wszystkich. Można mieć pretensje o imperializm brytyjski czy holenderski, a nie mieć zdania na temat Rosji.

Wreszcie – cała ta akcja jest spóźniona. 12 lat temu, kiedy Rosjanie zajmowali Krym, nie było żadnych starań dyplomatycznych ze strony państw europejskich, żeby pozyskać przychylność Globalnego Południa. Dlaczego teraz ono miałoby uwzględnić nasz interes? Tylko dlatego, że wtedy Europa niespecjalnie przejmowała się Ukrainą, bo była bezpieczna, a dzisiaj sama czuje się zagrożona rosyjską agresją? To nie przejdzie. Indonezja miałaby stanąć po stronie Polski, bo Polskę kiedyś zaatakowała Rosja? A czy Polska powie coś krytycznego o Holendrach, którzy brutalnie próbowali wtórnej kolonizacji Indonezji po 1945 roku? Czy polski rząd zajmie wyraziste antybrytyjskie stanowisko w sprawie podziału Indii? Albo ich konfliktu z Pakistanem? A jeśli zajmie, to po czyjej stronie miałby się opowiedzieć?

Indonezja miałaby stanąć po stronie Polski, bo Polskę kiedyś zaatakowała Rosja? A czy Polska powie coś krytycznego o Holendrach, którzy brutalnie próbowali wtórnej kolonizacji Indonezji po 1945 roku? Czy polski rząd zajmie wyraziste antybrytyjskie stanowisko w sprawie podziału Indii? Albo ich konfliktu z Pakistanem?

Bardzo szanuję ministra Sikorskiego i jego żonę, Anne Applebaum, która napisała wiele doskonałych, ważnych książek, często otwierających oczy ludziom Zachodu. Problem w tym, że oni stanowią zarazem szczytową formę ewolucji człowieka powojennego Zachodu. Są transatlantycystami w najlepszym tego słowa znaczeniu i jako tacy odegrali bardzo ważną rolę w minionych dekadach. Nigdy bym ich nie skrytykował jako ludzi. Niestety są również ewangelistami porządku, który kruszy się i szybko traci wiarygodność. Jeszcze niedawno ich światopogląd był jedynym dopuszczalnym, w dodatku uważanym za wyższy moralnie – bo legitymizacja ładu transatlantyckiego wynikała z moralności na równi z gospodarką czy polityką. Ale dzisiaj to zaledwie jeden z wielu dostępnych punktów widzenia. Nie mówię, że to dobrze – mówię, że nie da się skutecznie działać w świecie, w którym jest się jednym z wielu, kiedy jest się przekonanym, że jest się jedynym w swoim rodzaju.

A skoro jesteśmy przy Ukraińcach – to oni sami też próbują się przebić do świadomości Globalnego Południa i ich wysiłki mające zbudować wizerunek Rosji jako kolonialnego okupanta przynosiły całkiem niezłe rezultaty – do 7 października 2023 roku. Bo po morderczym rajdzie Hamasu na izraelskie pogranicze Ukraina stanęła po stronie Izraela – i pojawiły się oskarżenia o hipokryzję. Co znowu ma związek z odmiennym rozumieniem tematów, które dla Europejczyków są bezdyskusyjne.

Jeśli mieszkasz gdzieś w Afryce czy w Azji, możesz nie mieć szczegółowej wiedzy na temat Holokaustu, może nawet to niespecjalnie cię obchodzi, nie rozumiesz tego horroru na poziomie emocjonalnym. Ja rozumiem, bo chodziłem do szkoły w Londynie, podróżowałem służbowo, naukowo i prywatnie po Europie, mam znajomych Żydów, czytałem o nazizmie i uczyłem się niemieckiej historii. Ale miliony innych osób, które żyją na swoich kontynentach, koncentrują się na swoich historiach narodowych. W krajach Afryki, Azji, Ameryki Łacińskiej rośnie klasa średnia, która ma inne narracje, traumy, poglądy, ambicje, inne mapy – kartograficzne i mentalne.

My w Europie musimy zaakceptować, że nasze moralne opowiastki nie mają wcale tak wielkiej siły oddziaływania, jak nam się może wydawać. A już na pewno nie są głównymi motorami napędzającymi dyskusje w skali globalnej.

To co czeka Europę, właśnie w skali globalnej?

– Bardzo dobre pytanie. Europa mierzy się z poważnym ryzykiem osunięcia się w geopolityczny niebyt. Głównie dlatego, że nie posiada komponentu *hard power*, który mógłby współistnieć z europejskim soft power i zdolnościami regulacyjnymi. Jasne, nadal pół świata chce się uczyć francuskiego czy hiszpańskiego, ale w kwestii bezpieczeństwa wisimy na amerykańskiej pomocy, a Waszyngton ten sojusz teraz chce zdefiniować na nowo. Jak? Spekulujemy, wzmagamy się albo uspokajamy, ale nie wiemy. Za 12 miesięcy będziemy lepiej zorientowani w tej sytuacji, poznamy część odpowiedzi na najważniejsze pytania. Czy ta kombinacja spełnionych marzeń, czyli amerykańskiej potęgi militarnej i europejskiej siły kulturowej z troskliwymi regulacjami w jakiejś formie sojuszniczej się utrzyma, czy też Europa będzie musiała się samotnie zmierzyć z rzeczywistością.

Samo uzbrojenie europejskich państw na nowo będzie gigantycznym wyzwaniem. Ktoś o takich korzeniach, jak pańskie, lepiej ode mnie rozumie, że Niemcy wciąż muszą pokonać wiele przeszkód mentalnych i społecznych, żeby stać się silnym graczem militarnym. Z kolei Francja czy Wielka Brytania mają bardzo ambitne plany, jeśli chodzi o wydatki na obronność, ale jeśli spojrzeć na ich sytuację gospodarczą, to ciśnie się pytanie, skąd oni wezmą na to wszystko pieniądze. A do tego nikt jeszcze nawet nie wie, jak bardzo trwały politycznie okaże się sam pomysł wzmocnienia europejskich zdolności obronnych.

A może jest scenariusz lepszy niż niepewność? Taki, w którym Europa buduje swoją potęgę geopolityczną niezależnie od innych modeli. Jako siła normatywna, regulacyjna, ale też stabilizująca rozchwiany świat. Przewidywalna, rozwiązująca konflikty pokojowo, działająca w oparciu o uniwersalistyczne zasady i wartości?

– Ze wszystkim jako wyróżnikami Europy się zgodzę, poza tymi uniwersalizmami. Europa nie będzie już w stanie mówić całemu światu, że jej zestaw wartości jest uniwersalny i dobry dla wszystkich – nawet jeśli tak jest. I właśnie to, obawiam się, będzie dla Europejczyków największym wyzwaniem. ●

1 RP

eprasa.pl 86b7bc0612

MAKABRA W DOMKU DLA LALEK

– Gdy przyjechałem do Kijowa, w jeden z bloków w centrum trafiła rakieta. Przejeżdżaliśmy obok niego w drodze z dworca do bazy treningowej. **Jak sobie wyobraziłem, ile tam żyło osób, ile mogło być w środku, aż mnie w środku ścisnęło**

Dawid Szymczak

SPORT.PL

Maciej Kędziorek, były trener piłkarski Radomiaka Radom, a wcześniej asystent w Lechu Poznań i Rakowie Częstochowa, latem przeprowadził się do Kijowa, by zacząć pracę w Dynamie. Dołączył do sztabu Ołeksandra Szowkowskiego i pozostaje w klubie do dziś, mimo że pod koniec listopada Szowkowski został zwolniony.
Tuż po świętach Bożego Narodzenia spotkaliśmy się w Warszawie, by porozmawiać o jego pracy, na którą nieustanny wypływ ma trwająca od 24 lutego 2022 r. wojna. Kędziorek podczas godzinnej rozmowy kilkukrotnie zaznaczał jednak, że nie chce robić z siebie weterana wojennego, ani pozować na bohatera. Tych widzi gdzie indziej.

Z MACIEJEM **KĘDZIORKIEM,** TRENEREM DRUŻYNY PIŁKARSKIEJ DYNAMO KIJÓW, ROZMAWIA **DAWID SZYMCZAK,** SPORT.PL:

Czego się pan boi?
– Boję się o rodzinę, której nie ma koło mnie.

Myślałem, że to rodzina boi się o pana.
– To na pewno też. Na co dzień nie mam w głowie strachu. Zresztą staram się unikać tego słowa. Raczej „mam obawę". Widzę przecież, co się dzieje dookoła, muszę być czujny i uważać, bo w takich sytuacjach rutyna jest zgubna. Ale trzeba oddzielić dwie rzeczy: to, co się dzieje w Kijowie, jest straszne i bardzo trudne dla ludzi, a jednak to jest inna wojna niż np. w Pokrowsku. W Kijowie w nocy przylatują rakiety i drony, spadają na miasto, więc co chwilę nie ma prądu i ogrzewania, ale nie toczą się codzienne walki, np. z użyciem czołgów. W dzień sytuacja względnie wraca do normy, najgorzej jest w nocy i wczesnym rankiem, gdy trwają naloty. 200-300 dronów co noc to standard, a rekordowo było bodaj 800.

I naprawdę nie boi się pan o siebie?
– Wyjeżdżając do Kijowa byłem świadomy, z czym się zderzę. To nie była decyzja, którą można podjąć ot tak – dzwoni super klub, więc jadę. Musiałem wszystko przemyśleć. Chciałem jak najwięcej się dowiedzieć, wszystko sprawdzić. Mam to szczęście, że dzięki pracy w piłce poznałem mnóstwo osób, więc miałem do kogo zadzwonić, żeby u źródła dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja w Kijowie.

Co pan usłyszał?
– Że najgorzej jest nocami, ale miejsce, w którym będę przebywał, czyli baza treningowa Dynama, oddalona od centrum o ponad 20 km, leżąca w lesie, jest względnie bezpieczna. Pewności nie ma nigdy, bo mamy do czynienia z rosyjską technologią. Nie trzeba być celem, żeby oberwać. Wystarczy zła trajektoria, jakiś błąd. Mimo wszystko słyszałem, że jest spora różnica między mieszkaniem w centrum, a na obrzeżach, więc gdy klub proponował mi pomoc w szukaniu mieszkania i oferował lokale w centrum, od razu je odrzucałem. Nie pojechałem tam przecież zwiedzać i przesiadywać w restauracjach, tylko pracować. Śmieję się, że teraz idę do pracy 30 sekund, bo mniej więcej tyle zajmuje mi zejście po schodach z pokoju na boisko.

– Rosjanie wiedzą, jak uprzykrzyć życie, więc alarmy bombowe w nocy są już standardem – mówi trener Kędziorek

FOT. DYNAMO KIJÓW

To, co pan słyszał przed wyjazdem, potwierdziło się na miejscu?
– Generalnie tak, ale jedno to słyszeć o tym wszystkim, a drugie – zobaczyć na własne oczy. Widok bloku, w który trafiła rakieta, jest makabryczny. Niby jesteś na to przygotowany, spodziewasz się zobaczyć takie budynki, ale dopiero gdy tam stoisz, widzisz, jakie to straszne. Dopiero wtedy w pełni zdajesz sobie sprawę, jak okropną rzeczą jest wojna. Ile osób przez nią cierpi i ile jest zniszczeń.

Gdy krótko rozmawialiśmy kilka tygodni temu stwierdził pan, że taki blok przypomina domek dla lalek. Mocne porównanie.
– Jedna ściana jest urwana, więc widzisz cały środek. Fotel, telewizor, łóżko, obraz na ścianie. Właśnie jak w domku dla lalek. Te bloki w Kijowie są w dodatku bardzo wysokie i bardzo szerokie. W Warszawie takich nie widziałem. Wyglądają, jakby trzy-cztery nasze bloki zostały zlepione w jeden, więc na jednej klatce jest od groma mieszkań. Jak pocisk w to trafi, jest masakra. Wszystko porozrywane, porozrzucane dookoła, dykty zamiast szyb...

Nie zdawałem sobie sprawy, jak niszczycielską moc mają spadajace na miasto pociski. Widziałem oczywiście nagrania z ataków w telewizji i w internecie. Na Telegramie, od którego zaczynam każdy swój dzień, bo podawane są tam statystyki nocnych nalotów, jest mnóstwo nagrań z ataków. Ale skalę zniszczeń rozumiesz dopiero, gdy widzisz je z bliska.

Przyjechał pan do Kijowa pod koniec sierpnia, akurat dzień po bardzo ostrych atakach.
– Wtedy w jeden z bloków w centrum trafiła rakieta. Przejeżdżaliśmy obok niego w drodze z dworca do bazy treningowej. Jak sobie wyobraziłem, ile tam żyło osób, ile mogło być w środku, aż mnie w środku ścisnęło.

Dojechał pan do bazy, dostał swój pokój. I co, spał pan pierwszej nocy?
– Akurat tej nocy był kolejny bardzo ostry atak. Stałem na balkonie i słyszałem odgłosy strzałów, bo wzdłuż miasta płynie rzeka Dniepr, która doskonale niesie dźwięk. Na niebie było widać łuny po pociskach i latające samoloty. Wtedy pierwszy raz zobaczyłem tę wojnę.

Ile nocy musi minąć, by w końcu dało się zasnąć?
– Powtórzę, co usłyszałem od znajomego, gdy przygotowywałem się do wyjazdu: pierwszej nocy nie śpisz w ogóle, stoisz przy oknie i obserwujesz. Drugiej leżysz i nasłuchujesz,

eprasa.pl 86b7bc0612

a z każdą kolejną śpisz coraz lepiej, mimo że wciąż masz to w głowie. I tak faktycznie było. Pierwsze noce były trudne, ale później zacząłem się przyzwyczajać. Mówię o stosunkowo spokojnych nocach, bo czasem wyją alarmy, więc w ogóle się nie śpi, trzeba zejść do schronu. Rosjanie wiedzą, jak uprzykrzyć życie, więc alarmy bombowe w nocy są już standardem. Tak samo jak brak prądu, bo jednym z celów są elektrownie, słupy energetyczne i wszystko związane z elektrycznością i gazem. Nie zawsze chodzi o to, by zabić jak najwięcej ludzi, a żeby wykończyć ich psychicznie. Zmęczyć i sprawić, że będą mieli dosyć.

W bazie Dynama też brakuje prądu?
– Mamy generator, więc zwykle po 2-3 godzinach od odcięcia mamy już „swój prąd", ale są dzielnice w Kijowie, w których ludzie nie mają go po kilka dni. I teraz wyobraźmy sobie zimę w takich warunkach. Słyszałem od naszych zawodników, którzy mają małe dzieci, że w takich sytuacjach śpią z nimi w samochodzie. Generatory też nie mogą pracować bez przerwy, więc co chwilę pojawiają się u nas w bazie informacje, że np. dzisiaj wieczorem, między godz. 18 a 22, nie będzie prądu. Najważniejsze to naładować sobie wcześniej laptop i telefon. Wiem przecież, że jeśli nie będzie prądu, a telefon mi padnie, bliscy w Polsce będą odchodzili od zmysłów.

Zdarzyło się tak?
– Na szczęście nie. Dbam o to.

Dużo analiz drużyny i odpraw zostało przygotowanych w schronie?
– Faktycznie jest tak, że jeśli wyje alarm, a mam naładowany laptop, biorę go ze sobą i pracuję. Jeśli padnie mi bateria, pozostaje czytanie książki. Bywało też tak, że byliśmy w schronie całą drużyną, np. przed derbami z Obołoniem Kijów siedzieliśmy w nim dwie godziny, bo czekaliśmy na odwołanie alarmu. To było tuż przed meczem. Wszyscy już naładowani, gotowi, a nagle musieliśmy zejść i czekać. Nie wiedzieliśmy, ile to wszystko potrwa.

Pytam, bo słyszałem, że Igor Jovićević, który teraz pracuje w Widzewie Łódź, będąc jeszcze w Szachtarze, zrobił w schronie całą odprawę.
– Coś trzeba w tym schronie robić. Dwa sezony temu mecz Dnipro – Ołeksandrija był przerywany trzy razy. Piłkarze schodzili z boiska, wracali, rozgrzewali się i znowu schodzili. Trwało to bardzo długo. My mieliśmy podobną sytuację w Ołeksandrii, gdy graliśmy mecz pucharowy. Był alarm, bo poderwały się rosyjskie bombowce. A jak one się podrywają, najczęściej alarmy wyją w całej Ukrainie, albo przynajmniej w dużej części.

Pamiętam, że gdy rozmawialiśmy we wrześniu, na początku pana pracy w Dynamie, był pan zaskoczony, jak szybko ludzie potrafią zaadaptować się do nowej rzeczywistości. I pan też tak miał.
– Kiedyś byliśmy w restauracji, w której przed wejściem stał wielki generator prądu. Buczał niesamowicie, trudno było porozmawiać. Nagle zgasło światło, ale nie wybuchła panika. Skończyło się paliwo, więc wyszła pani z kanistrem, wlała i wszystko wróciło do normy, życie toczyło się dalej. Mnie pomogła praca. Jest łatwiej, gdy masz zajętą głowę i tysiąc rzeczy do zrobienia. Jesienią graliśmy co trzy dni, w lidze i w europejskich pucharach. Mieliśmy mnóstwo podróży. Jeśli masz taki rytm, włącza się autopilot. Pracujesz i tylko na tym się skupiasz. Analiza – trening – mecz. Analiza – trening – mecz. I tak w kółko. Nie było czasu, żeby rozmyślać.

Co chwilę wyje alarm. Przypomina, gdzie pan jest i co się dzieje dookoła.
– Alarm wyje codziennie.Przyzwyczajasz się.

Szybko?
– Każdy ma swoją granicę. W poprzednim sztabie miałem kolegę asystenta, który był w Ukrainie od sześciu lat i przeżył to wszystko od początku wojny. Mieszkaliśmy razem w bazie. Dużo mi opowiadał, jak się zachować, co i kiedy sprawdzać. Skrajne sytuacje, takie jak wojna, zbliżają ludzi. Od początku mogłem liczyć na pomoc różnych osób dookoła. To też pomogło mi się przyzwyczaić.

Ukraina wciaż gra

• Pomimo trwającej wojny z Rosją, w Ukrainie wciąż gra się w piłkę. Liga działa, choć w innym kształcie niż przed 2022 r. i z istotnymi ograniczeniami.

• Mecze nie odbywały się tylko w pierwszych miesiącach wojny, a wielu zawodników z zagranicy rozwiązało wówczas kontrakty. Piłkarze wrócili na boiska z poczuciem misji, by dać rodakom choćby iluzję normalności, podnosić morale i na 90 minut odciągać ich myśli od tego, co dzieje się za oknem. Ukraińcy przy okazji meczów reprezentacji, rozgrywanych poza krajem, m.in. w Polsce, jednoczyli się pod narodową flagą. Wznowienie ligowych meczów było potrzebne, także po to, żeby reprezentanci Ukrainy mogli zbudować wysoką formę i awansować na mistrzostwa Europy w 2024. To się udało – byli tam i wykorzystali Eurożeby opowiedzieć swoją historię i jeszcze raz zwrócić uwagę świata na rosyjską agresję. Byli symbolem walkii niezłomności. Dowodem na to, że Ukraina jest i walczy.

• Ligowe mecze odbywają się przede wszystkim na zachodzie kraju i w centralnych regionach, które w ciągu dnia są mniej narażone na ataki. Ale i tak codziennością są alarmy i trzeba przerywać mecze, żeby udawać się do schronów – od tego, jaką mają pojemność, zależy dopuszczalna frekwencja na stadionach. Dokładne przepisy się zmieniają, ale najważniejszą zasadą jest, że na trybunach może być tylko tyle osób, ile w razie czego zmieści się w schronie. Bywa, że jeden mecz jest przerywany trzykrotnie i trwa w sumie pięć godzin. Niektóre kluby – jak Szachtar Donieck czy Zoria Ługańsk, pochodzące z terenów zajętych przez Rosję – przeniosły swoje siedziby i „domowe" mecze rozgrywają głównie w Kijowie, w Zaporożu i we Lwowie.

Czym różni się obraz wojny, który malował pan sobie w głowie przed wyjazdem, od tego, który zobaczył na miejscu?
– Realnością. Możesz podejść i dotknąć. Wszystko jest namacalne. Przechodzisz codziennie obok jakiegoś miejsca – niech to będzie droga do piekarni – więc znasz każdy kamień. I któregoś dnia na tę piekarnię spada dron albo rakieta. Wiesz, że mogłeś być w tym miejscu. To jest cholerna różnica. Wiesz, że wszystko może się wydarzyć. Widzisz też wszystko dookoła np. ludzi, którzy zostali pokrzywdzeni. Dotychczas znałem wojnę z opowiadań, filmów i książek. Ale gdy zobaczyłem to wszystko z bliska zmieniła mi się skala. To, co myślałem, że jest sufitem, tak naprawdę jest podłogą.

Trudno spaceruje się po Kijowie, gdy na każdym kroku wiszą zdjęcia osób, które zginęły na froncie. Uderza, jak młodzi to byli ludzie.... Często nawet nie mieli 20 lat

Widok, którego pan nie zapomni?
– Z jednej kawiarni. Kolega zabrał mnie do centrum, żeby pokazać najważniejsze miejsca w Kijowie. Na ulicy Chreszczatyk weszliśmy na kawę. Lokal był naprzeciwko miejsca, w którym zakładali protezy. W pewnej chwili wyszedł stamtąd chłopak, który w jednej protezie trzymał telefon, a drugą wybierał numer. Nie miał obu rąk. Za nim wyszli jego rodzice. Nie zapomnę tego do końca życia.

Trudno spaceruje się po Kijowie, gdy na każdym kroku wiszą zdjęcia osób, które zginęły na froncie. Jest data urodzenia, data śmierci i kilka zdań o tej osobie. Uderza, jak młodzi to byli ludzie. Widzisz daty urodzenia: 2004, 2005, 2006... I obok: 2022, 2023, 2025... Często nawet nie mieli dwudziestu lat.

Ile razy chciał pan wracać do Polski?
– Nie myślę w ten sposób. Na coś się zdecydowałem, coś podpisałem i mam w związku z tym zobowiązania. Nie mogę uciec. Jestem odpowiedzialny za swoją pracę i grupę ludzi.

To ten profesjonalny głos. A nie myślał pan tak po ludzku „na co mi to było"?
– Staram się tak nie myśleć. W porównaniu z wieloma ludźmi, których poznałem, ja naprawdę nie mam źle. Nie mieszkam w centrum, nie mam nikogo bliskiego na froncie, nikogo nie straciłem. Skupiam się na pracy i codzienności. Nie mogę też zastanawiać się nad rzeczami, które mogą się wydarzyć, ale się nie wydarzyły. Staram się nie gdybać i nie tworzyć czarnych scenariuszy.

Mecze „domowe" w europejskich pucharach Dynamo rozgrywa w Lublinie. Rodzina śpi lepiej, jeśli akurat macie mecz pucharowy?
– Na pewno. I akurat tak się układa, że najgorsze rzeczy w ostatnich miesiącach w Kijowie działy się wtedy, gdy nas tam nie było. Przy dwóch nalotach na tysiąc pocisków i dronów, raz byliśmy we Lwowie, a raz na meczu Ligi Konferencji. Wyjątek to tylko pierwsza sobota po moim przyjeździe do Kijowa.

Bliscy nie próbowali wybić panu z głowy pracy w Dynamie?
– Wiedzieli, że jeśli na coś się uprę, nie ma siły, która mnie powstrzyma. Tak już mam. Wiadomo, że rodzice i żona martwili się i odradzali. Do tej pory odradzają. Ale wszyscy nauczyliśmy się w tych okolicznościach funkcjonować. Codziennie do siebie dzwonimy. Każdego ranka daję znać, że wszystko w porządku. Ale nie chcę robić z siebie bohatera czy weterana wojennego, bo ta moja rzeczywistość jest całkiem...

Ale pana rzeczywistość jest też taka, że niczego pan nie musi.
– To prawda, ale do czegoś się zobowiązałem. Ten kolega z Mołdawii, z którym pracowałem w poprzednim sztabie i który był w Dynamie już wtedy, gdy wybuchła wojna, nie uciekł nawet w najgorszym momencie, gdy Rosjanie na początku wojny byli blisko Kijowa. Gdyby zdobyli lotnisko Hostomel, najpewniej weszliby do miasta i wtedy – jak się mówi – cała Ukraina stałaby przed nimi otworem.
I to jest dla mnie bohaterstwo, że on wtedy został z zespołem. Mógł wyjechać. Mojej sytuacji nawet nie da się porównać do jego.

Latem nie musiał pan iść do Dynama. Na stole była też propozycja dołączenia do sztabu Jerzego Brzęczka w młodzieżowej reprezentacji Polski. To na pewno byłaby bezpieczniejsza praca.
– Powiem więcej, w piątek dołączyłem do Dynama, a w poniedziałek dostałem propozycję zostania pierwszym trenerem w klubie z pierwszej ligi.

To co pana najbardziej kusiło w pracy w Dynamie?
– Gdy podejmowałem decyzję, Dynamo miało jeszcze szansę na grę w Lidze Mistrzów. A to jest moje marzenie, by kiedyś się w tych rozgrywkach znaleźć. Marzę, by usłyszeć hymn tych rozgrywek na żywo. Negocjowałem z klubem na etapie jego dwumeczu z Hamrun Spartans, który Dynamo pewnie wygrało, więc do awansu do fazy grupowej pozostawały wtedy jeszcze tylko dwie rundy. W następnej graliśmy z Pafos, więc były szanse. Ale, niestety, odpadliśmy. Była jeszcze szansa na Ligę Europy, która też była dla mnie magnesem. Skończyło się na Lidze Konferencji.

Ale doceniałem też wielkość Dynama. To jest klub, który zdobywał europejskie puchary, ma trzech wychowanków nagrodzonych Złotą Piłką, świetną akademię i mnóstwo kibiców. Powiem to z pełną odpowiedzialnością, bo sie o tym przekonałem: to jeden z największych klubów w tej części Europy.

I podobnych argumentów używał pan, gdy tłumaczył swoją decyzję rodzinie?
– Podobnych, choć próbowałem trochę tę rzeczywistość wypolerować i pokazać ją w ciut lepszych barwach niż faktycznie jest. Ale przede wszystkim szukałem miejsca, w którym mógłbym się trenersko rozwinąć. Wiem po pracy w Lechu Poznań, ile daje gra w europejskich pucharach. Wtedy styczność z Villarrealem, Bodo czy Fiorentiną dała mi mocnego kopa w rozwoju, dlatego chciałem poniekąd powtórzyć to w Dynamie. I tak się udało, bo graliśmy chociażby z Crystal Palace, które prowadzi Oliver Glasner. Za chwilę pewnie go tam nie będzie, bo wykonuje znakomitą robotę, więc zgarnie go większy klub.

Inny przykład: graliśmy z Fiorentiną Paolo Vanoliego. To trener, który był asystentem Antonio Conte i odpowiadał u niego za taktykę. Później poszedł do Venezii. Przygotowywałem się, żeby pojechać do niego na staż, więc oglądałem wiele meczów. Grali świetną, ofensywną piłkę. I teraz mogłem zmierzyć się z jego kolejną drużyną, która była akurat w wielkim kryzysie, zajmowała ostatnie miejsce w Serie A i nie wygrała żadnego meczu. Mogłem się z bliska przyjrzeć, jak próbuje sobie z tym poradzić. Polska liga jest bardzo konkurencyjna i ciekawa, wciąż oglądam jak najwięcej meczów Ekstraklasy, ale na tym etapie chciałem doświadczyć czegoś innego.

Gdzie jest większa presja – w Lechu czy w Dynamie?
–Nie znam na tyle języka ukraińskiego, by wszystko do mnie docierało. Ale widzę, że są to bardzo podobne kluby. Dynamo jest trochę jak „FC Hollywood", jak mówiło się kiedyś o Bayernie. Każdy mały gest jest rozbierany na czynniki pierwsze i analizowany. Piłkarze cały czas są na świeczniku. Wszystko, co się dzieje w klubie, jest ważne. Mieliśmy taką sytuację, że Andrij Jarmołenko coś krzyknął na boisku, bo dookoła było głośno, a zrobiła się z tego afera, że krzyczy na kolegów i ma do nich pretensje. Jak mieliśmy gorszy okres, od razu pojawiali się w mediach eksperci, byli piłkarze, którzy mówili, co trzeba zmienić.

Znajomy dziennikarz powiedział mi, że Dynamo jest takim klubem, którym każdy się interesuje. Nawet jak mu nie kibicuje, chce wiedzieć, co się w nim dzieje.
– To prawda. To klub typowo ukraiński, oparty o ukraińskich piłkarzy, mający bogatą historię. Szachtar mógł mieć w ostatnich latach większe sukcesy, ale wciąż nie ma tylu kibiców, co Dynamo. Poza tym dołączyłem do Dynama z jeszcze jednego powodu. Byłem po roku bez pracy, więc bardzo tęskniłem za boiskiem i treningami. Piłka to moja największa pasja, jedna z najważniejszych rzeczy w moim życiu. Czułem, że usycham bez codziennego wychodzenia na boisko. W reprezentacji bym tego nie miał.

Mauricio Pochettino mówił, że najbardziej lubi zapach skoszonej trawy na boisku.
– Rozumiem go! Na pierwszych treningach po dołączeniu do Dynama byłem niesamowicie podekscytowany. Nawet rozstawianie pa-

eprasa.pl 86b7bc0612

Liga Konferencji Europy. Dynamo Kijów przed meczem z Crystal Palace. Stadion Motor Arena w Lublinie (2.10. 2025)

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

chołków sprawiało mi przyjemność. Muszę być w szatni, wśród ludzi, bo to mnie nakręca.

Gdy pytałem o pana kolegów z Ukrainy, mówili , że miał pan być w tym klubie powiewem nowoczesności i przykładem, że Dynamo otwiera się na świat. Ich zdaniem Dynamo np. pod względem analizy i codziennej pracy, jest klubem przestarzałym i nienadążającym za trendami. Ale równocześnie przyznawali, że w sztabie wyglądał pan jak ciało obce, bo zatrudniał pana klub, a nie pierwszy trener.

– Tak było. Sytuacja nie była prosta, bo faktycznie to klub mnie znalazł i zatrudnił. Trener Ołeksandr Szowkowski miał już pięciu asystentów, więc na początku niby w tym jego sztabie byłem, ale byłem testowany, pozostali mi się przyglądali. Musiałem obronić się pracą i merytoryką. Wydaje mi się, że się udało. Kolejnym problemem była bariera językowa, bo spora część ludzi w sztabie nie mówiła po angielsku. Jestem komunikatywną osobą, więc starałem się i tak zagadywać mieszanką rosyjskiego, polskiego i angielskiego, ale nie było łatwo. W Polsce latami budowałem swoją pozycję, a tam zaczynałem niemal od zera.

Wciaż rozmwiacie o wojnie w szatni?

– Oczywiście. Mamy zawodników, którzy pochodzą z Ługańska, Doniecka, Mariupola. Z regionów, które są teraz pod panowaniem Rosji. Rodzice jednego z piłkarzy nie chcą stamtąd wyjeżdżać, bo mają już swoje lata, nie chcą zostawiać domu i wszystkiego, na co pracowali. Nie zgadzają się na wyprowadzkę, mimo że tego zawodnika stać, by ściągnąć ich do siebie. Żyją więc z okupantem za oknem, który nie wiadomo jak się będzie zachowywał wobec cywilów. To nie jest normalna sytuacja, ale ten piłkarz jakoś musi z nią żyć i funkcjonować.

Inny zawodnik, Mykoła Mychajłenko, nasz środkowy pomocnik, ma brata na froncie, który służy bodaj w artylerii i jest cenionym żołnierzem. Teraz do kin w Ukrainie wchodzi film dokumentalny, który przedstawia ich relację i pokazuje, jak obaj, choć w zupełnie inny sposób, walczą dla kraju. Gdy zaczęła się wojna, Mykoła walczył, żeby znaleźć się w kadrze Ukrainy na igrzyska olimpijskie w Paryżu, a to jego brat poszedł na front.

Udaje się znaleźć w tym wszystkim chwile normalności?

– Jest nią trening. Nam wszystkim, ale piłkarzom przede wszystkim, piłka pomaga się oderwać. Przez te 2-3 godziny głowa jest gdzie indziej, trzeba się skupić na zadaniach, skoncentrować i zmęczyć. To pomaga.

I po to też gra się na Ukrainie w piłkę? By choć na chwilę odciągnąć myśli od wojny?

– Ludzie potrzebują oderwać się od codzienności i mieć w życiu jakąś rozgrywkę. Zespół czuje, że ma misję. Przed meczami grany jest hymn Ukrainy, a później jest minuta ciszy, by uczcić poległych. Pierwsze kopnięcie symbolicznie wykonują weterani, którzy wrócili z frontu. Jeden z meczów rozpoczęły kilkuletnie dzieci, których tata zginął w walce za Ukrainę. Łzy same napłynęły do oczu.

Odpadliście z Ligi Konferencji, w lidze zajmujecie czwarte miejsce, co doprowadziło do zwolnienia trenera. Na ile wiązać wasze problemy sportowe z wojną?

– Naszym największym problemem jest logistyka. Wystarczy spojrzeć na nasze wyniki i na wyniki Szachtara po meczach pucharowych. Często traciliśmy po nich punkty w bardzo głupi sposób.

W praktyce to wygląda tak, że w niedzielę gramy mecz w lidze, więc w poniedziałek robimy lekki trening i o godz. 23 wyjeżdżamy do Lublina. Nad Ukrainą niebo jest zamknięte, więc całą noc jesteśmy w pociągu. Próbujemy spać, ale trudno o głęboki sen, bo raz, że niesamowicie trzęsie, a dwa, że po drodze jest jeszcze kontrola celna i trzeba wstać. Przez pierwsze trzy-cztery razy nie przespałem nawet godziny, dopiero później nauczyłem się zasypiać w takich warunkach. Choć to „spać" najlepiej wziąć w cudzysłów, to raczej półsen, drzemka.

We wtorek o godz. 11 jesteśmy w Chełmie. Niewyspani i zmęczeni drogą. Tam przesiadamy się do autobusu i mamy jeszcze ponad godzinę drogi do Lublina, gdzie robimy trening.

W środę kolejny i jeśli akurat mamy mecz wyjazdowy w Lidze Konferencji, lecimy do miejsca, w którym gramy. Po meczu wracamy samolotem do Lubina, jesteśmy tam trzy godziny, jemy obiad, wieczorem znowu wsiadamy do pociągu i jedziemy w drugą stronę. W sobotę jesteśmy w Kijowie, znowu niewyspani, więc trening jest bardzo podstawowy. A w niedzielę wychodzimy na mecz.

Nie da się tego inaczej zorganizować. Jak zadbać o regenerację? Co więcej zrobić? A przy tym trzeba pamiętać, z kim rywalizujemy w Europie. Często są to drużyny, które mają wszystko zorganizowane na najwyższym poziomie – regenerację, sen, trening, podróże.

Gracie na różnych zasadach.

– Dokładnie, a przecież w piłce takie detale mają duże znaczenie. Na początku sezonu, gdy Dynamo jeszcze walczyło o awans do Ligi Mistrzów, mecze pucharowe były co tydzień. Terminarz w lidze został z kolei ułożony tak, że wszystkie mecze odbywały się blisko Polski – w Równym i we Lwowie, więc zespół przez cały czas stacjonował w Lublinie i dojeżdżał na mecze ligowe pociągiem albo autobusem. Przez dwa miesiące piłkarze nie byli w Kijowie.

Mówił pan wcześniej, że w Dynamie szukał pola do rozwoju. Znalazł je pan?

– Zdecydowanie. Mówiłem już o grze w pucharach. Spotkałem się też z nieco innym podejściem trenerów. Na co dzień mają większy luz. Szowkowski jest legendą Dynama, byłym znakomitym bramkarzem. Dla niego mecze w pucharach to nie było nie wiadomo jakie święto, bo jako piłkarz grał w Lidze Mistrzów. I widziałem, jak jego podejście wpływało na zespół i cały sztab. W Dynamie mam też możliwość pracy z naprawdę dobrymi zawodnikami. Na pewno jestem więc dzisiaj lepszym trenerem niż cztery miesiące temu. ●

REKLAMA

Kraj/34416284

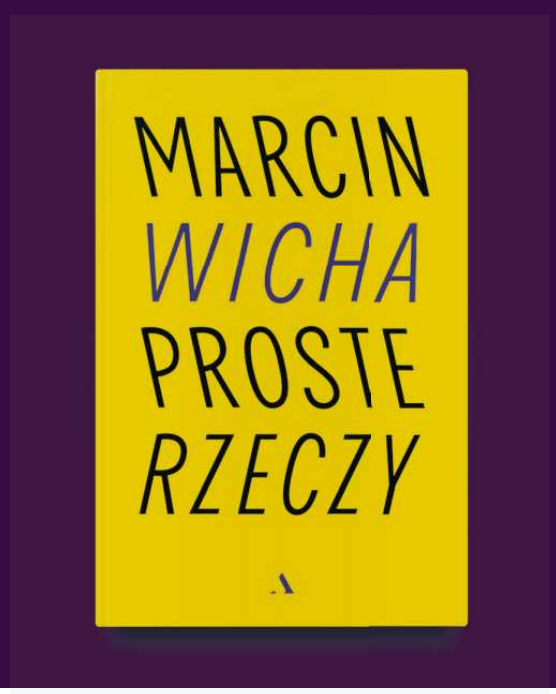

Myślał o wydaniu tych felietonów. Każdy z nich jest dla mnie jak spotkanie po latach z najlepszym przyjacielem, jak anegdota powtarzana przy rodzinnym stole od pokoleń. Niech się je wam dzisiaj dobrze czyta.

Marta Tymowska-Wicha

O świecie, który kryje się w rzeczach.
I o rzeczach, które kryją się w nas.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
www.wydawnictwoagora.pl

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

1 RP

eprasa.pl 86b7bc0612

Z BERLINA JUŻ NIEDALEKO

Czy w Polsce też pojawią się ekoterroryści?
I kto ich tutaj przyśle?

Z **URSZULĄ KUCZYŃSKĄ,** EKSPERTKĄ M.IN. OD TRANSFORMACJI ENERGETYCZNEJ ROZMAWIA **DOMINIKA TWOREK**

Na początku stycznia południowo-zachodnia część Berlina zamieniła się w „miasto duchów". Atak na sieć energetyczną spowodował największą przerwę w dostawie prądu od 1945 roku – akurat podczas wyjątkowo mroźnej zimy. Do działań przyznała się lewicowa, ekstremistyczna grupa Wulkan, twierdząc, że to forma protestu przeciwko „katastrofie klimatycznej".

– O ile to faktycznie ideowcy, a nie zwykli dywersanci. Choć *Vulkangruppe* pierwszy raz dała znać o sobie kilkanaście lat temu, kiedy sytuacja geopolityczna była zupełnie inna, dziś można mieć takie wątpliwości.

Zakładając, że to autentyczni ekoterroryści – to takie formy aktywizmu klimatycznego nawiązują do tradycji ruchów anarchistycznych oraz ekstremistycznej lewicy. Organizacje takie jak niemiecka RAF, Frakcja Armii Czerwonej, wyrosły na fali kontrkulturowych i wolnościowych protestów, które przetoczyły się przez praktycznie całą Europę w latach 1967–68. Pojawiły się wówczas grupki bardzo radykalnych działaczy, postrzegających siebie jako kontynuatorów idei rewolucji klasowej. Część z nich chwyciła za broń. Oprócz RAF istotnymi graczami w Europie byli Włosi z Czerwonych Brygad, Grecy z Organizacji 17 Listopada czy Francuzi z Action Directe.

Czerwone Brygady czy RAF zasłynęły porwaniami i zabójstwami politycznymi, ale działalność tych ruchów w dużej mierze polegała na atakach na infrastrukturę krytyczną i budynki rządowe. Ich głównym założeniem – historycznie i dziś – było dążenie do społecznej rewolucji, czyli całkowitej zmiany porządku rzeczy.

Aktywiści uderzyli w najbogatsze dzielnice stolicy, a w swoim apelu przeprosili biedniejszą część społeczeństwa za doznane szkody. Atak pozbawił prądu i ogrzewania 100 tysięcy mieszkańców.

– Takie działania – o ile mówimy o aktywistach, nie o dywersantach – są wewnętrznie sprzeczne. Teoretycznie uderzają w zastany porządek, ale największe koszty ponoszą grupy najsłabsze. Cierpią osoby bez wpływu na kształt polityk decydujących o tym, jak wygląda system elektroenergetyczny czy na dostępność i ceny paliw – ludzie o najniższym „śladzie węglowym" i najmniejszym wpływie na klimat. Tak było właśnie w Berlinie, gdzie najbardziej ucierpieli ci, którzy nie mogli na te kilka dni wyprowadzić się do rodzin czy hoteli – osoby uboższe, chore i starsze, wymagające opieki. Na co im przeprosiny ze strony terrorystów?

Skoro mówimy o rewolucyjnej zmianie świata na lepsze, na zaawansowanym etapie zaangażowania łatwo uwierzyć, że cel uświęca środki.

– I że żeby zrobić omlet, trzeba rozbić jajka. Szwajcarski ekonomista Peter Bernholz w badaniach z 2004 roku wskazuje, że to specyficzny rodzaj terroryzmu i nazywa go „terroryzmem najwyższych wartości". Zmiana porządku jest nienegocjowalną i absolutną koniecznością, a szkody wyrządzone po drodze nie mają znaczenia.

W Europie zdążyliśmy już zapomnieć o lewicowym ekstremizmie i terroryzmie – przede wszystkim dlatego, że przez lata go po prostu nie było. W istocie wypalił się on jako ruch po zakończeniu zimnej wojny. Jeszcze w 2014 roku na łamach „European Economic Review" niemiecka ekonomistka Krisztina Kis-Katos wraz z innymi badaczami argumentowała, że to zjawisko umarło.

Gdy słyszymy, że wszyscy na prawicy są sponsorowani z Rosji, cel Rosjan zostaje osiągnięty: znieczulamy się, wszyscy kłócą się ze wszystkimi. nikt już nie wie, gdzie leży prawda, a gdzie kłamstwo i nikt nikomu nie ufa

Dziś wraca? Jednak berliński sabotaż wydaje się wyjątkowy. Owszem, od paru lat słyszymy o aktach przemocy motywowanych troską o klimat, ale mowa raczej o anegdotycznych historiach typu zwieszanie się z bramownic na brytyjskich autostradach, przecinanie opon w luksusowych SUV-ach czy oblewanie farbami dzieł sztuki w muzeach.

– Wydaje się wyjątkowy z uwagi na powagę jego skutków i skalę rażenia. W porównaniu z przyklejaniem się do jezdni, do którego zdążyliśmy się przyzwyczaić, to zupełnie inna skala zjawiska. Ale lewicowy ekstremizm wraca.

Wyraźnie widzimy to w raportach Europolu, Agencji Unii Europejskiej ds. Współpracy Organów Ścigania, która skrupulatnie zbiera na ten temat dane. Mowa na przykład o podpaleniu słupa wysokiego napięcia, które zagroziło fabryce Tesli pod Berlinem – również przypisane Wulkanowi – czy podpaleniu magazynów, które doprowadziło do pożaru złożonej z 1960 paneli fotowoltaicznych farmy słonecznej we Włoszech. Straty oszacowano na prawie milion euro.

Dlaczego doświadczamy tego powrotu akurat teraz?

– W literaturze naukowej wiąże się to mocno z rozwarstwieniem społecznym, wysokim bezrobociem, lękiem o przyszłość, słowem – złamaniem pewnego kontraktu społecznego. Dziś Europa coraz bardziej się rozwarstwia, a awans społeczny lub choćby podtrzymanie statusu otrzymanego od rodziców czy dziadków są coraz bardziej niepewne, co tworzy podglebie do ponownego budzenia się tego typu ruchów.

Tutaj nie da się też uciec od szerszego kontekstu. Jeżeli mówimy o zimnej wojnie, to kto był przeciwnikiem Zachodu? W czyim interesie było podsycanie tych rewolucyjnych nastrojów? Do czyjej bramki padały te gole?

Pytanie o Rosjan jest dzisiaj wciąż żywe?

– Ono wraca i wpasowuje się w nowy krajobraz polityczno-aktywistyczny. Przez ostatnie kilkanaście lat jedynym rodzajem aktywizmu, który naprawdę urósł w siłę i obrósł w realne struktury, był ruch klimatyczny. To w naturalny sposób predestynuje go do tego, żeby zostać świetnym pretekstem dla ruchów ekstremistycznych. Tych szczerych i tych inspirowanych, co w gruncie rzeczy wcale wzajemnie się nie wyklucza.

Proszę zresztą spojrzeć, do jakiej filozofii odwołuje się ruch klimatyczny.

To filozofia katastrofy. Zwłaszcza w jego radykalnych odsłonach.

– Filozofia braku kompromisu, działania w imię najwyższego dobra i celu, który w obliczu nadciągającej katastrofy nie podlega negocjacjom. Od niego zależy nasze ocalenie.

Ruch klimatyczny w skrajnych formach coraz bardziej przypomina ruchy parareligijne, przede wszystkim millenarystyczne. Jak w głębokim średniowieczu: w obliczu nadciągającej Apokalipsy tysiące pątników umartwia się i wędruje po świecie, nawołuje do nawrócenia, wyrzeczeń, pokuty i oczyszczenia z grzechów, by móc dostąpić zbawienia. W takim otoczeniu nietrudno o rewolucyjną iskrę, aby samą – skądinąd bardzo słuszną i potrzebną światu sprawę – wykorzystać w niezbyt zbożnym celu.

W przypadku berlińskiego blackoutu od razu pojawiły się spekulacje, że grupę Wulkan finansują Rosjanie. A może nawet są nią, bo specyficzne błędy w apelu miały wskazywać na tłumaczenie z rosyjskiego. Niemieckie służby szybko jednak tę narrację ukróciły. Co obecnie wiemy na temat tej lewicowej partyzantki?

– O istnieniu *Vulkangruppe* wiadomo od kilkunastu lat, a obecny atak nie był ich pierwszym występem. Stali oni również za wspomnianym wcześniej podpaleniem słupa linii wysokiego napięcia blisko fabryki Tesli pod Berlinem. Dziś okazało się, że jest to środowisko niespenetrowane przez służby.

Dlaczego? Przecież cyfrowy ekosystem, który nas oplata – od telefonii komórkowej przez monitoring, serwisy społecznościowe, nawigację GPS, zakupy w sieci po różne czynności urzędowe online – umożliwia łączenie bardzo odległych nitek. Śledczych na trop mogą naprowadzić czyjeś pozornie niewinne znajomości w serwisie społecznościowym albo polubione 15 lat temu wpisy. Przecież i korporacje technologiczne, i służby ponoć wiedzą o nas wszystko.

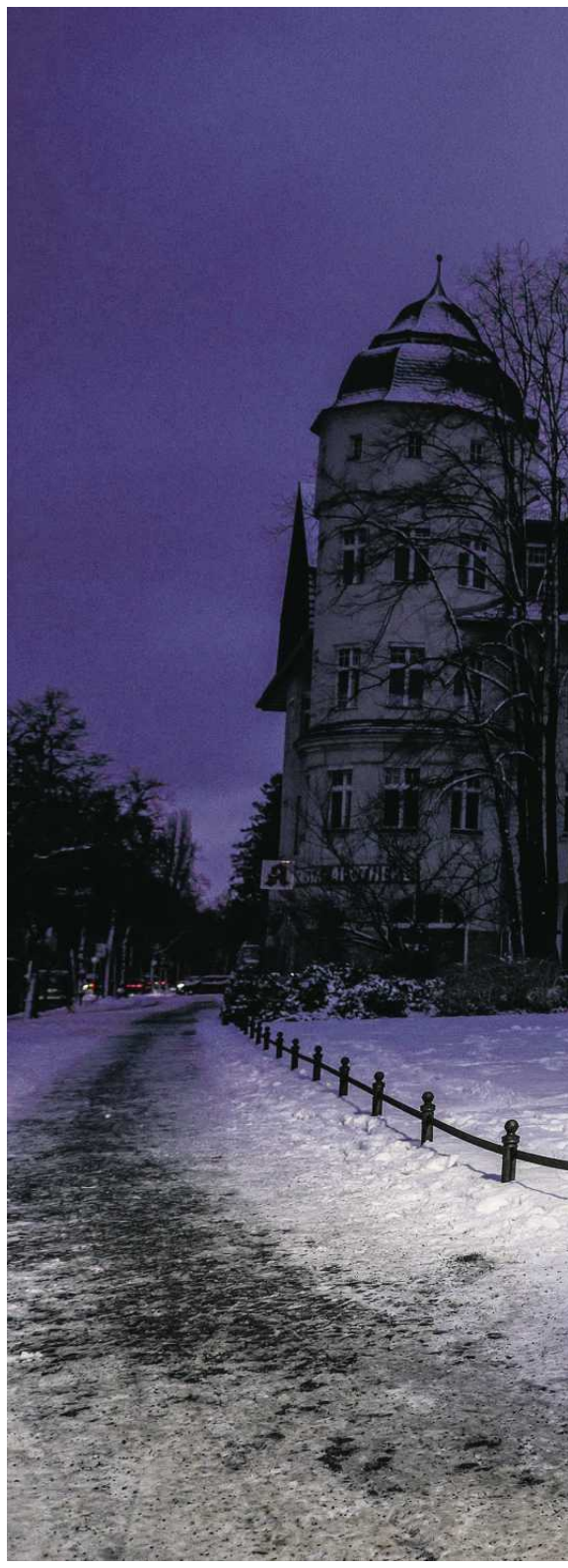

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Urszula Kuczyńska

• ekspertka Instytutu Sobieskiego, lingwistka i ekonomistka. Zajmuje się społecznymi aspektami transformacji energetycznej i polityki klimatycznej. Doświadczenie międzynarodowe zdobywała między innymi w Chinach. Współautorka analiz i raportów – w tym „Energetyka jądrowa dla Polski", „Coal-to-Nuclear dla Polski. Diagnoza społeczna" – autorka publikacji prasowych oraz książki „Atom dla klimatu".

1 RP

eprasa.pl 86b7bc0612

Berlin w morku po ataku na kable sieci energetycznej 4 stycznia br. Na zdj. służby techniczne w okolicach Mexikoplatz zapalają latarnie uliczne po podłączeniu ich do generatorów prądu

FOT. OMER MESSINGER / GETTY IMAGES

– Bo wbrew pozorom to nadzwyczaj trudne. Modus operandi lewicowej ekstremy najczęściej zakłada działanie w małych grupkach, które bardzo sprawnie poruszają się w darknecie – poza siecią tych nitek, skutecznie uniemożliwiając ich połączenie. Często udaje się to dzięki śledzeniu przepływu środków, czyli transakcjom finansowym, ale wraz z pojawieniem się bitcoina i innych kryptowalut to również się komplikuje.

Zwróćmy uwagę, że aby dokonać takiego ataku, nie potrzeba dużych nakładów finansowych, jak w przypadku terroryzmu prawicowego czy religijnego, gdzie często używa się broni. Podłożenie ładunku wybuchowego można sfinansować z własnych zarobków – nawet bardzo niewielkich.

Nowe środowiska ekstremistyczne stanowią dla służb bardzo duże wyzwanie, a ich niewielki rozmiar w niczym nie pomaga, wręcz przeszkadza – ciężko je choćby zinfiltrować.

Prawicowa czy dżihadystyczna ekstrema nie kamufluje się tak dobrze?
– Ależ kamufluje się doskonale – po prostu od lat, bez przerwy, jest na radarze służb. Bo przecież dżihadyści również często działają w pojedynkę, inspirowani przez radykalne środowiska, ale bez bezpośredniej, ustrukturyzowanej współpracy z „centralą".

Ale też zauważmy, o jakiej skali mówimy. Należy podkreślić, że według raportu Europolu za 2024, na nieco ponad 500 zidentyfikowanych przez europejskie służby ataków terrorystycznych – zrealizowanych, nieudanych i uniemożliwionych – tylko 21 miało podłoże lewicowe i anarchistyczne. Z czego, na marginesie, aż 18 we Włoszech.

Działania niemieckich służb dotychczas koncentrowały się głównie na terroryzmie o podłożu religijnym?
– Bardzo często prawicowy czy religijny ekstremizm to bezpośrednie ataki na ludzkie życie, natomiast akcje lewicowe czy anarchistyczne częściej są wymierzone w infrastrukturę i mienie. Z perspektywy polityka albo wyższego funkcjonariusza, który musi zadbać o to, by ktoś nie wjechał ciężarówką w bożonarodzeniowy jarmark, nie wysadził się na pełnym ludzi stadionie sportowym czy nie rozstrzelał uczestników koncertu, jak w Paryżu w 2015 roku, ataki takiej grupy Wulkan wydają się nie tylko o wiele rzadsze, ale i po prostu mniej groźne.

W trakcie blackoutu politycy AfD brylowali w mediach, pomagając mieszkańcom Berlina. Podczas gdy burmistrz miasta Kai Wegner, chadek z CDU, w ciągu pierwszej doby nawet nie pojawił się na miejscu. Jak wykazało dziennikarskie śledztwo, grał w tym czasie w tenisa. Można przypuszczać, że na sabotażu Vulkangruppe urośnie skrajna prawica.
– Wzrost poparcia dla Alternative fur Deutschland dla nikogo nie powinien być zaskoczeniem. Część dotkniętych brakiem prądu i ogrzewania ludzi przeniosła się do hoteli, a miasto początkowo odmówiło pokrycia kosztów. Po tym, jak budynki wychłodziły się całkowicie, rozpoczęto ewakuację pozostałych mieszkańców do zbiorowych centrów pomocy. Chadecki burmistrz sfotografował się przy ustawionym na jakiejś sali gimnastycznej łóżku polowym obłożnie chorej, kruchej staruszki.

Tymczasem internet zaczęły obiegać informacje o kwotach, jakie miasto wydaje rocznie na zakwaterowanie uchodźców, w tym na ich zakwaterowanie w hotelach. „Nowa" prawica natychmiast to podchwyciła: dla nich pieniądze były i nadal są, a dla niemieckich seniorów ich zabrakło!

Na dodatek, już po fakcie, Kai Wegner oznajmił, że przecież nie mógł podstawić pomocy pod każde mieszkanie i każdy dom. To zabrzmiało lekceważąco.

Do jakich zmian społecznych miałaby doprowadzić dzisiejsza – oparta w dużym stopniu na walce o klimat – rewolucja?
– Na tym polega cała zagwozdka, że jeśli dokładnie się nad tym zastanowić, nie da się na to pytanie konkretnie odpowiedzieć. Radykalni aktywiści chcą rewolucji, chcą całkowitej zmiany, ale czasem trudno oprzeć się wrażeniu, że nie mają na tę zmianę żadnego spójnego planu. Ich postulaty brzmią częściej jak nowe dziesięć przykazań: „nie będziesz spalał węgla", „nie będziesz jeździł samochodem", „nie będziesz latał samolotem na wakacje" czy „nie jedz mięsa, to złe dla środowiska".

Tymczasem, biorąc pod lupę tylko to ostatnie „przykazanie", wydaje się, że bardziej ekologiczna będzie kanapka z wędliną z lokalnego gospodarstwa niż z awokado uprawianego na drugim końcu świata.
– A część z tych pomysłów – już wcielona lub właśnie wcielana w życie – budzi ogromny społeczny opór. Zmiana, zwłaszcza wymagająca wyrzeczeń czy rezygnacji z jakichś wygód, zawsze budzi sprzeciw – ale w tych przypadkach często nie bez przyczyny.

Wystarczy spojrzeć na to, co się dzieje w Polsce wokół miejskich stref czystego transportu. Wielu ludzi jest oburzonych nie samą ideą oczyszczania powietrza w mieście, ale tym, że ci, których stać na nowe samochody, będą swobodnie wjeżdżać do centrum, a dzięki pozbawieniu „biedaków" dostępu – parkować bez najmniejszego problemu. Reszcie pozostaje autobus. I cóż, że będzie darmowy? Jeśli ponosimy koszty jakiejś zmiany dla wspólnego dobra, to albo wszyscy, albo nikt.

Niemniej wśród argumentów za proklimatycznym ograniczeniem, na przykład konsumpcji czy podróżowania, jest społeczna sprawiedliwość.
– Tylko że wiele wskazuje, że to nie klasie posiadającej zostaje odebrane, ale tej, która i tak ma niewiele. Najzamożniejsi mają własne samoloty i wszystko w nosie. Naprawdę chcemy świata, w którym pani Basia na emeryturze nigdy nie wybierze się w podróż życia, żeby zobaczyć piramidy w Egipcie?

W dobrej wierze jeszcze dodamy temu, co już ma?
– Dodamy dofinansowanie do samochodu elektrycznego i jeszcze z programu „Twój Prąd" dorzucimy do paneli fotowoltaicznych, żeby płacił niższe rachunki. Oraz dodamy punkty do fajności – bo ten wymiar nie jest bez znaczenia. A temu, co i tak ma niewiele – odbierzemy. Nawet tę małą przyjemność z jedzenia kotleta. Bo jak można nie rozumieć, że za mięsem z hodowli przemysłowej stoi i cierpienie zwierząt i tony emisji?

Często aktywiści żądają od zachodnioeuropejskich polityków natychmiastowych działań na rzecz neutralności klimatycznej. Tymczasem Unia Europejska od lat wprowadza rozwiązania, które mają przecież właśnie temu służyć.
– I paradoksalnie to jest jeden z przyczynków do ostrej krytyki jej działań z każdej strony. Bo przecież krytykują ją również przeciwnicy sprawy klimatycznej. Którym zresztą teraz wiatru w żagle dodała polityka zza oceanu.

Donald Trump wycofał amerykańskich naukowców z 66 międzynarodowych organizacji klimatycznych, w tym z IPCC – Międzyrządowego Panelu do spraw Zmian Klimatu – czy z ONZ-owskiej konwencji do spraw zmian klimatu. Bo „wiele z nich promuje radykalną politykę klimatyczną, globalne zarządzanie i programy ideologiczne".
– A z drugiej strony Unię krytykują również zwolennicy tego kursu. W słynnym raporcie Mario Draghiego – cenionego europejskiego polityka i ekonomisty, wręcz eurokraty – zbyt powolne tempo dekarbonizacji postrzegane jest jako jeden z czynników opłakanego stanu europejskiej elektroenergetyki i spadku konkurencyjności Unii.

Czy to, że klimatyczne polityki mogą uderzyć w najsłabszych, to tylko europejski problem, czy raczej nierozłączna cecha klimatycznej rewolucji – jak każdej rewolucji?
– Nie tylko Unia Europejska ma problem z tempem i pewną niesprawiedliwością tej zmiany – choć akurat ona przewidziała bardzo obszerne działania osłonowe.

Na przykład w Chinach, gdzie tempo dekarbonizacji jest zawrotne, pojawił się problem, bo w północnej prowincji Hebei, gdzie panują dosyć ostre zimy, w tym sezonie re-

eprasa.pl 86b7bc0612

kordowa liczba ludzi zamarza w domach. Rząd prowincji powymieniał im piece na gazowe – więc wciąż spalające węglowodory, ale czystsze niż węgiel – lecz budynków nie osłonięto dodatkową izolacją, a obywateli na ten gaz nie stać. Nie wolno im spalić ani patyczka, ani kawałka węgla. Nad wioskami latają drony, które wykrywają dym z jakiegokolwiek innego źródła. Są za to kary grzywny, na które starszych ludzi, którzy w tych wioskach zostali, gdy młodzi wyemigrowali do miast, również nie stać.

Czyli wszelkie tego typu zmiany „zielonych transformacji" wprowadzane na szybko, bez uwzględnienia potrzeb zwykłych ludzi, uderzają przede wszystkim w tych gorzej sytuowanych?
– Zarządzanie zmianą to bardzo trudna sztuka, a co dopiero zmianą tak wielką, na skalę całych społeczeństw i kontynentów.

Warto powiedzieć sobie coś jeszcze: my – jako cywilizacja – już przechodziliśmy transformacje energetyczne. Ta dzisiejsza nie jest pierwszą w historii. Rozpoczęcie masowego wydobycia i spalania węgla umożliwiło rewolucję przemysłową. Przyniosło śmierć górników i smog, ale też cywilizację techniczną w obecnym kształcie. A przede wszystkim ocaliło europejskie lasy, bo zmalała gospodarcza rola drewna. Wachlarz dostępnych źródeł energii po prostu uległ rozszerzeniu. Dokładnie w tej logice działają Chiny i Indie, z ogromnymi sukcesami. Co ciekawe, dla jednych stanowią przykład, że dekarbonizacja to fanaberia, bo nadal budują ogromne elektrownie oparte o spalanie paliw kopalnych, a dla drugich – przykład transformacji prowadzonej rozsądniej niż w Europie.

To jak to jest z tymi Chinami? Rzeczywiście są, jak się przedstawiają, „zieloną potęgą" technologiczną i odchodzą od paliw kopalnych czy wciąż budują elektrownie węglowe i trują, a w ekologię inwestują na pokaz oraz po to, aby wyprzedzić zachodni przemysł i innowacje?
– Te rzeczy się nie wykluczają. Chiny są absolutnie liderem zielonej transformacji, bez względu na to, jakie kryterium oceny byśmy przyjęli: ilość źródeł energii zainstalowanych w OZE [Odnawialne Źródła Energii – określenie „zielonej" energetyki], tempo ich przyrostu w systemie, ilość wyprodukowanej bezemisyjnie energii czy listę największych na świecie spółek produkujących turbiny wiatrowe oraz panele fotowoltaiczne. To samonapędzający się mechanizm – bo żeby to wszystko zainstalować, Chiny w ostatniej dekadzie podwoiły swój system elektroenergetyczny. Również bardziej „klasyczny" – aktualnie budują 37 reaktorów jądrowych. Jednocześnie!

Tak więc prowadzą „politykę podwójnego celu". Zakładają, że szczyt emisji jeszcze przed nimi – osiągną go do roku 2030. Dają sobie czas, żeby przygotować system, wszystkie sektory gospodarki i społeczeństwo do tego, co ma nastąpić później. Po roku 2030 – według planu – emisje będą już tylko spadać, a Chiny wejdą w kolejną fazę ograniczania zależności od węglowodorów kopalnych.

I to ma szansę się udać, nie natychmiast, ale jednak. Od ponad roku obserwujemy tam trend spadkowy, jeśli chodzi o emisje gazów cieplarnianych. Nieduży – 1,6 procent w pierwszym kwartale 2025 względem analogicznego okresu w 2024 – ale jednak. A termin osiągnięcia neutralności klimatycznej wyznaczono na 2060 rok.

Dla nich zmniejszenie własnej zależności od importowanych paliw kopalnych jest celem nie tylko klimatycznym, ale przede wszystkim strategicznym?
– Chiny po prostu ich nie mają w potrzebnej ilości. W podobnej logice zadziałała Francja na fali kryzysów naftowych w latach 70. Plan premiera Messmera doprowadził do głębokiej przebudowy systemu energetycznego i oparcia go o atom. Dziś Francja to jeden z niewielu eksporterów energii w Europie, o wyjątkowo niskim wskaźniku emisyjności z energetyki.

37
REAKTORÓW JĄDROWYCH
• **naraz budują obecnie Chiny**

Przykład francuski jest jednak o tyle zwodniczy, że przejście na atom co prawda wymagało od Francuzów budowy nowej gałęzi przemysłu, ale dało stabilny system energetyczny, który nie wymagał zmian wykraczających poza technologię, jakie wiążą się z wdrażaniem OZE.

Takich, jakie przeżywamy dziś, dotyczących wielu aspektów codziennego ludzkiego życia.
– Jeśli tak głębokie zmiany próbuje się w sposób nieprzemyślany wymusić lub przyspieszyć, to nawet przy zastosowaniu potężnych mechanizmów ochronnych, jak w Unii, rośnie ryzyko – nazwijmy to – szkód ubocznych. W warunkach europejskich, gdzie funkcjonuje 27 demokratycznych społeczeństw o często sprzecznych interesach, trzeba pamiętać: ewolucja, nie rewolucja.

W deklaracjach aktywistów mocno wybrzmiewa ideologia degrowth, krytykująca model gospodarki opartej na niekończącym się wzroście i postulująca planowe zmniejszenie produkcji oraz konsumpcji, npo to by te różne kryzysy – czy ekologiczne czy społeczne – rozwiązać.
– Moim zdaniem to idea z gruntu niehumanistyczna, ponieważ zakłada, że nam wszystkim ma się żyć gorzej niż obecnie. Podczas gdy miliardy ludzi na świecie marzą, by móc funkcjonować tak, jak my. Mamy im tego zabronić? Zamienić się miejscami?

21
ZAMACHÓW
• **tylko tyle na ponad 500 zrealizowanych, nieudanych i uniemożliwionych w Europie w 2024 r. miało podłoże lewicowe i anarchistyczne**

Często słyszymy też o walce z kapitalizmem czy amerykańskim imperializmem. Natomiast wielu ludzi dobrej woli wygodnie pomija fakt, że elementem imperialnej polityki Rosji była na przykład *Energiewende*, czyli niemiecka rewolucja energetyczna.

Na czym polegała ta Energiewende?
– Niemcy od wczesnych lat dwutysięcznych prowadzili gruntowną przebudowę swojego systemu elektroenergetycznego w kierunku odejścia od atomu i oparcia na odnawialnych źródłach energii. A te z natury rzeczy produkują energię w sposób stochastyczny, zależny od pogody. W momencie, kiedy projektowano tę politykę, nie istniały nawet te magazyny energii, które dziś – choć w skromnym i wciąż zbyt małym stopniu – już działają.

To było absolutnie jasne, że instalowanie mocy w odnawialnych źródłach energii musi przez pewien czas prowadzić do dalszej zależności od paliw kopalnych. Tylko że nie mógł to być węgiel – bo wiadomo, od niego w dobie katastrofy klimatycznej odchodzimy. Nie mógł to być też atom, bo od niego odchodzimy jeszcze bardziej. W efekcie pojawił się pomysł, by Niemcy stały się gazowym hubem Europy, ciągnącym gaz rurociągami prosto z Syberii. Na tym opierała się cała polityka *Energiewende* aż do pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę.

Skąd pomysł, aby odchodzić od atomu?
– Atom jest jedynym źródłem energii – na dodatek niskoemisyjnym – mogącym zastąpić węgiel jeden do jednego jako tak zwana podstawa systemowa. Produkuje energię bez względu na pogodę, porę dnia i roku, w sposób przewidywalny i umożliwiający planowanie. Dzięki inercji ma też zdolność stabilizacji systemu i pozwala unikać sytuacji takich jak blackout, który w 2025 roku sparaliżował większość Półwyspu Iberyjskiego, gdzie zadziałał efekt domina.

Ale pojawił się argument ideologiczny, który okazał się bardzo istotny. Większość znanych ruchów ochrony środowiska, takich jak Greenpeace, wyrosła w czasach zimnej wojny jako sprzeciw wobec zbrojeń jądrowych – wobec zabaw ludzkości z bronią atomową. A w wyobraźni społecznej bardzo łatwo było skleić broń jądrową z energią jądrową. Choć to trochę tak, jakby utożsamiać krzesło z krzesłem elektrycznym.

Nie możemy zapomnieć też o wpływie Rosjan na ten dyskurs. Przecież Sowieci również wpływali na nastroje zaangażowanej młodzieży protestującej przeciwko atomowi. A to z czasem oddziaływało na przejętych, przestraszonych „normalsów".
– Nie możemy ich ignorować, ale ja bym tego wpływu nie przeceniała. Propaganda ma to do siebie, że chwyta tylko na podatnym gruncie.

Dzięki zakorzenionemu na Zachodzie lękowi przed atomem, który jeszcze wzmogła katastrofa elektrowni w Fukushimie w 2011 roku, można było ustawić Energiewende – czyli odchodzenie od paliw kopalnych – jako odejście od węgla, teoretyczne przejście na odnawialne źródła energii, ale bardzo mocno podparte gazem ziemnym płynącym ze Wschodu?
– Ze Wschodu przede wszystkim, ale nie tylko. Wkraczamy w sferę ogromnej gry interesów.

Sprzeciw wobec atomu służy też interesom lobby naftowego, węglowego i gazowego. Energia jądrowa realnie zagraża ich biznesowi.
– Doskonale pokazuje to historia spisana przez amerykańskiego dziennikarza Michaela Schellenbergera. Najstarsza organizacja ochrony środowiska w USA, Sierra Club, w latach 50. i 60. była mocno proatomowa. W latach 70., gdy w Kalifornii planowano budowę elektrowni Diablo Canyon, zarząd klubu poparł tę inwestycję. Dla członków Sierra Club oznaczało to możliwość wytwarzania dużej ilości energii w jednym miejscu, bez dalszego niszczenia terenów górskich, po których Kalifornijczycy uwielbiają chodzić.

Jedynym głosem sprzeciwu był niejaki David Brower.
– Uznał, że zwiększona liczba ludzi przybywających do regionu i rozwój infrastruktury, tak czy siak, zniszczy środowisko naturalne. W geście protestu rzucił legitymacją Sierra Club i kilka miesięcy później założył jedną z największych organizacji ekologicznych na świecie – Friends of the Earth. W swoim statucie zobowiązała się ona do walki wykorzystaniem energii jądrowej. Wiadomo jest, że Brower przyjął na start pieniądze od Roberta Andersona, magnata naftowego, właściciela firmy paliwowej Atlantic Richfield. Dlaczego? – tego nie wie.

A na przykład w Australii, która zarabia krocie na wydobyciu i sprzedaży rudy uranu, jednocześnie obowiązuje konstytucyjny zakaz wykorzystania energii jądrowej na cele inne niż medyczne i badawcze. Nie wolno tam postawić żadnej elektrowni jądrowej. O zakaz wystarało się forum właścicieli kopalń węgla pod pretekstem ochrony społeczności górniczych i miejsc pracy. A że gospodarka Australii przemysłem wydobywczym wówczas stała – i w ogromnym stopniu nadal stoi – nic dziwnego, że politycy ulegli naciskom akurat z tej strony.

Z jednej strony „klimatyzm", jak nazywają polityki klimatyczne, atakuje alt-right, z drugiej trudno nie zauważyć, że niektóre działania aktywistów – choć wcale tego nie chcą – też prowadzą do polaryzacji. Ciągłe przymuszanie uczestników debaty społecznej do „stawania po właściwej stronie" wywołuje kłótnie i podziały. Wszyscy wiemy, jak wyglądają „dyskusje" w serwisach społecznościowych i jak dużą rolę odgrywają w nich ruskie boty. A przecież głównym celem Rosji jest destabilizacja zachodnich społeczeństw.
– My natomiast cały czas operujemy według własnych reguł i nie przyjmujemy do wiadomości, że istnieją całe cywilizacje, jak ro-

> „Degrowth" to idea z gruntu niehumanistyczna, ponieważ zakłada, że nam wszystkim ma się żyć gorzej niż obecnie. Podczas gdy miliardy ludzi na świecie marzą, by móc funkcjonować tak, jak my. Mamy im tego zabronić?

eprasa.pl 86b7bc0612

syjska, które opierają się na innych wartościach. I naszych reguł nie tylko nie szanują, ale wręcz wykorzystują je przeciwko nam.

W polskiej przestrzeni medialnej ciągle pojawiają się artykuły sugerujące, że nie tylko Ordo Iuris jest sponsorowane – poprzez sieć ultrakonserwatywnej międzynarodówki – z Kremla, lecz również obie Konfederacje, zwłaszcza ta Grzegorza Brauna. Mało tego, członkowie PiS – partii, której realna polityka za jej rządów opierała się przecież na czymś odwrotnym do tej retoryki, czyli na wsparciu dla Ukrainy – również określani są mianem rosyjskich agentów.
– Te przypadki są różne, ale w światopoglądowym i politycznym zacietrzewieniu każdy jest „ruską onucą", w efekcie czego te oskarżenia nam się już opatrzyły.

Jeśli chodzi o ochronę środowiska, przypomnijmy sobie moment, gdy wyszło na jaw, że niemiecki oddział WWF, popularnej i zasłużonej organizacji ekologicznej, który walczył z europejskimi projektami wydobycia gazu łupkowego, był współzałożycielem fundacji otrzymującej fundusze od spółki Nord Stream, czyli w istocie od rosyjskiego Gazpromu. Albo historie jak ta, że Greenpeace w Niemczech założył spółkę Green Planet Energy, handlującą rosyjskim gazem.

Można to nazwać z gorzką ironią porozumieniem ponad podziałami, bo z kolei kanclerz Niemiec Gerhard Schroeder, po zakończeniu kariery politycznej świetnie odnalazł się w radach nadzorczych kilku kremlowskich spółek energetycznych, a Matthias Warnig, oficer Stasi, po zjednoczeniu Niemiec bankowiec, został dyrektorem generalnym w projekcie Nord Stream 2, blisko współpracując z Putinem.

Nieco spiskowo można powiedzieć, że Rosjanom na rękę, gdy te faktyczne historie mieszają nam się z fałszywymi oskarżeniami o bycie „ruską onucą". Społeczeństwo się oswaja, znieczula, a prawdziwą agenturę traktuje się później wzruszeniem ramion – „no tak, wiadomo". Jest jak z faszyzmem – kiedy wszyscy na prawicy są faszystami, to gdy przychodzą do mainstreamu prawdziwi faszyści, już nie szokują,bo zostali znormalizowani?
– Gdy nagle okazuje się, że wszyscy są sponsorowani z Rosji, my już nie wiemy, co o tym sądzić, bo jak to możliwe, że ruscy wszystkich sponsorują? A ich cel został osiągnięty: nie tylko mamy „wodę z mózgu", ale wszyscy kłócą się ze wszystkimi. To paraliżuje realne działanie. Nikt już nie wie, gdzie leży prawda, a gdzie kłamstwo, a przede wszystkim – nikt nikomu nie ufa. Każdy ma swoją rację. Coraz mniej negocjowalną.

Może rzeczywiście ruscy te różne ugrupowania sponsorują?
– Może tak być. To nie wymaga wielkich nakładów finansowych. Co za problem podsypać poprzez łańcuszek pośredników trochę pieniędzy, z jednej strony grupkom czerwonych rewolucjonistów, a z drugiej – jakimś egzotycznym skrajnościom prawicowym? Niech się tłuką między sobą. Będzie chaos, doskonale. A jeśli uda się im wejść do dużej polityki, dostać do samorządu czy nawet parlamentu, tym lepiej.

Niemniej takich oskarżeń nie wolno rzucać na wiatr.

Jeśli radykalne działania zniechęcają „normików" – jak w języku młodzieżowym, ale też facebookowego alt-leftu nazywa się zdystansowaną wobec radykalnych postulatów klasę średnią i robotniczą – do sprawy ochrony środowiska czy klimatu, dlaczego aktywiści – nierzadko przecież intelektualiści – nie potrafią tego dostrzec?
– Ci wojujący, unikający niuansu aktywiści to najczęściej dobrze wykształceni młodzi ludzie. Moim zdaniem nie potrafią z prostego powodu: są po prostu upojeni poczuciem racji i słuszności. To, że nie potrafią wyjrzeć poza swoją bańkę, dostrzec warunków życia czy optyki innych klas społecznych, jest mocno wspierane przez obowiązujący dyskurs, nawet nie tyle medialny, ile w serwisach społecznościowych.

Tym większe zasięgi zdobędziesz, w im wyższe tony uderzysz?
– Nawet niekoniecznie z premedytacją. To żadna nowość, że algorytmy serwisów społecznościowych mają podtrzymywać zaangażowanie użytkowników, więc promują ciągłe podsycanie emocji, bo nasz mózg je lubi. Możesz doskonale wiedzieć o tym mechanizmie – a i tak w ferworze dyskusji mu ulegasz.

Konsekwencją tego jest silna inflacja języka. Dzieje się tak z oskarżeniami, że ruscy wszystkich finansują, z zarzutami o faszyzm, ale też z uznawaniem różnych zdarzeń losowych, wypadków czy osobistych problemów za „dramat" i „katastrofę". W efekcie słowa tracą swoją moc, dochodzi do ich dewaluacji. Dyskurs przesady odrywa rzeczy od proporcji, w jakich one zachodzą, co w efekcie niszczy aparat pojęciowy, z którego wszyscy korzystamy. Takie działania podejmuje też niestety wielu intelektualistów.

W Polsce – na całe szczęście – doświadczamy dużo mniej radykalnego aktywizmu. Obecnie jedynie młodzi ludzie z Ostatniego Pokolenia przyklejają się do dróg albo od czasu do czasu oblewają coś farbą. Co bywa uciążliwe, ale mieści się w granicach obywatelskiego nieposłuszeństwa.
– Polskie media bardzo ekscytują się takimi akcjami, choć wielu obywateli obserwuje je z dystansem, z pewną dozą ostrożności. Dostrzegamy, że ten aktywizm przybiera czasami groteskowe formy. Widzimy młodzież, która w rewolucyjnym akcie przerywa jubileusz uznanego dyrygenta, żądając darmowych przejazdów komunikacją miejską. To nie ten adres!

Jak powinniśmy na to reagować?
– Odpowiem anegdotą. Działacze Scientist Rebellion zorganizowali protest w muzeum Porsche w Niemczech. Aktywiści weszli do środka i przykleili się do podłogi, wyciągając telefony i kręcąc propagandową akcję. Pracownicy muzeum nie bardzo wiedzieli, co z tym zrobić – był piątek po południu, w Niemczech pracę kończy się wtedy stosunkowo wcześnie. Po krótkiej naradzie po prostu pogasili światła, zamknęli budynek i poszli do domu. Aktywiści, przyklejeni do posadzki, nie mogli nawet ruszyć się do toalety. Liczyli na wielką medialną aferę, ale spokój i niemiecka punktualność zadziałały tutaj bardzo skutecznie. Jeśli w ogóle mówiono o nich w sieci, to ze śmiechem.

Może takie nonszalanckie ignorowanie – które tych przejętych ludzi doprowadza do szewskiej pasji, bo nie są w stanie przebić się do serc i umysłów społeczeństwa – będzie prowadzić do radykalizacji, w wyniku której zaraz będziemy mieli blackouty w Warszawie?
– Grunt do radykalizacji i tak już jest. W obliczu całego mnóstwa innych czynników, z trollami na X czy TikToku na czele, spokojna obojętność otoczenia raczej nie będzie ważyć dużo jako ewentualny czynnik radykalizacji.

Zresztą nasze służby specjalne i tak są w większym stanie gotowości niż u naszych zachodnioeuropejskich kolegów. To, że my o pewnych rzeczach nic nie wiemy, nie znaczy, że ich nie ma. Ciągle doświadczamy przecież rosyjskich sabotaży, jak pożar hali kupieckiej przy Marywilskiej w Warszawie, uszkodzenie torów pod Garwolinem czy grudniowa próba cyberataku na system energetyczny. A prawdopodobnie wiele podobn ń udało się zatrzymać, tylko my tego nie widzimy.

Lewicowe ruchy będą się jeszcze radykalizować?
– To niewykluczone, również, jeśli chodzi o wykorzystanie ich jako pretekstu przez siły zewnętrzne. Może *Vulkangruppe* to zwykli opłaceni cynicy, a nie zmanipulowani ideowcy? Nie możemy wykluczyć ani jednego, ani drugiego.

Niespokojne czasy rodzą niespokojnych ludzi.
– A dziś wchodzimy w okres burzy i naporu – napięć i wielkich przetasowań, nie tylko w Europie. Wystarczy wspomnieć wojnę w Ukrainie i gospodarcze osłabienie Rosji przy jednoczesnym wzroście jej znaczenia międzynarodowego, do tego napięcia związane z Grenlandią wewnątrz NATO, Japonię zbrojącą się na wypadek wojny na Pacyfiku, protesty w Iranie czy antysemicki zamach terrorystyczny na rajskiej plaży w Australii.

Wojna nie zaczyna się w momencie przełamania słupków granicznych, ma swoje fazy, zanim dojdzie do „gorącego" konfliktu. Można ją zresztą prowadzić i bez niego. Zimna wojna trwała przez dekady. Wojna handlowa to przecież też wojna, sytuacja nienaturalnego napięcia. To napięcie będzie się przekładać na różne aspekty życia społecznego, w tym na wzrost gotowości do działań radykalnych – wszelkiego rodzaju i o wszystkich barwach politycznych.

Jak immunizować się na przyszłość?
– Pytasz mnie: „Pani ekspert, jak żyć?". Jestem daleka od tego typu rad.

Zastanawiam się co robić, by nie dać się uwieść i zwieść radykalnym opowieściom: zarówno populistycznej skrajnej prawicy, jak i „rewolucyjnej" lewicy.
– Warto pamiętać o tym, że wszystko ma swoje proporcje. I słowa, i działania. Szczycimy się, że jako ludzie mamy rozum i umiejętność racjonalnego myślenia. Tymczasem wciąż łapiemy się na tym, że nie jesteśmy zwierzętami racjonalnymi, a racjonalizującymi: działamy pod wpływem emocji, a potem gorączkowo szukamy uzasadnień i naprawiamy poczynione szkody. Może warto pamiętać, że pośpiech jest wskazany tylko przy łapaniu pcheł? Nie dawać się ponosić sytuacyjnym histeriom, wojnom na racje i lajki w internecie?

Zależy mi również na tym, żeby nie zostawiać czytelników z poczuciem, że każdy proekologiczny aktywizm jest z gruntu zły. Jakie działania aktywistyczne uważasz więc za wartościowe?
– Jasne, że nie jest! Ruchy ochrony środowiska są pełne mądrych ludzi o jak najlepszych intencjach. Istnieje cały szereg organizacji – lokalnych, regionalnych, krajowych – których działania warto wspierać, bo skupiają się na ważnych, konkretnych sprawach.

Mnie bliska jest recepta, którą proponuje Paul Kingsnorth, znany brytyjski filozof, eseista i ekolog, w książce „Wyznania otrzeźwiałego ekologa", niedawno przełożonej na polski. Ścieżka, którą sam znalazł po dekadach zaangażowania w duże ruchy ekologiczne, opiera się właśnie na zachowywaniu proporcji oraz działaniu w swoim najbliższym otoczeniu.

Chodzi o skupianie się na sprawach, na które ma się realny wpływ. To ważne, żeby nie pozwolić wyciąć drzewa za oknem, wyczyścić jesienią budki lęgowe dla ptaków, pomóc starszej pani – która nie ma rodziny – ocieplić ostatni dom we wsi. I nie oczekiwać, że w zamian za to, świat uzna nasze racje. Wydaje się, że to jedyny sposób, żeby w tym wszystkim nie zwariować. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414015

1 RP

eprasa.pl 86b7bc0612

KOMORA ZBÓJNIKA JANOSIKA

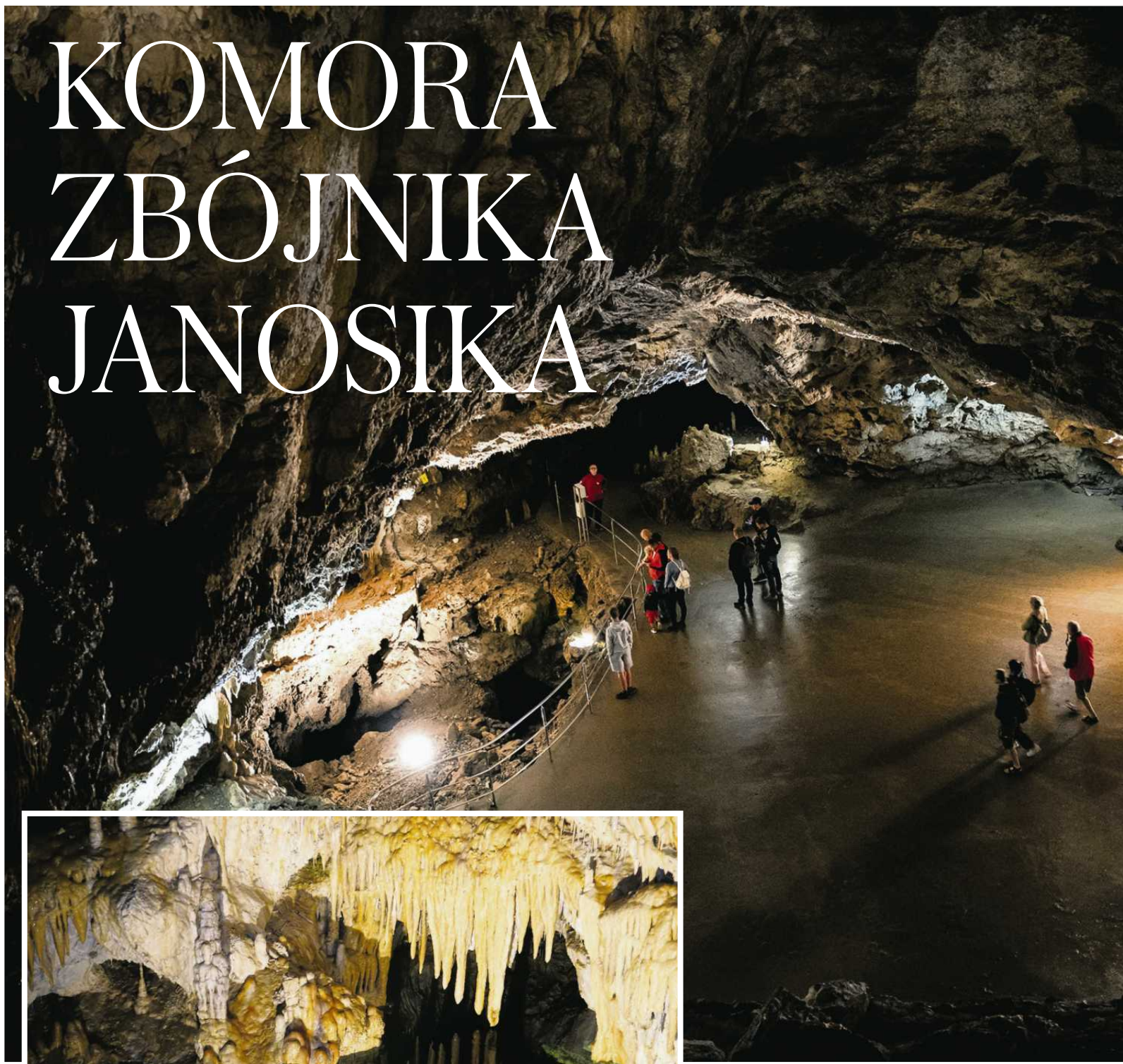

W Korytarzu Cierpienia człowiek czuje, że jest najbliżej jaskini – mówi mój przewodnik. To istny geologiczny cud. Słowacy niedawno obchodzili 100-lecie odkrycia tej jaskini.

Aleksander Gurgul

Juraj Jalový, mój przewodnik po Demianowskiej Jaskini Wolności (Demänovská jaskyňa slobody), nie należy do osób wylewnych. Ale może właśnie o to chodzi: nie mówić za wiele, tylko podziwiać. Oglądamy spektakl świetlno-muzyczny, a gdy się kończy i na moment gasną lampy podświetlające ściany Komnaty Głębokiej (Hlbokỳ dóm), ogarnia nas mrok. I cisza, w której słychać tylko spadającą wodę.

Szum małego wodospadu tzw. Wiecznej Wody oraz ciemności sprawiają, że chociaż stoisz na betonowym chodniku, to przez chwilę zastanawiasz się, gdzie jest sufit, a gdzie podłoga.

Wyobrażam sobie, co musiał czuć morawski nauczyciel Alois Kral, który odkrył jaskinię 3 sierpnia 1921 roku (pomoc w tym dkryciu przypisuje się Adamowi Mišurowi).

Dwa lata później zainstalowano tu prowizoryczne oświetlenie elektryczne, a oświetlenie stałe – w 1931 roku. Jaskinia została częściowo udostępniona do zwiedzania już w roku 1924, natomiast trasa, którą można ją przejść obecnie – w roku 1933.

Od 1929 roku Dolina Demianowska jest objęta ochroną, co sprawia, że to jeden z najstarszych rezerwatów przyrody na Słowacji.

Przerywnik w drodze na Chopok

Wejście do Demianowskiej Jaskini Wolności (DJW) znajduje się na wysokości 870 metrów nad poziomem morza – na północnych stokach Parku Narodowego Niskich Tatr. Narciarze, którzy stali w korkach do parkingów przy wyciągu na Chopok, pewnie nie raz widzieli drogowskazy do tej ukrytej przyrodniczej perełki.

„Wodne toki powierzchniowe płynące z granitowego masywu północnego Niskich Tatr zanurzają się w ciemnych wapieniach typu Gutenstein środkowego triasu, których wiek szacuje się na ponad 225 mln lat" – czyta jeden z pierwszych wykładów lektor, którego włącza mój przewodnik.

Ponieważ jaskinie stały się bardzo popularną atrakcją – odwiedza je blisko 100 tysięcy turystów rocznie, w tym licznie Polacy – Słowacy nagrali wykłady także w naszym języku, żebyśmy lepiej mogli poznać ten cud geologiczny.

Demianowska Jaskinia Wolności to tylko fragment potężnego systemu jaskiń, który ma kilka poziomów, mnóstwo odnóg i liczy łącznie ponad 43 kilometry, co sprawia, że jest jednym z najdłuższych w Karpatach.

Sami Słowacy wskazują jednak, że to właśnie licząca blisko 12 kilometrów Demianowska Jaskinia Wolności jest najcenniejsza w tym ogromnym kompleksie. Bo ma liczne kolorowe jeziorka, komnaty oraz przede wszystkim stalaktyty, stalagmity, stalagnaty i filary. Fizykochemiczny proces tworzenia się tych niezwykłych form zależy od ilości i jakości wody przeciekającej przez skały.

„Jeden milimetr sześcienny tej jaskini narasta w ciągu 10-15 lat" – klaruje dalej lektor, który towarzyszyć będzie mnie i mojemu przewodnikowi do końca wycieczki.

Temperatura powietrza w jaskini waha się od 6,1 do 7 stopni Celsjusza.

Trasa ma dwa warianty: standardowy (nieco ponad kilometr) kosztuje 15 euro i tzw. Wielką Trasę (ponad dwa kilometry), za którą trzeba zapłacić 24 euro. Oba nie są zbyt forsowne i nie wymagają olimpijskiej kondycji, trzeba jednak liczyć się ze stromymi podejściami po schodach.

Na trasie standardowej do pokonania jest 913 stopni, na Wielkiej – 1118.

W szumie podziemnej rzeki

Po chwili światła znów się zapalają i idziemy dalej Korytarzem Grochowym (Hrachová chodba), na którego końcu znajduje się naciekowy wodospad o wysokości 42 metry. Przechodzimy przez Komnatę Śnieżnych Lawin (Lavínová komora) i oglądamy dwa Jeziorka Szczęścia (Jazerá šťastia).

Najwyższym punktem na trasie jest Jaskiniowy Cmentarz (Jaskynný cintorín) na wysokości 884 metrów n.p.m. Wreszcie docieramy do rozdroża w najniżej położonej części DJW na wysokości 804 metrów n.p.m. gdzie płynie krystalicznie czysta rzeczka Demänovka (najwyższym punktem na trasie jest Jaskiniowy Cmentarz – Jaskynný cintorín – na wysokości 884 metrów n.p.m.)

Źródła Demänovki znajdują się pod Krupową Halą (słow. Krúpova hola, nie mylić z polską Halą Krupową w paśmie Policy) i rzeczka sobie spokojnie płynie około 6 km zanim zniknie pod ziemią. Potem przemierza jaskinie przez jakieś 4 km i dopiero znowu wypływa na powierzchnię.

Ścieżka, którą idziemy jest wygodna, ale momentami wąska i bardzo śliska – koniecznie trzeba trzymać się stalowych poręczy!

Osoby poruszające się na wózkach nie będą w stanie odwiedzić tego miejsca.

W jaskini, co oczywiste, nie wolno jeść, pić ani palić. Ale bardzo ważne jest to, żeby trzymać się swojego przewodnika.

Juraj, który nie jest zbyt gadatliwy, ożywia się kilka razy, gdy na drodze spotykamy maruderów z grupy, która rozpoczęła zwiedzanie przed nami. Bardzo stanowczo ich popędza, żeby dołączyli do swoich, niektórym przypomina, że trzeba wykupić specjalne pozwolenie, żeby robić w jaskini zdjęcia (Ale uwaga! Od 1 stycznia 2026 roku fotografowanie i nagrywanie jest już wliczone w cenę każdego biletu).

Nad naszymi głowami pojawia się w pewnym momencie metalowa siatka.

– Żeby ludzie nie dotykali stalaktytów? – upewniam się. – Ano – potwierdza Juraj.

W jaskini słychać tylko chlupot cieknącej wody i stukot naszych butów, który echem odbija się po ścianach.

– A to nietoperz, podkowiec mały. Hibernuje – mówi Juraj i rzuca na niego snop światła latarką.

Spośród około 30 gatunków tych latających ssaków żyjących na Słowacji w DJW zaobserwowano choćby nocka wąsatego, nocka dużego i kilka innych. Wszystkie są pod ochroną.

W jaskini spotkać można także ciekawe i cenne z naukowego punktu widzenia drobne bezkręgowce: wirki, studniczki, dwuparce czy skoczogonki, które przystosowały się do życia w ciemnym i wilgotnym środowisku (względna wilgotność sięga 90 procent). Żyją i rozmnażają się w DJW, wymagają ścisłej ochrony.

Z kolei w czasie prac przy udostępnianiu jaskini natrafiono na bogate stanowisko z kośćmi niedźwiedzia jaskiniowego.

Woda – wszędobylski żywioł

Pytam Juraja, czy w rzece pojawiają się ryby.

– Niekiedy, hej! Ale nie zostają tu długo, bo pod ziemią nie mają co jeść, potrzebują dziennego światła – mówi przewodnik i podświetla latarką wodę w ciemnym zakamarku, w którym akurat pokazuje się nam ryba. Obok niej błyszczą się... drobne monety, które odwiedzający jaskinię wrzucili do wody.

1 RP

eprasa.pl 86b7bc0612

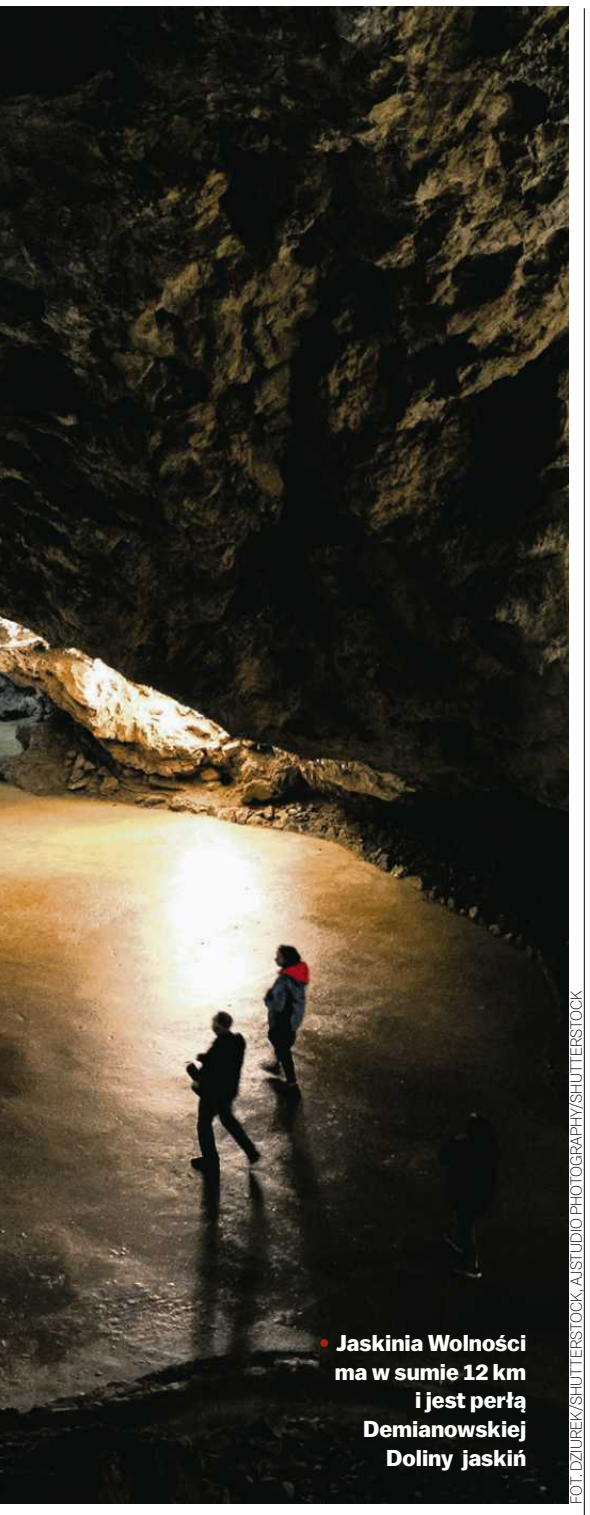

FOT. DZIUREK/SHUTTERSTOCK, AJSTUDIO PHOTOGRAPHY/SHUTTERSTOCK

Jaskinia Wolności ma w sumie 12 km i jest perłą Demianowskiej Doliny jaskiń

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.
W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.
Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

Podcast Poznajmy naszą Europę

NOWY ODCINEK: Alicja Dąbrowska rozmowa z Jánem Bošnovičiem, menedżerem turystyki i entuzjastą Słowacji, o urokach Słowacji i o tym, czy nie byłoby więcej prawdy w przysłowiu „Polak, Słowak (a nie Węgier!) – dwa bratanki"

Docieramy do komnaty, którą nazwano na cześć czeskiego kompozytora Leoša Janáčka. (Janáčkov dóm). Jej piękno zainspirowało go do napisania utworu symfonicznego „Wszędobylski". W tej metaforycznej nazwie chodzi o wszędzie obecny żywioł – wodę.

W komnacie znajduje się też żyrandol nazwany Gargulec – wisi nad symboliczną mogiłą kompozytora.

W górnej części komnaty Janáčka jest też Filar Gotycki, którego wiek szacuje się na 250-300 tysięcy lat.

Po kolei mijamy Kopę Liptowskiej Bryndzy i jeziorka Wężowe i Twarogowe (Hadie a Tvarogské pleso). Na trasie jest także siedmiometrowy stalagmit Katedra, najwyższy w jaskini.

Rokokowe lalki pod wierzbą

Skręcamy na Wielką Trasę, oglądamy wspaniałe jeziorko Złote (Zlaté jazero), kolejne stalagmity, stalaktyty i stalagnaty. Po drodze nogi rozjeżdżają mi się w szpagacie, co znów przypomina, żeby złapać się poręczy.

Docieramy do Różowej Sali (Ružová izba), bodaj najpiękniejszej części DJW, w której znajdują się tak zwane rokokowe lalki.

Kolejną komnatę nazwano na cześć Pavola Országha noszącego przydomek „Hviezdoslava" – wybitnego słowackiego poety, dramatopisarza i tłumacza XIX/XX w. (Hviezdoslavov dóm). Jej ozdobą Wierzba Płacząca – przepiękny wodospad naciekowy w kilku kolorach (czarnym, szarym, czerwonym, różowym, brązowym i białym – różnorodność zabarwienia zależy od pierwiastków chemicznych w wodzie).

Pokonujemy 68 stromych stopni prowadzących do Komory Janosika (czy też Juraja Jánošíka), słowackiego zbójnika, którego dobrze znamy w Polsce z serialu telewizyjnego z Markiem Perepeczką w roli tytułowej. To w pobliskim Liptowskim Mikułaszu w 1713 roku został skazany na śmierć przez powieszenie za lewe żebro. Pod sufitem komnaty podziwiać można wyjątkową firankę nacieków.

Kolejną przerwę Juraj robi przy Szmaragdowym Jeziorku (Smaragdové jazierko) – największym i najgłębszym na trasie: 2,5 – 3 m głębokości. Jeziorko to nigdy nie wysycha.

Dalej prowadzi 40-metrowy Korytarz Cierpienia – nazwany tak przez speleologów, którzy przez dwa lata drążyli go ręcznie, aby trasa zwiedzania mogła wieść wokół Czarciego Jeziorka i przez Komnatę Śnieżną – czyste, białe pomieszczenie, w którym ze stropu zwisają stalaktyty zaokrąglone na końcach – stąd fachowo nazywa się je „sferolitami".

Wychodzimy z jaskini. Pod naporem śniegu i okiści trzeszczy las. W płuca nabieram zimnego powietrza, światło odbite od śniegu oślepia oczy, które przez ostatnią godzinę penetrowały ciemne zakamarki.

Przez całą trasę wydusiłem z Juraja kilka zdań. Ale kiedy przeciskaliśmy się przez wąski Korytarz Cierpienia (to nie miejsce dla ludzi, którzy boją się zamkniętych przestrzeni), nagle odezwał się sam z siebie.

– Moim zdaniem to najładniejsze miejsce.

– Dlaczego? – dopytuję.

– Bo człowiek czuje się tu najbliżej jaskini.

Plan Jaskini Wolności

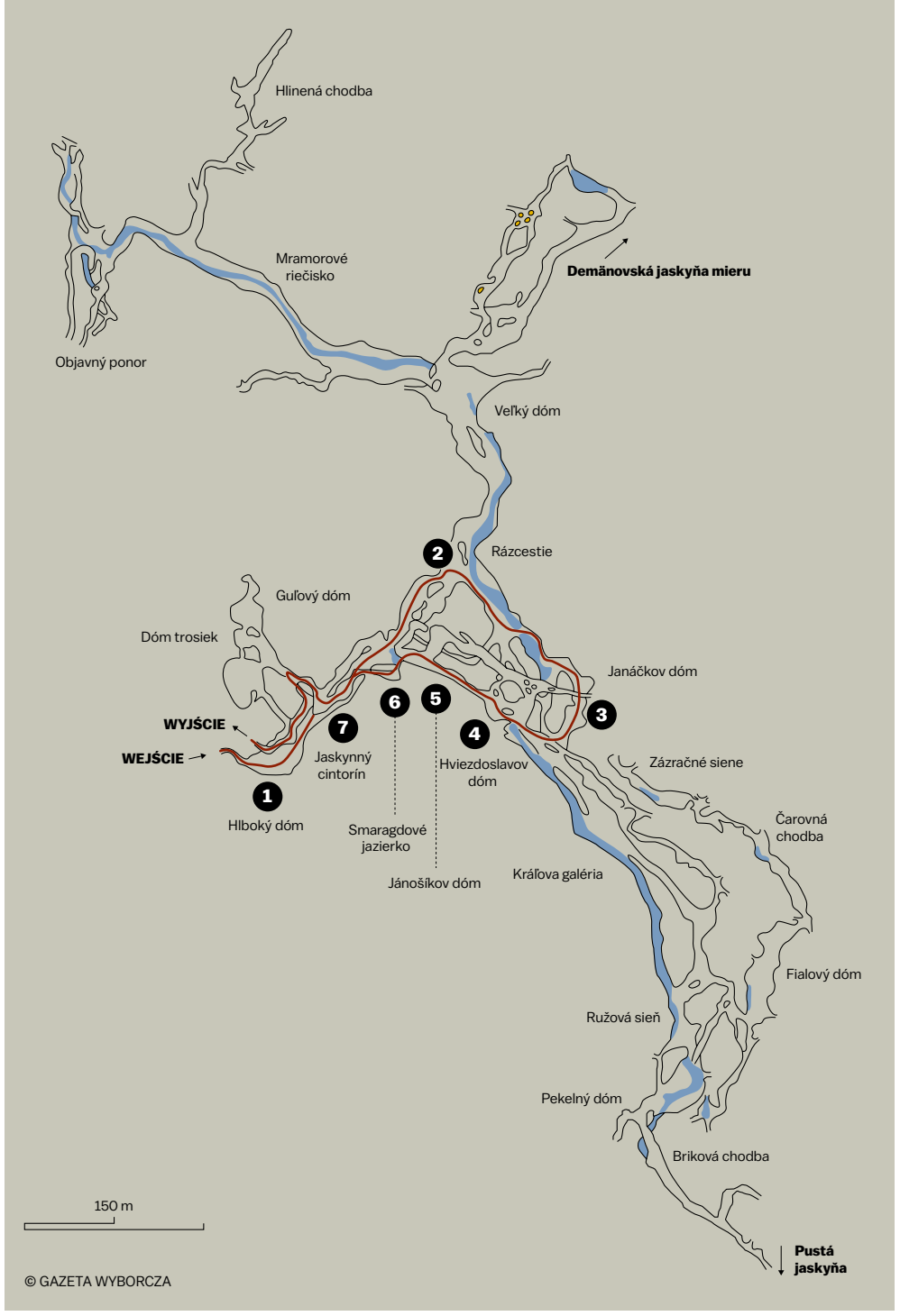

© GAZETA WYBORCZA

Jaskinia Wolności w Demianowskiej Dolinie jaskiń

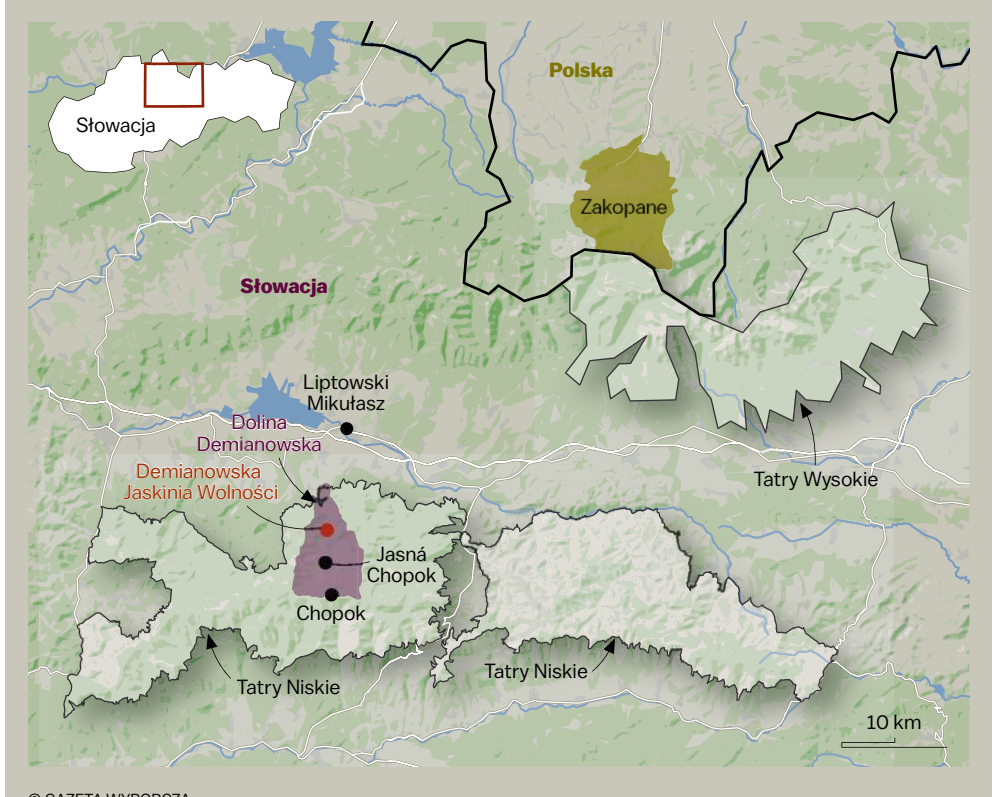

© GAZETA WYBORCZA

INFORMACJE PRAKTYCZNE

Demianowska Jaskinia Wolności jest zamknięta do zwiedzania **w poniedziałki**.
Standardowa trasa (1150 m), godziny: 9.30, 11.00, 12.30, 14.00; zwiedzanie 60 minut, cena 15 euro.
Wielka trasa (2150 m) tylko o godzinie 13.00; zwiedzanie trwa ok. 100 minut i kosztuje 24 euro.
Nie ma możliwości wcześniejszego zarezerwowania sobie biletów.

eprasa.pl 86b7bc0612

KULTURALNE OBYCZAJE

I Bóg stworzył Dolly

Autorka piosenek, wokalistka, aktorka, bizneswoman, filantropka, wzór do naśladowania – Dolly Parton sprawia, że świat jest odrobinę lepszym miejscem. Parton rocznik 1946 skończyła właśnie 80 lat. Oto osiem najważniejszych powodów, by ją podziwiać i kochać.

Jarek Szubrycht

Ma imponujący dorobek

1 Trudno się wszystkich doliczyć, bo oprócz dziesiątek albumów solowych wypadałoby uwzględnić współprace z innymi artystami i ścieżki dźwiękowe, a może i kompilacje. W sumie sprzedała ponad 100 milionów płyt, a odtworzenia w serwisach streamingowych idą w miliardy. Ma jedenaście nagród Grammy, trzy Emmy, nominacje do Oscarów i Złotych Globów i stosy innych nagród oraz medali. Wszystkie zasłużone.

Jest pionierką, dzięki której country przestało być męską grą

2 Bez jej wkładu trudno byłoby sobie wyobrazić późniejsze kariery takich gwiazd jak: Reba McEntire, Carrie Underwood czy Taylor Swift. Owszem, nie była pierwsza – tu wspomnieć trzeba o przecierających szlaki Cindy Walker i Kitty Wells. Nie była jedyna, bo jasno lśniły też gwiazdy nieco starszych koleżanek, czyli Loretty Lynn i Tammy Wynette (wszystkie trzy głosy można usłyszeć na ich wspólnej płycie „Honky Tonk Angels" z 1993 roku). Żadnej z wymienionych nie udało się jednak utrzymać na szczycie tak długo, żadna nie dotarła ze swoją muzyką poza uniwersum country, tymczasem Dolly...

Znalazła dla country nową publiczność

3 Po pierwsze, właśnie kobiecą, po drugie, wielkomiejską, po trzecie, dotarła ze swoimi piosenkami daleko poza granice USA, zjednując sobie oddanych fanów na całym globie. Dolly Parton sprawiła też, że w świecie country znalazło się miejsce na osoby ze społeczności LGBTQ+.

„Trafiają się kaznodzieje albo geje, trafiają się narkomani, pijacy i dziwacy/ Ale nie odrzuca się nikogo, kto jest częścią rodziny" – to z „Family". Niby nic, ale w 1991 r. w utworze country brzmiało jak rewolucja. Nieprzypadkowo właśnie Dolly nagrała „Travelin' Thru", piosenkę do filmu „Transamerica" (2005), jak sam tytuł wskazuje, oswajającego Amerykę z transpłciowością: „Bóg miał swoje powody, żeby mnie stworzyć". Inna sprawa, że Parton tworzy nie tylko w stylistyce country, jej zainteresowania sięgają od folkowych ballad przez rockowy czad po godzący wszystkie gusta pop.

Rola molestowanej przez szefa sekretarki w „Od dziewiątej do piątej" (1980) była jej bardzo udanym filmowym debiutem

FOT. 20TH CENTURY FOX / ALBUM/EAST NEWS

Tych nielicznych, których nie kupiła muzyką, przekonała na ekranie

4 W Polsce bardziej znane są „Stalowe magnolie", jednak ważniejszy był film „Od dziewiątej do piątej". Rola sekretarki, którą szef próbuje zaciągnąć do łóżka, przyniosła Parton dwie nominacje do Złotego Globu, ale nie tylko dla niej był to film przełomowy. Niby lekka komedia pomogła poważnej debacie o seksizmie w pracy i luce płacowej i choć powstała w 1980 r., nie jest tak nieaktualna, jak mogłoby się wydawać.

eprasa.pl 86b7bc0612

1 RP

FOT. JOHN RUSSELL/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

„What would Dolly do?", czyli „Co zrobiłaby Dolly?"

5 To tytuł dwóch książek – jedna jest usianą jej złotymi myślami biografią, druga powieścią o dziewczynie śpiewającej piosenki Parton. Obie mają podnosić na duchu i motywować. Podobnie jak piosenki o tym samym tytule – istnieją co najmniej cztery różne, wszystkie śpiewane przez dziewczyny, dla których Dolly jest inspiracją i drogowskazem. Gadżetów z takim napisem – plakatów, koszulek, kubków, notatników – nie sposób zliczyć. Jeśli nie wiesz, jak się zachować, bądź jak Dolly Parton.

Powyższa myśl mogłaby również być mottem jakiejś szkoły biznesu

6 Parton wyszła z biedy, czego wzruszającym artystycznym memento jest utwór „Coat of Many Colors" o wyśmiewanym przez rówieśników płaszczyku, który mama uszyła jej ze skrawków różnych materiałów.

Dziś majątek artystki wycenia się na ponad 500 milionów dolarów, z czego większość zarobiła na muzyce, niemało na produkcjach telewizyjnych, ale świetnie radzi sobie również w innych branżach. Jej inwestycje i licencje obejmują m.in.: park rozrywki Dollywood, hotel, park wodny, lokale gastronomiczne, wina, kosmetyki, biżuterię, ubrania, książki dla dużych i małych czytelników, a nawet akcesoria dla zwierząt. Na czerwiec artystka zapowiada otwarcie w Nashville muzeum o swoim życiu i twórczości: Dolly's Life of Many Colors Museum.

Na co Dolly wydaje dolary?

7 Znana jest z działalności charytatywnej, edukacyjnej i społecznej. Wspierała Czerwony Krzyż, organizacje opiekujące się chorymi na AIDS i klinikę onkologiczną, angażowała się w akcje ekologiczne, a pod szyldem Imagination Library (Biblioteka Wyobraźni) walczy z analfabetyzmem. Mogły na nią liczyć ofiary i huraganu, i pożarów, a nawet bielik amerykański, kiedy był zagrożony wyginięciem.

W 2020 r., kiedy wszyscy byliśmy w potrzebie, przeznaczyła milion dolarów na badania nad szczepionką chroniącą przed wirusem COVID-19.

Wyliczanki po angielsku kończą się zastrzeżeniem, że ostatni punkt na liście nie musi być najmniej istotny

8 Ten właściwie jest najważniejszy. Dolly Parton jest wielką artystką, charyzmatyczną wykonawczynią, ale przede wszystkim autorką piosenek. Stworzyła ich ponad 3 tysiące! Ale to jeszcze nic... Choć trudno to sobie wyobrazić, pewnego dnia, wiosną 1973 r., Dolly napisała zarówno „I Will Always Love You", jak i „Jolene". Za choćby jedną taką piosenkę w życiu większość artystów sprzedałaby duszę. Robiąc doskonały interes.

I jak tu się Dolly nie inspirować? ●

• Na koncercie, który był jednym z wydarzeń towarzyszących festiwalowi muzycznemu South by Southwest w Austin w Teksasie, 18.03. 2022 r.

FOT. JACK PLUNKETT/INVISION/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 86b7bc0612

KIEDY MĘŻCZYZNA SPUSZCZA WZROK

Odkryłem, że ci bulwersujący mnie konserwatywni Szwedzi mają też wiele problemów takich samych jak ja.

Z **HAMPUSEM LINDEREM,** REŻYSEREM I AUTOREM FILMU „WYZNANIA SZWEDZKIEGO MĘŻCZYZNY", ROZMAWIA **KATARZYNA TUBYLEWICZ**

Co łączy szwedzkiego feministę, który od rozwodu w ramach opieki naprzemiennej co drugi tydzień samodzielnie wychowuje dwójkę dzieci, ze Szwedami z konserwatywnej manosfery?

Hampus Linder, reżyser i bohater filmu „Wyznania szwedzkiego mężczyzny" („Confessions of a Swedish Man"), odkrył, że zaskakująco dużo. Miał zrobić krytyczny film o zjazdach dla „prawdziwych" mężczyzn w Jutlandii w Danii, ale okazało się, że aby wejść z kamerą na European Men's Gathering, musi sam wziąć udział we wszystkich warsztatach i zajęciach.

Robił to przez sześć lat, najpierw sam, potem z chorym na raka ojcem. Z organizatorem zjazdów Paulem Lloydem Robsonem się zaprzyjaźnił, choć ideologiczne dzieli ich wszystko. O mało nie spadł z krzesła, kiedy Paul poznał go ze swoją żoną i razem wytłumaczyli mu, że mają w domu taki deal, iż w sytuacjach konfliktowych ostatecznie o wszystkim decyduje Paul, bo to on jest głową rodziny, a dla żony akceptacja tego jest rodzajem duchowej praktyki.

A zatem jeszcze raz: co łączy Hampusa Lindera, dla którego równouprawnienie to jedna z najważniejszych wartości, z konserwatystą Paulem Lloydem Robsonem i uczestnikami jego zjazdów?

Brak bliskiej relacji z ojcem, problemy z rozpoznawaniem i wyrażaniem emocji, trudności z patrzeniem innym mężczyznom w oczy, nie wspominając już o przytuleniu się do nich. Podobnie jak oni ma też problemy z gniewem, choć mężczyźni na obozach próbują niczym wikingowie do wyrażania gniewu powrócić, a Hampus się gniewu strasznie wstydzi. Rozumie też, że jego złość jest zazwyczaj podszyta smutkiem, do którego jak wielu innych mężczyzn nie umie się przed sobą przyznać.

Mieszka w Malmö, ale spotykamy się w Sztokholmie, który wczesnym popołudniem jest o tej porze roku ciemny niczym szwedzkie lukrecjowe cukierki. Kiedy pijemy kawę, pokazuje mi zdjęcia ze spotkań z widzami, wszyscy chcą z nim rozmawiać o męskich kryzysach, polaryzacji i przekraczaniu samotności. Śmieję się, że zamienia się w narodowego psychoterapeutę, a on odpowiada, że to problematyczne, bo sam nie zna odpowiedzi na pytania, które zadaje jego film, na przykład to, czym jest dziś dobra męskość. Też szuka odpowiedzi.

KATARZYNA TUBYLEWICZ: Lewicowy, wrażliwy facet nauczył się od konserwatystów, jak kojące jest braterstwo?

HAMPUS LINDER: Po powrocie z pierwszego obozu dla mężczyzn relacjonowałem z zachwytem siostrze, jak siadaliśmy w kręgu i mówiliśmy, co czujemy. Mówiłem, że to przełom, że uświadomiłem sobie, ile mnie łączy z innymi mężczyznami, i dosłownie poczułem, jak walą się dzielące nas mury. „To brzmi jak kolacja z dziewczynami, na której byłam w zeszłym tygodniu", wzruszyła ramionami siostra, bo dla niej jak dla większości kobiet to normalka.

Tymczasem typowi heteroseksualni mężczyźni najczęściej otwierają się co najwyżej w relacji ze swoją partnerką. A jeśli związek się kończy, jak moje małżeństwo, które się rozpadło, kiedy dzieci były bardzo małe, zostają zupełnie sami.

Niby wszyscy jesteśmy zamknięci w naszych nuklearnych rodzinach i związkach, ale kobiety świetnie sobie radzą z rozmowami o uczuciach i relacjach ze swoimi przyjaciółkami. Nie wystarczy być mężczyzną o lewicowych poglądach, by to umieć.

Istnieje wielka różnica pomiędzy uważaniem, że mężczyzna powinien być w kontakcie z uczuciami, a życiem zgodnie z tą zasadą. Nauczyłem się od feministek – m.in robiąc film o Gudrun Schyman, twórczyni partii feministycznej Fi – że szwedzkie przysłowie „w samotności tkwi siła" nie jest mądre.

Ale potrzebowałem relacji z innymi mężczyznami, żeby pojawiła się w moim życiu przestrzeń, w której nie musiałem udawać, że jestem samowystarczalny i silny, i mogłem odsłonić swoje słabości.

To na pewno dałoby się też zrobić w grupie koedukacyjnej, ale jednocześnie o pewnych sprawach łatwiej jest gadać z facetami, którzy mają podobne doświadczenia. Na przykład: jak stać się zaangażowanym ojcem, mieć dobry kontakt z dziećmi.

Wielu z moich przyjaciół ma poczucie, że my, mężczyźni, startujemy z gorszej pozycji niż kobieta, która nosiła dziecko w brzuchu przez dziewięć miesięcy i karmi je piersią. Na początku bycia ojcem łatwo poczuć się wyłączonym i zapomnianym.

▲ **Kadr z filmu „Wyznania szwedzkiego mężczyzny". W środku w białym t-shircie stoi Hampus Linder – reżyser filmu i nasz rozmówca** FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ale zaraz, przecież ty odkryłeś rozmowy z mężczyznami na zjeździe antyfeministów, którzy uważają, że kobiety powinny wrócić do domów i to one mają się zajmować dziećmi.

– I jednocześnie wszyscy cierpieli z powodu niedobrej lub niewystarczająco silnej relacji z własnym ojcem. Było dla mnie bardzo prowokujące, że na zjeździe ponad stu mężczyzn dyskutuje bez udziału kobiet, jaką rolę mają one odgrywać w społeczeństwie, i jest to wizja rodem z lat 50. zeszłego wieku, bo mężczyźni ci uważają, że kobiety wpadają w depresję z powodu trudności łączenia kariery z wychowaniem dzieci.

Dodam, że jako ojciec wychowujący samotnie dzieci potwierdzam, że strasznie trudno jest jednocześnie stawiać na pracę i być obecnym rodzicem, człowiek się od tego rozpada w środku, ale to się tyczy w takim samym stopniu mężczyzn jak kobiet.

Jednak podczas warsztatów odkryłem, że ci bulwersujący mnie konserwatywni faceci mają też wiele problemów takich samych jak ja. To był dla mnie punkt zwrotny, który wywołał kryzys. Zastanawiałem się, czy jeśli pokażę w tych męskich spotkaniach coś dobrego, stanę się niechcący tubą dla mizoginizmu.

Wygląda na to, że tak się nie stało, powstał raczej film antypolaryzacyjny. Jest w nim nawet scena, w której mój główny antagonista Paul, lider zjazdów, mówi, że zaczyna rozumieć, że antyfeminizm to nie jest dobra droga.

eprasa.pl 86b7bc0612

Sam na tych zjazdach nauczyłem się tego, że kiedy spotykamy nowych ludzi, dobrze jest, gdy widzenia ich nie przesłania nam całkowicie jakaś ideologia, ani nasza, ani ich. Potrzebujemy feminizmu, bo potrzebujemy strukturalnych analiz władzy robionych z perspektywy płci, klasy czy grupy etnicznej, bez nich nie da się zrozumieć społecznych niesprawiedliwości.

Ale jednocześnie w spotkaniu z pojedynczym człowiekiem dobrze jest czasem zdjąć okulary. Co nie zmienia faktu, że wielokrotnie podczas rozmów z mężczyznami z manosfery mówiłem, że tradycyjna męskość, którą reklamują, nie jest kompatybilna z byciem dobrym rodzicem.

Nie mogę przecież powiedzieć dzieciom: „Z rozmowami o uczuciach i czułością poczekajcie na następny tydzień, kiedy będzie mama”.

No dobrze, to wytłumacz mi, o co chodzi z tym patrzeniem innym facetom w oczy. Dlaczego to takie trudne, że musieliście to aż ćwiczyć na warsztatach?
– Rozmawiałem niedawno ze szwedzką dziennikarką, która brała udział w kręgach kobiet. Powiedziała, że kiedy patrzy drugiej kobiecie w oczy, czuje, że może przed nią odsłonić swoją słabość. A wiesz, co robią mężczyźni, patrząc na innych mężczyzn na ulicy? Sprawdzają ich potencjał agresji, czasem podświadomie, ale to robią.

Kiedy spojrzenia obcych sobie mężczyzn spotykają się ze sobą, to bardzo często jest to konfrontacyjne, chodzi o ocenę potencjalnego zagrożenia. Spojrzeniem można też zasygnalizować „you don’t fuck with me”, elegancko mówiąc: „nie zadzieraj ze mną.

Najwyraźniej widać to w świecie przestępczym. Ktoś mi kiedyś opowiadał, że jeśli spotka się dwóch gangsterów i jeden popatrzy w ziemię zamiast w oczy drugiego, to jest stracony, zostanie zdominowany. Z kolei zbyt długie spojrzenie jest zaczepką, deklaracją przemocy. My, mężczyźni, mamy to ewidentnie w siebie wpisane.

Brzmi zwierzęco.
– Bo to jest w stu procentach zwierzęce. Na męskich warsztatach uczyliśmy się patrzeć sobie w oczy, synchronizując oddechy, tak żeby przestało w tym naszym wzrokowym kontakcie chodzić o dominację lub groźbę. I nawet jeśli, słuchając tego, odnosisz wrażenie, że mówię o agresywnych psychopatach, którzy muszą się uspokajać świadomym oddychaniem, to upieram się, że element braku zaufania pomiędzy mężczyznami ma wpływ na nasze relacje.

W jednym z wywiadów powiedziałeś, że patrząc na sprawę globalnie, mamy dziś wokół nas wielu wściekłych mężczyzn, takich jak Trump, Putin czy Xi Jinping. I że jeśli teza, iż stłumione emocje mężczyzn przeradzają się w gniew oraz agresję, jest prawdziwa, to świat byłby lepszy, gdyby mężczyźni potrafili przyznać się do własnej kruchości
– Naprawdę coś w tym jest. Sam mam świadomość, jak ogromną trudność sprawia mi wyrażanie smutku, najczęściej objawia się on jako złość. Podobnie jest ze strachem. Takie rzeczy widzi się w sobie wyraźnie, gdy człowiek zajmuje się małymi dziećmi.

Zdarzało mi się, że gdy moje dziecko podczas zabawy upadło, na przykład sturlało się z kanapy, po której skakało, choć mówiłem, żeby tego nie robiło, to moją pierwszą reakcją była złość. A chodziło przecież o mój strach czy poczucie winy.

Udało mi się to zmienić. Wprawdzie nadal mogę w pierwszej chwili poczuć impuls, żeby krzyknąć, ale już wiem, że kiedy moje dziecko płacze, muszę je przytulić i pocieszyć, potwierdzając w ten sposób, że widzę jego smutek i że ma do niego prawo.

Pozwolenie sobie na pokazanie własnej kruchości bardzo zmienia, dla mnie proces ten był podwójny, bo najpierw odsłoniłem miękki brzuch na męskich warsztatach, a następnie tę moją słabość oglądają widzowie filmu.

A najciekawsze jest to, że dopiero teraz, gdy odważyłem się być słaby i bezbronny, znalazłem w życiu szczęśliwą miłość!

Wygląda na to, że bez zgody na własną kruchość nie ma prawdziwej bliskości. Człowiek myśli: ajaj, odsłoniłem się, zaraz mnie zaatakują, a dzieje się coś dokładnie przeciwnego.

Ważną częścią filmu jest opowieść o twojej relacji z ojcem. Chorował na raka, gdy film powstawał. Prowadzicie długie rozmowy, w których dążysz do tego, by ojciec zrozumiał, jak bardzo cię raniło, że był w twoim dzieciństwie niedostatecznie obecny.
– Rodzice się rozstali, kiedy miałem trzy lata. To mama odeszła od ojca, co strasznie go zraniło, więc szybko związał się z inną kobietą, która urodziła mu kolejne dziecko. Zastąpił jedną rodzinę drugą. Z kolei mama urodziła mnie, gdy miała 17 lat, więc kiedy rozstała się z ojcem, potrzebowała czasu, żeby swoje życie jakoś zorganizować.

Przez rok mieszkałem więc z tatą i jego nową partnerką. Przywiązałem się wtedy do ojca, ale kiedy mama już mogła mnie wziąć do siebie, relacja z tatą się osłabiła, widywaliśmy się tylko co drugi weekend, był między nami dystans i bardzo mnie to bolało.

Nigdy się z nim w dzieciństwie nie kłóciłem, za to bardzo często kłóciłem się z mamą, która jest dziś producentką moich filmów, bo z nią po prostu czułem się bezpieczny. Tata był odległy. Ta chłodna relacja z nim mnie naznaczyła, a kiedy zachorował na raka, poczułem, że musimy o tym porozmawiać teraz, bo potem będzie za późno.

Tata nie mówił, że cię kocha. To typowe dla tego pokolenia, nie jesteś pierwszym szwedzkim czterdziestoparolatkiem, który mówi o braku czułych słów ze strony ojca.
– Dodam, że ojciec mojego ojca też nie był specjalnie wylewny ani obecny w jego życiu, choć mieszkali razem, ale tata nie uważa, że go to zraniło. Może jest mniej skupiony na grzebaniu się w przeszłości niż ja, a może w jego pokoleniu oczekiwania dzieci względem ojców były mniejsze.

W filmie powtarzam tacie do znudzenia, że nie mówił mi, że mnie kocha, i że był nieobecny. On się czuje tymi rozmowami dotknięty i zmęczony, ma często dość kamery, wycofuje się, ale potem wraca. W końcu jedzie ze mną na męski zjazd, choć to zupełnie nie jego bajka, i tam mówi mi przy licznych świadkach, że mnie kocha.

Kiedy teraz oglądam film, mam wrażenie, że to ja jestem marudą, a mój tata może nie mówi, że mnie kocha, ale chce brać udział w moim filmie, choć jest to dla niego trudne, i jest to dowód jego miłości. Jednocześnie myślę, że dla mnie kluczowe było po prostu, żeby potwierdził, że dostrzega i rozumie, że za nim tęskniłem, a jego nie było.

Dzieci, nawet dorosłe, w relacji z rodzicami potrzebują uznania i uszanowania swoich uczuć. Odkąd to zrozumiałem, inaczej rozmawiam z moim synem.

Opowiedz.
– Chodzi o najzwyklejsze sytuacje, na przykład kiedy znowu jego brudne ubrania leżą na podłodze, a syn jest zły, że proszę, żeby wrzucił je do prania. Odruchową reakcją jest się wściec. A można powiedzieć: „Wiem, że jesteś zmęczony, bo byłeś cały dzień w szkole. Ja też jestem zmęczony. I rozumiem, że cię wkurza, jak wiecznie od ciebie czegoś chcę, ale zanieś te ubrania do pralni”.

Podobnie jak mogę zrozumieć jego złość, kiedy on chce chipsy, a ja chcę, żeby zjadł obiad. Uczucia dzieci są prawdziwe, nawet jeśli z naszej dorosłej perspektywy mogą się wydawać bezsensowne. Chodzi o to, żeby ich nie lekceważyć, choć można się z nimi nie zgodzić. Nauczyłem się tego na kursach dla rodziców, ale mój film i rozmowy z ojcem też mi w tym pomogły.

Twój tata długo powtarzał, że miał z tobą mało kontaktu, bo taka była sytuacja, chciał się wytłumaczyć. A tobie nie chodziło o wyjaśnienia, tylko o uznanie, że miało prawo cię to boleć. Rozmawiamy z lekkością o uczuciach, a ty i tak powtarzasz, że często czujesz się od własnych uczuć odłączony i że twoje małżeństwo rozpadło się z tego powodu. No ale przecież akurat w Szwecji od lat 70. zeszłego wieku zabiega się o to, by mężczyźni stali się bardziej otwarci, równouprawnieni i czuli. I nadal jest z tym taki kłopot?
– Po pierwsze, mamy dziś konserwatywny backlash, a po drugie, ja urodziłem się pod koniec lat 70. i dla mojego pokolenia chodzenie do szkoły nadal przypominało przebywanie w strefie wojny, przemoc rówieśnicza była wszechobecna.

My, chłopcy, uczyliśmy się więc, jak nie okazywać słabości, jak się zamykać, jak wyłączać emocje. Czytałem ostatnio trochę Carla Junga i jest dla mnie ewidentne, że we współczesnych społeczeństwach zbyt rzadko do głosu dochodzi anima, kobieca część męskiej psychiki. To widać w wymiarze prywatnym, w męskim braku kontaktu z emocjami i w wymiarze społecznym, na przykład w niedocenianiu prac opiekuńczych.

Mój kolega dokumentalista Nils Petter Löfstedt zrobił piękny film o ludziach opiekujących się innymi. Jest tam scena, w której mężczyzna pracujący jako przedszkolanek układa do snu dwadzieścioro dzieci. Według mnie ululać do snu jedno dziecko to już jest trudne zadanie, a on radzi sobie genialnie z całą grupą. I dostaje za to beznadziejnie niską pensję.

Kiedy twoja była żona była pierwszy raz w ciąży, miałeś nadzieję, że urodzi się córka, bo wiedziałeś, czego córkę nauczyć. Na przykład, żeby była silna i broniła swoich granic. Syn wprawił cię w zakłopotanie.
– Dużo mówi się o kryzysie męskości, a samo słowo „kryzys”, wywodzące się z greckiego, oznacza zmianę, często radykalną. I wydaje mi się oczywiste, że męskość przede wszystkim znajduje się dziś w procesie zmiany.

Łatwiej jest powiedzieć, czym jest męskość toksyczna i niedobra, a dużo trudniej – czym jest ta dobra. Zwłaszcza jeśli ktoś tak jak ja uważa, że wszyscy ludzie mają w sobie zarówno cechy męskie, jak i żeńskie.

Kiedy myślę o dobrej męskości, to przychodzi mi do głowy siła, ale bez próby dominowania, troskliwość, a jednocześnie umiejętność stawiania granic, zdolność do przejmowania inicjatywy i odpowiedzialność, jednak bez ograniczania innych czy zgrywania twardziela.

Wyobraź sobie, że ciekawej odpowiedzi udzielił mi ChatGPT: „Nie musisz wybierać pomiędzy byciem miękkim a męskim. Możesz mieć ciepłe, miękkie serce i sztywny kręgosłup”. Brzmi nieźle, prawda? Oczywiście takie cechy może mieć też świetna kobieta.

Jako feministe poczuwasz się do kolektywnego poczucia winy na przykład za męską agresję względem kobiet. Co to tak naprawdę znaczy? W praktyce. I czy tę męską agresję trzeba dziś całkowicie zlikwidować?
– Całe życie ćwiczyłem sztuki walki, brałem udział w zawodach judo i thai-boksu. Piłka nożna to też jest rodzaj rytualnej wojny, taka agresja znajdująca się pod kontrolą nie ma w sobie nic złego. To duża energia.

Ale nie sposób nie czuć wstydu, mając świadomość, że mężczyźni znacznie częściej niż kobiety odwołują się do fizycznej agresji i że nasza fizyczna siła powoduje, że można się nas bać.

Kiedy kłóciliśmy się z żoną, nigdy nie poczułem się zagrożony jej złością. Kobieta, na którą wrzeszczy mężczyzna, ma natomiast prawo się bać i musimy zdawać sobie sprawę, że mamy w sobie potencjał przemocy, bo po prostu jesteśmy więksi i silniejsi fizycznie.

Kiedy wracam późną nocą z pubu, idę pustą ulica i przede mną idzie kobieta, to wiem, że ona może się mnie bać. I nie wystarczy, że pomyślę: ale przecież nigdy nic żadnej kobiecie nie zrobiłem, co mnie obchodzi jej strach.

Lepiej będzie, jeśli trochę zwolnię albo przejdę na drugą stronę, dla mnie to drobiazg, a ona przestanie czuć niepokój.

Powiedziałeś, że otwarcie się emocjonalne i zaleczenie rany w relacji z tatą otworzyło ci drogę do nowej miłości. Powiesz o tym dwa słowa? Pasuje to do rozmowy o męskości w kryzysie, bo temu kryzysowi towarzyszy też dziś kryzys miłości romantycznej.
– Nie wiem, czy to te długie rozmowy z planu filmowego tak na mnie wpłynęły, ale kiedy się spotykaliśmy z moją partnerką, przez dwa i pół miesiąca tylko chodziliśmy na randki, gadaliśmy, a czasem razem milczeliśmy.

Jestem Szwedem, wcześniej było dla mnie normalne, że na drugiej randce idzie się do łóżka. Fakt, że tym razem było inaczej, to była jakaś totalna rewolucja, zwłaszcza że moja dziewczyna jest niesamowicie piękna.

Powtórzę: wyszło mi na to, że naprawdę jest tak, iż otwarcie się na własną kruchość i słabość prowadzi do miłości. ●

Nie mogę powiedzieć córce i synowi: „Z rozmowami o uczuciach i czułością poczekajcie na następny tydzień, kiedy będzie z wami mama”

Kiedy ojciec zachorował na raka, poczułem, że musimy o przeszłości porozmawiać teraz, bo potem będzie za późno

Film „**Wyznania szwedzkiego mężczyzny**” („Confessions of a Swedish Man”) nie jest obecnie dostępny od obejrzenia na żadnej platformie streamingowej.

1 RP

eprasa.pl 86b7bc0612

OBIE BYŁYŚMY NA ZAKR

Z AKTORKĄ **JESSIE BUCKLEY**
I REŻYSERKĄ **CHLOÉ ZHAO**
ROZMAWIA **ANNA TATARSKA**

– To nie było spotkanie reżyserki i aktorki, ale relacja dwóch osób, które rozmawiają o życiu całą noc, trzymając się za ręce – mówią Chloé Zhao i Jessie Buckley. Ich film „Hamnet" jest laureatem Złotych Globów i oscarowym faworytem.

Siedzicie obok siebie przytulone. Widać, że łączy was coś więcej niż tylko wspólne zawodowe doświadczenie, jakiś rodzaj bliskości. Kiedy pojawiła się myśl, że będziecie w stanie razem stworzyć coś wyjątkowego?

JESSIE: Gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy, obie byłyśmy w pewnym sensie na zakręcie, świeżo po doświadczeniu straty. Pierwsza rozmowa odbyła się w Nowym Jorku, gdy byłam w zdjęciach do „Panny młodej!" w reżyserii Maggie Gyllenhaal.

Nie znałyśmy się wtedy jeszcze dobrze, ale już wiedziałyśmy, że zrobimy razem film. Około północy wysłałam do Chloé SMS-a: „Myślę o tobie, mam nadzieję, że wszystko u ciebie dobrze". Odpisała: „Czy mogę wpaść?". Kiedy tylko otworzyłam drzwi, padłyśmy sobie w ramiona i stałyśmy tak przytulone w milczeniu przez kilka minut.

CHLOÉ: Bo u mnie nie było wtedy w porządku. Nie czułam się dobrze.

JESSIE: W tamtej chwili rozpuściła się jakakolwiek hierarchia w tym układzie. To nie było spotkanie reżyserki i aktorki, ale relacja dwóch osób, które potrafią przez całą noc rozmawiać o życiu, trzymając się mocno za ręce. Z tamtego miejsca ruszyłyśmy we wspólną podróż filmową, wiedząc, że będziemy w stanie się wspierać i być dla siebie obecne.

Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się, żeby reżyser filmu, nad którym miałam pracować, przyszedł do mnie o pierwszej w nocy, prosząc o pomoc. To było piękne i tego nie zapomnę.

CHLOÉ: Żeby było jasne, takich nocy potem było jeszcze wiele!

JESSIE: Mam teraz małe dziecko, ale Chloe jest zawsze mile widziana, o każdej porze.

„Hamneta" można by uznać za herstorię. To opowieść o Agnes, zapomnianej przez historię kobiecie stojącej u boku, a może raczej idącej ramię w ramię z mężczyzną – Szekspirem, o którym uczymy się od pokoleń w szkole.

CHLOÉ: Misją Maggie O'Farrell, autorki książki, na której oparty jest scenariusz, było opowiedzenie historii z perspektywy Agnes. Pamiętajmy, że nie tylko Agnes, ale także Hamnet (tytułowy, utracony syn bohaterów) zagubił się gdzieś w historii. Spotkała go kara za jego czułość i wrażliwość. To coś, co często spotyka kobiety – bycie pominiętym.

Wydaje mi się, że to pokłosie tendencji do odczłowieczenia geniuszy, zakładania, że takie osoby nie przynależą do realnego świata, a wszystko, co jest ich udziałem, jest darem ducha. A to nieprawda! Oni normalnie żyją i z życia czerpią inspiracje.

Maggie, ale też my wszyscy, bardzo mocno utożsamiamy się z misją demistyfikacji tej części dziedzictwa Szekspira.

A sam Szekspir jest dla was ważny czy to raczej „klasyk", którego trzeba znać, ale nic ponad to?

JESSIE: Kiedy byłam w szkole, Szekspir mnie przerażał i onieśmielał. Ale gdy przeprowadziłam się do Londynu, odkryłam go na nowo, już bez stresu i wstydu. Wtedy zmie-

eprasa.pl 86b7bc0612

• Na planie „Hamneta". Reżyserka Chloe Zhao i grający główne role Paul Mescal (William Szekspir) i Jessie Buckley (jego żona Agnes)

FOT. AGATA GRZYBOWSKA / © 2025 FOCUS FEATURES LLC

ĘCIE

nił moje życie. To wspaniała myśl, że mogą być tylko ja, moje aktorstwo i słowa, bez żadnej przesadnej nadbudowy, bez muzyki, bez fajerwerków, że to wystarczy, żeby pokazać emocje...

To Szekspir pozwolił mi stać się aktorką.

Wydawałoby się, że o Szekspirze wiemy wszystko, ale wy w swoim filmie pokazujecie jego świat w dużym stopniu nieznany. Jakie wiązały się z tym wyzwania?
JESSIE: Żadnych. Przeciwnie: same atuty. Taka sytuacja pozwalała na spotkanie się z bohaterami jako ludźmi, a nie faktami historycznymi. A nas interesowało ich człowieczeństwo, nie lekcja historii. Oczywiście inne podejście mieli specjaliści od kostiumów czy scenografii. Tu trzeba było wziąć pod uwagę, jak bardzo życie, wygląd i przestrzeń naszych bohaterów ówczesne praktyki: częste rozpalanie ognia, gotowanie na nim, używanie moździerza... Oni byli fizycznie o wiele bardziej zaangażowani w swoje życia niż my teraz.

CHLOÉ: Moim zadaniem jako reżyserki jest sprawić, by aktorzy nie myśleli o takich rzeczach. Współpracowników wybierałam nie tylko na podstawie talentu, ale też umiejętności zaprzęgnięcia faktów dla naszych potrzeb, tak by wydobyć poezję tej opowieści.

Na przykład Małgosia Turzańska, nasza kostiumografka, była doskonale przygotowana w zakresie historii mody, znała wszystkie kształty, materiały. Mogła skupić się na wydobywaniu prawdy o emocjach bohaterów.

Stroje, które nosi Jessie czy Paul Mescal w filmie, nie są zatem idealnym odwzorowaniem kostiumów z epoki, tak samo ich fryzury. Ale przecież wizerunki, jakimi dysponujemy, często powstawały po śmierci bohaterów, są więc pewnego rodzaju fantazją.

W „Hamnecie" ważna jest poezja. Czy w waszym życiu również jest dla niej miejsce?
JESSIE: Mój tata jest menedżerem w barze, ale zawsze był poetą. Poezja była jego sposobem na wyrażenie tego, czego nie był w stanie powiedzieć wprost.

Ja sięgam po poezję w różnych momentach i różni poeci do mnie wracają. Teraz mam obsesję na punkcie Davida Whyte'a (anglo-irlandzki twórca, jego „The Heart Aroused: Poetry and the Preservation of the Soul in Corporate America" (1994) znalazła się na szczycie list bestsellerów w USA). Sposób, w jaki operuje językiem, jak wykorzystuje pejzaż, sprawia, że staję się bardziej świadoma języka i zakochuję się w nim na nowo.

CHLOÉ: Poezja to język proroków. Prorok nie obwieszcza prawd zbudowanych z faktów, lecz mówi alegoriami. Bo Logos nie jest w stanie uchwycić Tajemnicy – Logos to coś, co znamy i co studiujemy, na czym zbudowana jest nasza cywilizacja. Poezja to druga brakująca połowa. To przetrwanie.

Wasz film to wyjątkowy portret żałoby. Jak chciałyście ją pokazać?
CHLOÉ: Żałoba Agnes ma w sobie coś niemal antycznego, to krzyk setek matek, ojców, osób, które straciły kogoś ukochanego.

Ale chcę podkreślić, że nie zaczynałam tego projektu z misją opowiedzenia o żałobie. Chciałam powiedzieć o miłości, o człowieczeństwie, o tym, jak trudno i odważnie jest żyć pełną piersią, wiedząc, że jesteśmy śmiertelni.

JESSIE: Utrata dziecka jest niewyobrażalna. Dlatego na początku doświadczenia z „Hamnetem" powiedziałam sobie: „Gdziekolwiek ten materiał mnie zaprowadzi, tam pójdę i nie będę tego racjonalizować".

Kiedy poczułaś, że rozumiesz Agnes?
JESSIE: To były sceny w korzeniach drzewa. Ta przestrzeń, w której Agnes chowa się, zwijając w pozycję embrionalną, wiele o niej mówi. Chciałam tam iść od razu, pierwszego dnia na planie. Producenci próbowali mnie od tego odwieźć, tłumacząc, że miejsce nie jest jeszcze odpowiednio zabezpieczone. Nie udało im się, za chwilę byłam na miejscu wtulona w konary. Materia świata rozpękła się na pół, nie byłam w stanie przestać płakać. Kapitał, który dał mi tamten moment, pielęgnuję do dziś.

W filmie Szekspir grany przez Paula Mescala sięga po sztukę, by przepracować traumę. To schemat, który jako twórczynie znacie?
JESSIE: Wydaje mi, że to konstytutywna część aktorskiej podróży. Na zdjęcia do filmu przyszłam niemal prosto z planu „Panny młodej!", miałam raptem dwa tygodnie przerwy. Emocjonalnie byłam w zupełnie innym miejscu, ale to był właśnie idealny moment do wykonania skoku w świat „Hamneta".

Nie chcę używać sztuki jako terapii, ale chcę przez nią stawać się bardziej ludzka.

Jessie, jesteś aktywna zawodowo blisko piętnaście lat, masz na koncie filmy i seriale, które odnosiły duże sukcesy. Myślę tu o „Tabu", „Czarnobylu", „Córce", „MEN" czy „Wrednych Liścikach". Jednak żadna z tamtych ról nie wiązała się z tak dużym zainteresowaniem jak teraz. Jak się w tym wszystkim czujesz jako osoba, która słynie z dbałości o prywatność?
JESSIE: To dla mnie bardzo niezręczne. Pomiędzy kolejnymi planami i promocjami filmów prowadzę zwyczajne życie. Jem na śniadanie tosty, gotuję obiady. Z pasją, choć nieudolnie, próbuję dbać o ogród. Lubię ogniska, książki. Nie chcę udawać kogoś, kim nie jestem.

Nie jestem gwiazdą, nie jestem sławna, jestem opowiadaczką historii.

Po nakręceniu filmu bardziej doceniacie współczesność, czy wręcz przeciwnie?
CHLOÉ: Zawsze bardzo bałam się śmierci. Ten film jest dla mnie końcem przejściowego etapu, końcem głębokiego kryzysu wieku średniego. Teraz boję się trochę mniej.

JESSIE: Ja czuję, że fantastycznie bym sobie w tamtych czasach poradziła. Mój dom pochodzi z szesnastego wieku i wygląda niemal jak dom bohaterów.

Chloé, ten film jest niezwykle ciepło przyjmowany. Może dlatego, że ma w sobie tę prawdę.
CHLOÉ: Staraliśmy się stworzyć kanał, przez który można mówić o tym, co dla nas ważne.

Pragniemy, by coś przypominało nam, że wciąż potrafimy być razem. Nasza potrzeba jedności jest dziś ogromna, mówię nie tylko o zbliżeniu z ludźmi, ale też z naturą. Tak, obecna kondycja świata jest sprzymierzeńcem „Hamneta".

Po kilku miesiącach spotkań z publicznością widzę, że nasze przesłanie jest czytelne. ●

Jessie Buckley

• Irlandzka aktorka i piosenkarka, rocznik 1989. Absolwentka Royal Irish Academy of Music. Karierę rozpoczęła w 2008 r. jako finalistka programu BBC "I'd Do Anything". Grała m.in. w serialach „Tabu" (2017), „Czarnobyl" (2019) i w filmach „Może pora z tym skończyć" (2020), „Córka" (2021, nominacja do Oscara), „Men" (2022). Po Złotym Globie za rolę w „Hamnecie" ma duże szanse na aktorskieg Oscara.

Chloé Zhao

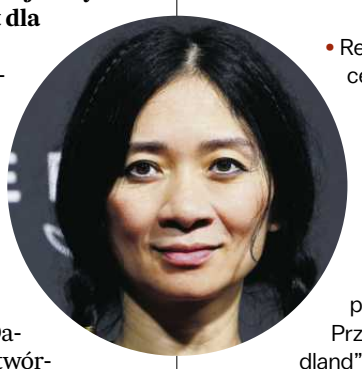

• Reżyserka, scenarzystka i producentka. Jedna z najważniejszych postaci współczesnego kina autorskiego. Rocznik 1982. Urodziła się i wychowała w Pekinie. W USA studiowała politologię i reżyserię. Debiutowała filmem „Songs My Brothers Taught Me" (2015), potem był „The Rider" (2017). Przełomem w karierze był „Nomadland" (2020), który dostał Złotego Lwa w Wenecji, Złoty Glob i trzy Oscary. Spróbowała sił w kinie superbohaterskim Marvela kręcąc „Eternals" (2021). Nagrodzony) Złotym Globem „Hamnet" to jej najnowszy film.

FOT. REUTERS/MARIO ANZUONI (2)

„Hamnet" pokazuje, jak żałoba po utracie jedynego syna stała się tworzywem dla Williama Szekspira. ALE to także HERSTORIA: odsłania zapomnianą żonę wielkiego dramaturga, oddaje głos tej cierpiącej matce i pokazuje kryzys związku wystawionego na ciężka próbę

„Hamnet", dramat historyczny, Wlk. Bryt. 2025. reżyseria: Chloé Zhao; scenariusz: Chloé Zhao i Maggie O'Farrell (autorka książki „Hamnet"); zdjęcia: Łukasz Żal; muzyka: Max Richter. W polskich kinach od piątku 23 stycznia.

• Gala Złotych Globów odbyła 11 stycznia br. w hotelu Beverly Hilton w Beverly Hills. „Hamneta" wybrano najlepszym filmem dramatycznym, a Jessie Buckley – najlepszą aktorką dramatyczną. Na zdj. ekipa filmu (od lewej): Joe Alwyn, Noah Jupe, reżyserka Chloe Zhao, Jessie Buckley, Paul Mescal, and Jacobi Jupe FOT. REUTERS/MARIO ANZUONI

eprasa.pl 86b7bc0612

Sasin szczuje en passant

Powtarzanie przez PiS i przez całą polską prawicę (ot tak, en passant), że Donald Tusk jest złem oczywistym, przypomina partyjną metodę unieszkodliwiania w PRL dwugłowego stwora, który nazywał się „Kuroń i Michnik”.

Jarosław Mikołajewski

Felieton z cyklu: Za pięć trzynasta

Włączam rano telewizję, a tam, w mojej ulubionej stacji, do której nie wiem po co został zaproszony – Jacek Sasin. Uśmiecha się i rzuca ot tak, en passant, że najważniejszą rzeczą jest obalić Donalda Tuska, który według polityka PiS jest najgorszym premierem w historii i na świecie. A wspomina o tym ot tak, en passant, jak gdyby musiało to być oczywiste dla wszystkich.

Wspominam o Jacku Sasinie, jednym z najbardziej zasłużonych dla zepsucia klimatu, ale metodą en passant w kontekście najlepszego jednak premiera i polityka demokratycznej Polski posługuje się wielu ludzi umoczonych w minione oby bezpowrotnie rządy. Jak gdyby umówili się, że nie będą dzielili się wątpliwościami, refleksją, tylko ich brakiem. Jak gdyby chcieli zarazić nas oczywistością swojej niechęci czy nienawiści.

Wszyscy, tylko nie oni

Powtarzanie przez PiS i przez całą polską prawicę (ot tak, en passant), że Donald Tusk jest złem oczywistym, przypomina partyjną metodę unieszkodliwiania w PRL dwugłowego stwora, który nazywał się „Kuroń i Michnik”.

„Możemy dopuścić do rozmów – mówiono w przypływie udawanego reformizmu – całą opozycję, lecz przecież nie kogoś takiego jak Kuroń i Michnik”... „Niektórym manifestantom może nawet leży na sercu dobro kraju, lecz przecież nie komuś takiemu jak Michnik i Kuroń...”

Nie cytuję dosłownie, podobnie jak nie dosłownie cytowałem Sasina, tylko próbuję oddać PZPR-owską retorykę, która sprawiała, że nawet ci, którzy podziwiali Jacka Kuronia i Adama Michnika za bohaterstwo i mądrość, czuli się z punktu onieśmieleni do obrony czołowych opozycjonistów w imię takiej oto logiki, że skoro ich negatywność dla władzy jest oczywista aż tak, że dyskredytuje ich en passant, jak mówi się o brzydkiej pogodzie, widocznie to my o czymś nie wiemy, widocznie istnieje jakaś bezdyskusyjność ich zła.

Taka metoda – nadać szczuciu pozór prawdy oczywistej i obiektywnej i patrzeć jak powtarzają tę „prawdę” media i naród.

Kościół w sercu MIchnika

W przypadku Adama Michnika ta technika przetrwała historyczny przełom na innym jeszcze gruncie, na którym Redaktor poniósł zasługi, gdzie w refleksyjnej społeczności należałyby mu się wdzięczność i uznanie: Kościół. Znam kilka zaledwie osób, którym Kościół Katolicki leży na sercu w równym stopniu co Adamowi. Które jak on uważają, że jest instytucją niezbędną i twórczą, a ze zdaniem biskupów należy się liczyć nawet wtedy, gdy się je krytykuje.

Powtarzanie przez PiS i całą polską prawicę, że Tusk jest złem oczywistym, przypomina partyjną metodę unieszkodliwiania w PRL stwora „Kuroń i Michnik”

Tymczasem Kościół (nie cały, tylko w swojej hałaśliwej większości) ustawił sobie celownik na niego i nie ma rady: gdyby spytać ludzi wychodzących z mszy świętej kto jest największym wrogiem Kościoła, część z nich powtórzyłaby pewnie, że Michnik. I Tusk, ma się rozumieć. Bo próbuje rozliczyć księdza przedsiębiorcę. Próżno dyskutować. Polak katolik wie swoje, i już.

No, jak Nie, jak TAK!

W tej chwili chłopca do bicia i diabła wcielonego, metodą en passant, robi się z Tuska. Można rozmawiać z Braunem, ale nie z Tuskiem. Każdy może być polskim premierem, byle nie Tusk. Najgorszym premierem – Tusk. Największym szkodnikiem – Tusk. I tak dalej i dalej, a w związku z tym, że intelektualiści liberalni i lewicowi boją się podejrzeń o lizusostwo wobec władzy, i unikają deklaracji pozytywnych uczuć, Donald Tusk (powtarzam en passant: najlepszy premier w historii, który ocalił nas wszystkich przed cywilną śmiercią, przed szkodnictwem PiS i ziobrystów) pozostaje bez naszej obrony.

Joanna Szczepkowska należy tu do wyjątków. Bo kiedy zdarza się, że w naszym towarzystwie ktoś czasem ośmieli się tam powiedzieć (ot tak, en passant), że najgorszy na świecie jest Tusk, że tylko nie Tusk, że od Tuska bolą go zęby, najczęściej spuszczamy uszy po sobie.

Tymczasem właśnie teraz powinniśmy sprzeciwić się i wykrzyczeć z otwartą przyłbicą naszą oczywistość – właśnie że tak! Właśnie Tusk! ●

Kraj/34416868

1 RP

eprasa.pl 86b7bc0612

ADAM MICHNIK POLECA

JUŻ RAZ SPRZEDALIŚMY UKRAIŃCÓW ROSJI. WYSTARCZY

Trudno chyba o historię bardziej zakłamaną niż polsko-ukraińska. Mamy tu wiele do przepracowania. Idźmy śladem Stanisława Stempowskiego

• **Artyleria polska w czasie wojny polsko-ukraińskiej o przynależność Galicji Wschodniej, Lwów, 1919 r.**
FOT. ZBIORY K. CHOJNACKIEGO/ EAST NEWS

Jarosław Kurski

Od tych Stempowskich, od tych „znawców"/ milszy nam sąd warszawskich krawców,/ ślusarzy, zdunów, prostych bab.

I oni słowa nasze pochwycą,/ nie recenzenci idiotyczni;/ w Polsce pachnieć będzie pszenicą,/ nie intelektem rabinicznym. (...)

Na tych, co biorą wody w usta,/ na czytelników wuja Prousta (...)/ ześlij, zepchnij, Aniele Boży,/ Noc Długich Noży.

Konstanty Ildefons Gałczyński
„Polska wybuchła w roku 1937"
(„Prosto z mostu", 21 lutego 1937)

W czasach gdy nasila się napędzana przez Rosję antyukraińska histeria, gdy prawica triumfalnie ogłasza koniec Giedroyciowej koncepcji ULB (Ukraina, Litwa, Białoruś), gdy w sieci wylewa się antyukraiński bluzg, gdy prezydent Nawrocki domaga się od Zełenskiego wielokrotnych podziękowań za naszą gościnność i szczodrość (niech się ukorzy, bo czas naiwnej pomocy właśnie się kończy), a więc gdy wygolony na karku i napakowany w torsie Nawrocki stoi pod makabrycznym pomnikiem Pityńskiego w Domostawie na Podkarpaciu i po wielekroć jątrzy i jątrzy rany Wołynia, i domaga się kolejnych ekshumacji w kraju, który toczy właśnie wojnę o przetrwanie, chce się zawołać: gdzie jesteś inna, dobra Polska? Gdzie jesteście inni, dobrzy Polacy?

Byli tacy, są i nadal będą, choć zawsze jakoś nie dość, zawsze jakoś za mało, chciałoby się więcej wśród nas Polaków Prometeuszy.

•

Kiedyś u serdecznego przyjaciela w letnim domu na Mazurach, który to dom należał jeszcze do jego rodziców, trafiłem na niewielką biblioteczkę, w której jak na starej gałęzi przysiadł biały kruk: „Pamiętniki" Stanisława Stempowskiego wydane przez Ossolineum w największych mrokach stalinowskiej nocy, bo w 1953 roku. Co intrygujące, poprzedzone były obszernym wstępem Marii Dąbrowskiej.

Wspomnienia pisane były językiem wolnego człowieka, który opisywał młodzieńcze lata spędzone w rodzinnym majątku na Podolu, szkolne bunty w Kamieńcu Podolskim, studia w zrewoltowanym Dorpacie, zachłyśnięcie się ideami społecznej sprawiedliwości i niepodległości, wreszcie polityczne zaangażowanie, rewolucję 1905 r., socjalizm, wolnomularstwo, prześladowania, areszty i zsyłki. Zachwyciły i jakże wiele objaśniały spostrzeżenia Stempowskiego dotyczące stosunków z ukraińskim włościaństwem z czasów, gdy prowadził majątek Winikowce.

Słowem, mnogość wątków już opisanych przez krytyków i literaturoznawców. Na potrzeby tej recenzji z „Pamiętników" wybiorę jeden, dziś najważniejszy i najbardziej aktualny wątek: Wolna Ukraina.

•

Nie ma lepszego i bardziej symbolicznego momentu niż ten na przywołanie Prometeusza. Pięknego człowieka Stanisława Stempowskiego, socjalisty, o paradoksie!, właściciela ziemskiego, przyjaciela Ukraińców (mówił, że nosi w sobie podwójną tożsamość, polską i ukraińską), z woli Józefa Piłsudskiego ministra w rządzie Ukraińskiej Republiki Ludowej, antagonisty Polski endeckiej, erudyty i masona.

Właśnie ukazały się wszystkie, podkreślam – wszystkie! – trzy tomy jego „Pamiętników", owoc kilkuletniego projektu badawczego Instytutu Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, pracy nad scaleniem całości „Pamiętników" przechowywanych w archiwach BUW-u, Maisons-Laffitte, Berna, Rapperswilu. Prace edytorskie ocaliły ich całość. Współpraca z Wydawnictwem Więź i wsparcie Fundacji Lanckorońskich pozwoliło na tę imponującą edycję.

W oparciu o tę scaloną całość przygotowana została przez młodego historyka ukraińskiego Maksyma Potapenkę ukraińska edycja „Pamiętników". Wydanie jest planowane na czerwiec 2026 r., książkę wyda kijowska oficyna Duch i Litera przy wsparciu Instytutu Polonika. Obecnie wszystko zależy od dostaw prądu do drukarni.

•

Stempowski pisał pamiętniki u zmierzchu życia w Warszawie podczas okupacji hitlerowskiej. Była to zapewne próba ucieczki od grozy codzienności. Rodzaj umysłowej teleportacji starego, wrażliwego człowieka, który nie może już czynnie włączyć się w walkę, ale nie chce pożegnać świata bez przestrogi, którą historia wygarbowała na jego skórze.

Podczas rewolucji bolszewickiej majątek rodzinny w Winikowcach w powiecie lityńskim koło Winnicy, a więc za Zbruczem, zostaje na zawsze utracony. Stempowski opisuje proces destrukcji detalicznie, zupełnie jak Le Bon w swej „Psychologii tłumu".

Najpierw zniknąć musi prawo i władza, a zapanować bezhołowie przebrane w pozór społecznej, tu akurat bolszewickiej, sprawiedliwości. Potem pojawiają się róż-

eprasa.pl 86b7bc0612

ni maruderzy, żulia i dezerterzy z frontu. Coraz częściej docierają informacje o gwałtach, mordach i podpaleniach sąsiednich majątków. Łuny pożarów świecą nocą na horyzoncie.

Wreszcie przychodzą maruderzy. Są głodni i zrazu „chcą tylko jeść", dostają więc jedzenie. Piją. Szlachtują inwentarz, rabują zapasy. Wreszcie któryś z nich przełamuje symboliczną barierę i wchodzi do domostwa. Za nim idą inni. Rusza lawina.

Biorą to, co można wynieść, potem kolejna faza – niszczenie i brukanie wszystkiego, czego wynieść nie sposób. Tłuczenie luster, gra pięściami na fortepianie, otwieranie siekierą szaf i szuflad. Wreszcie pogoń i wymyślny mord właścicieli, jeśli ci w porę nie uciekli. Domknięciem całości jest niszczycielski pożar tego, co jeszcze zostało.

Stempowski nazwał to „pogromem". I chyba słusznie, bo mechanizm tego zbrodniczego obłędu jest taki sam jak wobec Żydów, a ofiarą bezbronna, napiętnowania mniejszość. Zaprzyjaźniony ukraiński chłop z Winikowiec wyznał Stempowskiemu, który wraz z rodziną w ostatniej chwili schronił się w mieście: „Panie, czy słyszeliście przypowieść o Hiobie? To teraz wy jesteście Hiobem".

•

Rewolucja bolszewicka odcina podstawę bytu zamożnej ziemiańskiej rodziny. Od tego czasu Stempowski mieszkać będzie w Warszawie i pracować jako bibliotekarz w Ministerstwie Rolnictwa. Wcześniej jednak zostanie wysłannikiem Józefa Piłsudskiego, który chce, by przyjazna Polsce, wolna Ukraina stanowiła bufor między Polską a Rosją. Stempowski zostaje ministrem w rządzie Ukraińskiej Republiki Ludowej i będzie jednym z promotorów sojuszu Piłsudski – Petlura. Zgiełk i chaos tamtych czasów ujmuje jeszcze w swoich wspomnieniach.

Jednak w 1920 r. spada na niego kolejne nieszczęście. Traci najmłodszego i najukochańszego, jak można się domyślać, syna Pawła – cios, po którym już nigdy nie będzie taki jak dawniej. Wreszcie rozchodzi się z żoną. Wiąże natomiast z owdowiałą właśnie i o wiele lat młodszą pisarką Marią Dąbrowską.

Są ludzie wybitni, o których wybitności świadczą ich dzieła. Ale są i tacy, o których wielkości wiedzieli jedynie im współcześni. Osobowości, które nie pozostawiły po sobie wybitnych dzieł, ale były wybitne, bo promieniowały, bo kształtowały środowiska, formowały idee, wpływały na opinię publiczną. Taki właśnie był Stempowski.

I choć był mędrcem, erudytą i pierwszym czytelnikiem oraz krytycznym recenzentem tekstów Marii Dąbrowskiej, sam – z wyjątkiem wydanych właśnie „Pamiętników" oraz korespondencji – nie zostawił po sobie dzieł literackich czy esejów, jak choćby jego syn Jerzy Stempowski.

•

Rozumiała to Maria Dąbrowska, która z determinacją dążyła w PRL-u do publikacji „Pamiętników" Stempowskiego, i to jeszcze za jego życia, na czym też autorowi zależało.

Stalinowska cenzura i klasowo nieprawomyślne pochodzenie autora „Pamiętników" były stosunkowo niewielką przeszkodą wobec innych, które to dzieło pogrążyłoby w nicość. Brawurowe były bowiem dzieje samego maszynopisu, dzieje wpisane w tragizm powstańczej Warszawy, miasta na wulkanie historii.

Stempowski pisał ręcznie w jednym egzemplarzu. Na wszelki wypadek jednak tekst przepisano na maszynie w dwóch kopiach. Każdy z maszynopisów Stempowski zdeponował u jednej z zaprzyjaźnionych warszawskich rodzin. I oto oba maszynopisy niezależnie od siebie spłonęły w powstaniu – jak pisze Dąbrowska – wraz z mieszkańcami.

A rękopis? Ten z kolei zdeponowany został w skrzynce numer 186 skarbca banku PKO w Warszawie i w stanie częściowego zniszczenia odkopany po dwóch latach z ruin przez Stanisława Lorentza. Na szczęście autor przeżył i mozolnie odtworzył brakujące strony.

Zabiegi Dąbrowskiej o publikację „Pamiętników" trwały długo, a ostateczną zgodę władz tłumaczyć należy rodzajem wielkopańskiego gestu komunistów wobec cenionej pisarki. Książka ukazała się w 1953 r. we wrocławskim Ossolineum w okrojonej, rzecz jasna, postaci, a zatem bez lat 1914-20, które dla zrozumienia tła stosunków polsko-ukraińskich są najważniejsze. Niestety, Stanisław Stempowski już tego nie doczekał.

Jerzy Giedroyc z kolei wydał fragmenty „Pamiętników" w „Zeszytach Historycznych" paryskiej „Kultury", opierając się na rękopisach dostarczonych mu przez Jerzego Stempowskiego, syna autora.

I oto dziś mamy święto: publikacja całości, w trzech tomach, wysmakowanych graficznie, fenomenalnie opracowanych, opatrzonych przypisami i wstępem do każdego tomu przez dr. Łukasza Mikołajewskiego. Oto książka, której nie może zabraknąć na półce polskiego inteligenta.

•

Stempowski wychowywany przez ukraińskie piastunki mówił w dzieciństwie lepiej po ukraińsku niż po polsku, którego to języka douczał się później, aż do poziomu mistrzostwa. Był ukrainofilem.

Zaimponowała mi jego zdolność nazywania rzeczy po imieniu i odwaga przełamywania fałszywie pojętej solidarności polskiego ziemiaństwa na tzw. Kresach. Był za to nieustannie atakowany w endeckiej i konserwatywnej prasie.

Nie bez powodu przytaczam na wstępie wiersz Gałczyńskiego. Dla narodowej prawicy Stempowski uosabiał najbardziej obrzydliwe cechy: intelektualizm, elitaryzm, liberalizm, żydofilstwo, ukrainofilstwo, masonerię, socjalizm i obóz Józefa Piłsudskiego. I do tego jeszcze jako ziemianin uważał, że polska szlachta traktuje Ukrainę jak kolonię, a swoje majątki na Podolu tak, jak Francuzi czy Anglicy traktują swe latyfundia w Afryce. Tam białe gospodarstwa tonęły w morzu arabskiej lub czarnej ludności. Czym się od nich różnili polscy właściciele ziemscy, którzy o Ukraińcach pracujących w ich majątkach mówili „moi Rusini". Zresztą oddajmy głos samem Stempowskiemu:

„Zdecydowałem w duszy, że Polaków jest na Podolu nieznaczny odsetek, że jaki jest lud, taki jest i będzie kraj, i że Polacy mogą tam być tylko kolonistami pasożytami, o ile nie zespolą swej działalności gospodarczej, kulturalnej, społecznej i politycznej z interesami tego ludu i jego przyszłości, pozostając jednak nadal Polakami i nawet akcentując tę polskość, co kiedyś zużytkuje historia dla celów bratniego współżycia dwu narodów i zasypania przepaści, którą między nami wykopała kolonizatorska, ślepa i pełna buty polityka panów szlachty i magnaterii.

Wśród ziemiaństwa na Podolu widziałem jednak albo karciarzy, charciarzy i jarmarkowiczów, albo nadętych i wysoko się noszących panów i panków, albo ludzi bezmyślnych i rozpustnych, a w najlepszym razie »bonwiwantów« i nieużytków.

Wszystkie te kategorie tzw. Polaków kresowych były podatnym żerem dla mętnej i kłamliwej ideologii endeckiej, szermującej Bogiem i ojczyzną – tylko że ci »kresowcy« chytrze utożsamiali ojczyznę ze swoimi majątkami i oni ukuli cudaczny termin »polski stan posiadania«, rozumiejąc przez to polskich ziemian".

W naszych czasach o polskim kolonializmie na wschodzie pisał dużo Daniel Beauvois, który jak żaden polski historyk przez dziesięciolecia badał archiwa i stosunki na Kijowszczyźnie, Wołyniu i rosyjskim Podolu. Jednak polska historiografia odnosi się do niego z niechęcią, bo jego wnioski dotyczące relacji: polski, katolicki dwór versus ukraińska, prawosławna wieś, nie pasują, oględnie mówiąc, do endeckich przekazów i sienkiewiczowskich malowanek, którymi karmi się polską młodzież od szkolnej ławy.

Nie była to idylla, ale raczej niewolnictwo jak na plantacjach bawełny w Luizjanie. No więc huzia na Daniela Beauvois, bo nie dość, że Francuz, to jeszcze nie historyk, tylko polonista i „nie będą nam tu w obcych językach" pisać o naszej historii...

•

Nolens volens podeprzeć się więc muszę polskimi konserwatywnymi autorytetami, takimi jak Zofia Kossak-Szczucka, ziemianka, autorka „Pożogi". Była całkowitym zaprzeczeniem poglądów Stempowskiego. Tak jak endecja pisarka odmawiała Ukraińcom prawa do samostanowienia i w swym pisarstwie tworzyła nostalgiczny obraz utraconych Kresów. Dominację polskiego pana nad ukraińskim chłopem widziała jako przejaw polskiej mocarstwowości na wschodzie. Pisała w zakończeniu „Pożogi":

„Na całym świecie kresy czy kolonie, kraj szeroki, rozległy – daleki czy bliski – stanowiący wolne pole dla ekspansji jest dla państwa największym bogactwem i skarbem. Stamtąd przychodzi do Macierzy nowy żywioł ludzki, pełen energii i zdrowia. Tam się rodzą typy zuchwałe, uparte, umiejące chcieć i działać. Stamtąd przychodzą surowce i szeroki młody oddech"...

O odwetach polskich oddziałów karnych, krwawo odpłacających za samowolę chłopstwa ukraińskiego, które albo z poduszczenia bolszewików, albo z własnej inicjatywy grabiło polskie dwory, Kossak-Szczucka snuła takie oto rozważania:

„Był czas, że w Ameryce stało się koniecznością socjalną uznanie prawa linczu. Podobnie był czas, że uznanie prawa karnych oddziałów stało się koniecznością na Hetmańskiej Rusi. Rzeczone formacje nie były ani wybrykiem samowoli szlacheckiej »gubiącym przyszłość«, ani »rozpasaniem reakcji«. Nie zasługiwały ani na pochwałę, ani na potępienie, nie były dobre ani złe. (...) Innego środka nie było".

A więc jeśli ma się kolonie jak w Afryce, to normalne, że jak w Afryce biali wysyłają ekspedycje karne w obronie plantatorów, czyli „polskiego stanu posiadania".

Trudno chyba o historię bardziej zakłamaną niż historia stosunków polsko-ukraińskich. Mamy tu wiele do przepracowania i przemyślenia, a Stanisław Stempowski może nas wiele nauczyć.

Jak pisze we wstępie do trzeciego tomu „Pamiętników" Łukasz Mikołajewski, Stempowski już w 1919 r. przekonywał Polaków, że „wojna z ukraińskim ruchem niepodległościowym oraz rabunkowe i kolonialne podejście doprowadzi na Podolu, Wołyniu i na Kijowszczyźnie do nieuchronnej eskalacji konfliktów – i w następstwie do wygnania NA ZAWSZE [wyróżnienie – J.K.] polskiej ludności z tych terenów. Wielonarodowa Ukraina mogłaby przetrwać dzięki współpracy demokratycznych polityków niepodległych Ukrainy i Polski, dzięki tworzeniu wspólnego frontu walki z bolszewikami".

Przestrogi Stempowskiego padały 25 lat przed wołyńskim paroksyzmem ukraińskich nacjonalistów! Tak jak i wtedy, również dziś pozostają aktualne i brzmią znajomo.

Szansę z lat 1918-21 już zaprzepaściliśmy. Oczywiście, idea wolnej Ukrainy była wów-

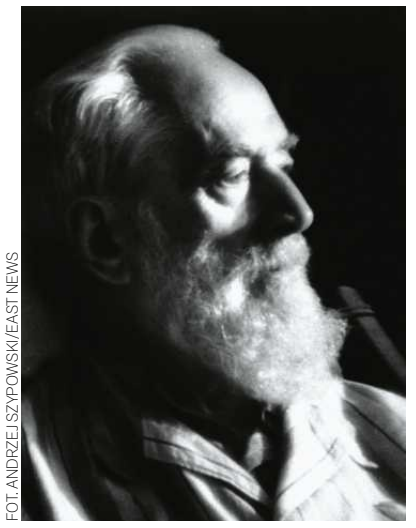

FOT. ANDRZEJ SZYPOWSKI/EAST NEWS

Są ludzie wybitni, o których wielkości wiedzieli jedynie im współcześni. Nie zostawili po sobie wielkich dzieł. Ale promieniowali, formowali środowiska i idee.

Jak Stanisław Stempowski

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCA: Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 86b7bc0612

czas nie do zrealizowania, ale czy my aby zrobiliśmy wszystko, żeby ją pomóc urzeczywistnić?

●

Po absurdalnej, bratobójczej wojnie polsko-ukraińskiej jedynym, który zdecydował się na współpracę z Polakami, był przywódca Ukraińskiej Republiki Ludowej Symon Petlura. Piłsudski chciał zabezpieczyć wschodnie granice sfederowaną z Polską Ukrainą. Umowę Piłsudski – Petlura podpisano w kwietniu 1920 r. i już niebawem obie armie rozpoczęły ofensywę przeciwko bolszewikom.

Na początku maja 1920 r. zdobyto Kijów. Był to bodaj 15. przemarsz obcych wojsk i na zmęczonych wojennym zamętem mieszkańcach nie zrobił większego wrażenia. Szybko, bo już w czerwcu, rozpoczęła się kontrofensywa bolszewicka, która zatrzymała się dopiero pod Warszawą. Znamy tę historię.

Jednak polskim warunkiem sojuszu w zamian za okazaną pomoc było zrzeczenie się przez Ukrainę pretensji do Galicji Wschodniej i Wołynia. Petlura tym samym znalazł się pod zarzutem o zdradę formułowanym zwłaszcza przez Ukraińców z Galicji Wschodniej. Mimo to jego oddziały lojalnie osłaniały polski odwrót i odegrały rolę w obronie Warszawy. Tym dotkliwsza dla niego była zdrada w Rydze. Polska obroniła swoją niepodległość, ale nie Ukraina, która została podzielona między Polskę a Rosję Sowiecką.

Ślepa wobec niepodległościowych aspiracji ukraińskich endecka delegacja nie dość, że wyrzekła się sojuszu z Ukrainą, to jeszcze uznała Ukrainę Sowiecką i przystała na klauzulę, w myśl której nie tolerowano działalności wywrotowej skierowanej przeciwko drugiej stronie.

Układ został potwierdzony dodatkowym protokołem podpisanym 7 października 1921 r. między Janem Dąbskim a Lwem Karachanem. Zgodnie z nim Polska miała – uwaga! – wydalić z kraju antysowieckich Rosjan oraz członków ukraińskiego rządu na uchodźstwie, w tym zwłaszcza Petlurę. Delegacje sowiecka i endecka jednako uważały Ukraińców za „naród niehistoryczny". I Polacy, i Sowieci zamierzali Ukraińców, odpowiednio: spolonizować i zrusyfikować.

Józef Piłsudski nie miał wpływu na skład delegacji, która zniweczyła jego koncepcję federacyjną. Jej skład wyznaczył bowiem Sejm. Marszałek mógł jedynie przeprosić internowanych w Szczypiornie pod Kaliszem ukraińskich żołnierzy: „Ja was przepraszam, panowie. Ja was bardzo przepraszam. Tak nie miało być".

●

Słusznie się oburzamy na sowiecko-niemiecki rozbiór Polski na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow, ale nie chcemy dostrzec, że traktat ryski był takim samym, tyle że polsko-sowieckim, rozbiorem Ukrainy.

Sowietom, a potem Rosji Putina, uważającej Kijów za kolebkę swojej państwowości, ta zaborcza nienawiść pozostała do dziś i ujawniła się pod postacią nowej zaborczej wojny. Historia zatoczyła koło.

My przynajmniej nie mamy roszczeń terytorialnych, choć partie skrajne – jak się obawiam – nie powiedziały w tej sprawie ostatniego słowa. Wystarczy zresztą, że są szowinistycznie antyukraińskie i prorosyjskie w duchu Romana Dmowskiego.

Anonimowy publicysta na łamach związanego z piłsudczykami czasopisma „Rząd i Wojsko" w 1919 r. przewidywał: „jeśli upadnie Petlura, po piętnastu latach lub prędzej będziemy musieli wschodnią Galicję oddać Rosji, co byłoby klęską dla nas, bo jeśli Ukraińcy mogą mieć słuszne pretensje do wschodniej Galicji, to Rosja żadnych". Nie mylił się.

●

Endecy na mocy wspomnianego protokołu Dąbski – Karachan zobowiązali się, o hańbo!, do wydalenia z Polski atamana Petlury. I oto w wolnej Polsce dwaj konspiratorzy piłsudczycy – Stanisław Stempowski właśnie i jego przyjaciel Henryk Józewski, późniejszy wojewoda wołyński – zupełnie jak w carskich czasach ukrywają i szmuglują Petlurę z Tarnowa, gdzie rezydował emigracyjny rząd URL, w nowe, sekretne miejsce. Niestety, tego epizodu nie znajdziemy w pamiętniku, który kończy się na roku 1920.

Ukrywanie Petlury na fałszywych papierach trwało do końca 1923 r., gdy po wygranych przez centroprawicę wyborach ataman opuścił Polskę i przeniósł się do Paryża. 26 maja 1926 r. na zlecenie sowieckiego GPU został zamordowany przez Szloma Schwarzbarda.

Data to nie przypadkowa. Piłsudski powraca właśnie do władzy w wyniku zamachu majowego. Sowieci obawiają się odnowienia sojuszu polsko-ukraińskiego. Zamachowiec został ujęty. Swój czyn motywował chęcią odwetu za pogromy wojsk Petlury na ludności żydowskiej, choć dokonywały ich od 1914 r. wszystkie armie przesuwających się frontów: Rosjanie, Austriacy, Ukraińcy, także Polacy. Opisał to bez ogródek Szymon An-ski w „Tragedii Żydów galicyjskich...".

Historycy nazywają to niekiedy pierwszym Holocaustem. Z pewnością była to największa rzeź od czasu powstań Bohdana Chmielnickiego. Według różnych szacunków to od 50 do 100 tys. ofiar i ok. pół miliona Żydów wyrzuconych ze swych domostw. Pod presją opinii publicznej francuski sąd uniewinnił zabójcę. Petlura nie był antysemitą, ale jego reakcje na rozpasanie i samowolę podwładnych, którzy dopuszczali się pogromów, były daleko niewystarczające. Dało to Rosji Sowieckiej okazję do zdyskredytowania młodego ukraińskiego państwa, a ordynarny mord polityczny udało się ubrać w szaty sprawiedliwej zemsty.

●

Kim byli Prometeusze? Mało kto o nich dziś pamięta. To ponadnarodowy i antysowiecki ruch ludzi związanych z Józefem Piłsudskim, którzy w latach międzywojennych zabiegali o niepodległość narodów wchłoniętych przez ZSRR. Czynili to przy użyciu ówczesnego soft power, tj. publikacji, propagandy, wpływów politycznych, wspierania ukraińskich działaczy niepodległościowych, relacji międzynarodowych, także wywiadowczych, w tym na terenie sowieckiej Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Polscy Prometeusze, na ogół socjaliści, często wolnomularze, kontestowali prorosyjską, a po traktacie ryskim prosowiecką politykę endecji. Rozumowali, że Polska nie obroni swej niepodległości bez wschodniego buforu - niezależnej od Rosji Ukrainy.

W tym środowisku autorytetem był Stanisław Stempowski. Do jego najwierniejszych słuchaczy w cichych salach biblioteki Ministerstwa Rolnictwa należał wówczas młody redaktor „Myśli Mocarstwowej" Jerzy Giedroyc, co odnotował Timothy Snyder w swej znakomitej opowieści o Henryku Józewskim „Tajna wojna".

Nie będzie ani domysłem, ani nadużyciem teza, że to tam wykuła się linia programowa paryskiej „Kultury". Tam kumulowało się niezachwiane przekonanie, że bez niepodległej Ukrainy, Litwy i Białorusi nie ma niepodległej Polski i że w warunkach pojałtańskich wschodnia granica Polski jest nienaruszalna, a to oznacza, że Wilno jest ostatecznie litewskie, a Lwów ukraiński.

Dziś to dość oczywiste, ale ogłosić to żyjącej w nostalgicznym poczuciu utraty Kresów polskiej powojennej emigracji to coś zupełnie innego. Czytelnicy rzucali prenumeratę, oskarżano „Kulturę" o zdradę. Ale to wszystko miało się dopiero wydarzyć – po wojnie.

●

W II RP Prometeusze przegrali. Rządy tępych pułkowników majaczących o imperialnej Polsce od morza do morza, zbratanych ze skrajną prawicą rozpoczęły na wschodzie akcję państwowej polonizacji Ukraińców. Obok wcześniejszej wojskowej kolonizacji Wołynia i pacyfikacji wsi w tzw. Małopolsce Wschodniej w przededniu wrześniowej katastrofy – jakby tego właśnie Polsce było trzeba – zaczęło się siłowe nawracanie ukraińskich obywateli II RP na katolicyzm, niszczenie cerkwi na Chełmszczyźnie, delegalizacja ukraińskich organizacji społecznych, pacyfikacja wsi ukraińskich itd.

Dalszy żałosny koniec II RP znamy. Potwierdziła się reguła, że nie ma niepodległej Polski bez niepodległej Ukrainy. Były za to hitlerowskie Niemcy i stalinowski Związek Sowiecki. I choć ZSRR przetrwał II Rzeczpospolitą, to nie przetrwał własnego kryzysu, reform Gorbaczowa i ugiął się pod falą niepodległościowych aspiracji dawnych republik sowieckich.

Odżyła prometejska utopia ULB pielęgnowana przez środowisko paryskiej „Kultury". I oto zmaterializowała się na przełomie lat 80. i 90. XX wieku, gdy wybuchła jesień narodów, a część republik dawnego ZSRR uzyskała niepodległość.

Utopia prometeizmu stała się faktem. Drzewo wydało owoce. Polska jako pierwszy kraj uznała państwowość niepodległej Ukrainy już 2 grudnia 1991 r. Ten gest – obok polskiego wsparcia dla pomarańczowej rewolucji, dla Majdanu, dla ukraińskich prozachodnich aspiracji członkostwa w UE i NATO i wreszcie pomoc po zbrodniczej napaści Moskwy na Kijów – zapisuje najpiękniejszą kartę w relacjach Warszawy i Kijowa.

Nie dajmy tego popsuć wszelkim nieukom z husarskimi skrzydłami, internetowym łobuzom, prawdziwym narodowym szowinistom, agentom i zwykłym zdrajcom.

Tego chciałby od nas Stanisław Stempowski. ●

Słusznie się oburzamy na pakt Ribbentrop-Mołotow i sowiecko-niemiecki rozbiór Polski.
Ale nie widzimy, że traktat ryski był takim samym, tyle że sowiecko-polskim, rozbiorem Ukrainy

Stanisław Stempowski, „Pamiętniki 1870-1920", opracował, wstępem i przypisami opatrzył Łukasz Mikołajewski. Wydawnictwo Więź, Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, Warszawa 2025.

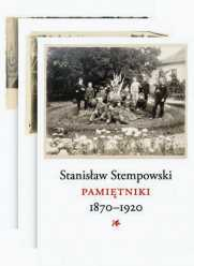

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Katarzyna Kuczyńska-Koschany*

Tarnopol, zmiana warty

tamtędy szła śmierć
przez sen śpiących
w jednym bloku

Tanatos zastępował Morfeusza
huk kremlowskiej komendy
rozrywał tępym bólem
czaszki

to nie migrena
to nie histeria
to historia
wiek XXI
dzień 19 listopada 2025
Ukraina

PISANE W TRUSKAWCU 22 XI 2025, W 1367. DNIU WIELKIEJ WOJNY

***Katarzyna Kuczyńska-Koschany** - ur. w 1970 r., profesorka, literaturoznawczyni, eseistka, poetka. Opublikowała ok. 350 artykułów i szkiców po polsku, angielsku, bułgarsku, niemiecku, rosyjsku i ukraińsku. Autorka licznych książek naukowych, m.in. o Rilkem i Tuwimie. Wydała tomy poetyckie „Zielony promień" i „Łania w styczniu". Wiceprzewodnicząca Komitetu Nauk o Literaturze PAN, członkini Otwartej Rzeczypospolitej i Polskiego PEN Clubu.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 86b7bc0612

ALE HISTORIA

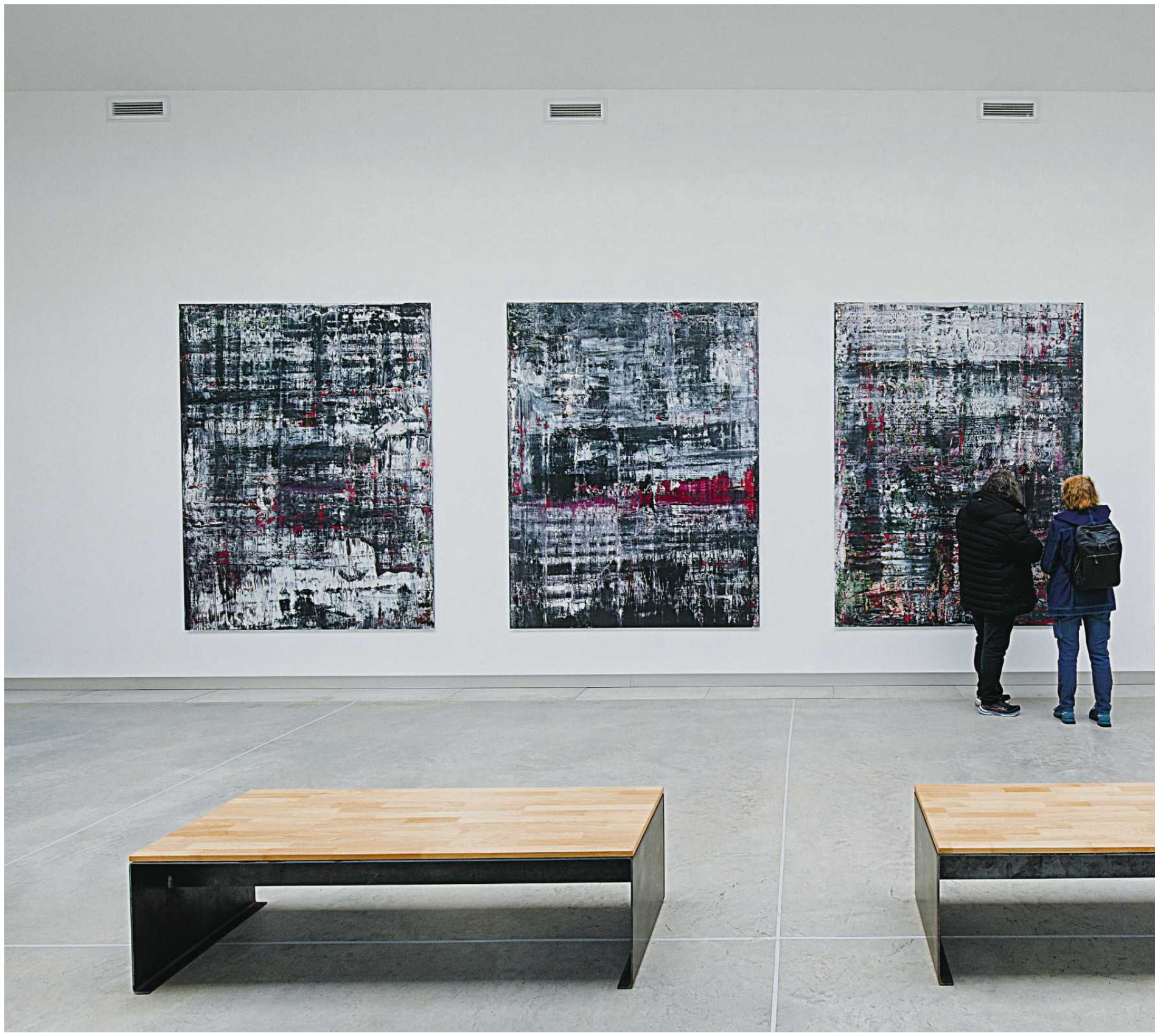

4 zdjęcia

Z ZAGŁADY W AUSCHWITZ

Na pierwszym – ludzie pędzeni do gazu, na drugim i trzecim – palenie ciał zamordowanych, na czwartym – tylko korony drzew.

Mateusz Demski

1 RP

eprasa.pl 86b7bc0612

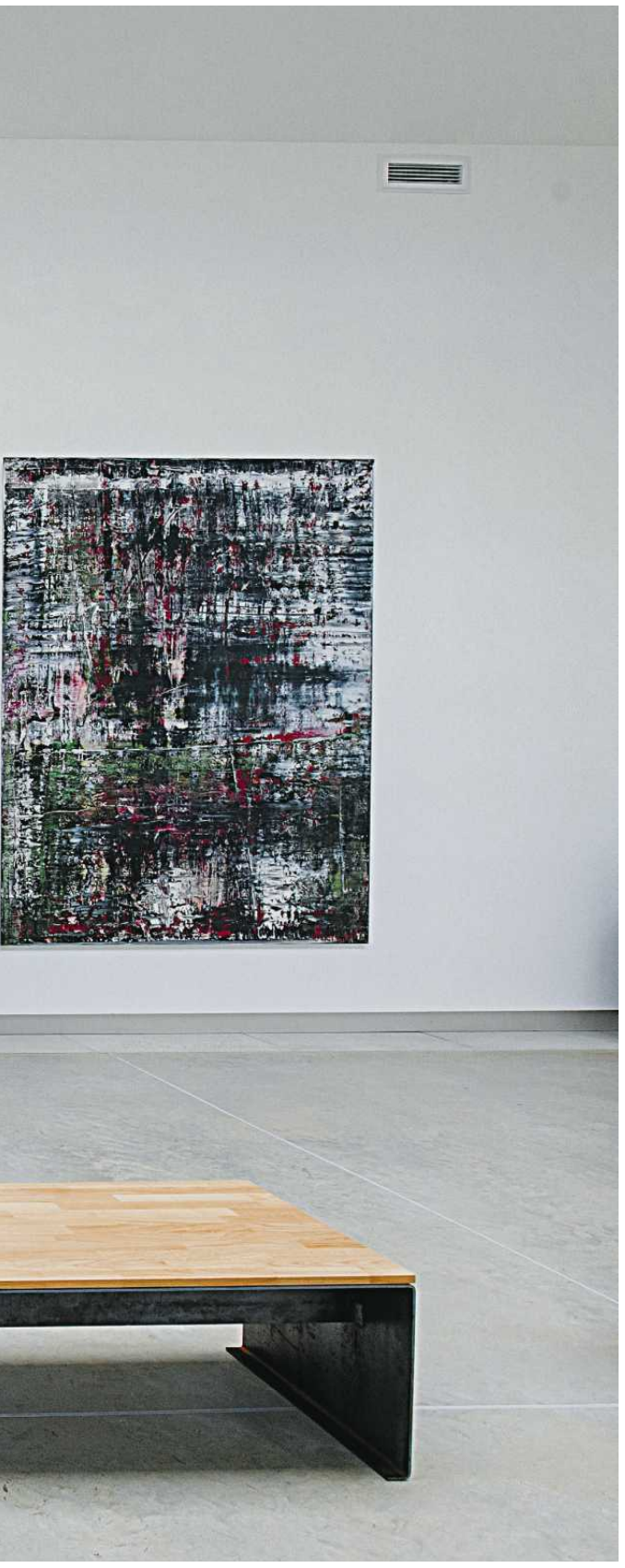

▲ Na dwóch zdjęciach widać palenie ciał pomordowanych
FOT. ZBIORY PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

◀ Na jednym uchwycono nagich ludzi pędzonych do komór gazowych
FOT. ZBIORY PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

▼ Na kolejnym, tylko korony drzew nad krematorium
FOT. ZBIORY PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

Doktor Wojciech Płosa, kierownik Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, przyjmuje mnie w swoim gabinecie na piętrze ceglanego, przedwojennego budynku. Stoi pierwszy po lewej od bramy „Arbeit macht frei”. Powstał na początku XX wieku na potrzeby armii austro-węgierskiej. W 1939 roku teren trafia pod kontrolę Luftwaffe. W kwietniu 1940 roku przejmuje go SS, aby stworzyć obóz. Kiedyś stały tu piętrowe prycze, w środku mieszkało od 600 do 800 więźniów, gdy przybywały masowe transporty, kolejnych 400 upychano na strychu.

Od 1957 roku budynek pełni funkcję archiwum. Inicjatorem pomysłu jest Kazimierz Smoleń, były więzień i dyrektor Muzeum. Zaraz po objęciu stanowiska stara się o zwrot dokumentów powstałych w biurach obozowych, które trafiły do Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich (Hitlerowskich), Najwyższego Trybunału Narodowego i Polskiego Czerwonego Krzyża. W tej sprawie pisze list do jednego ze współwięźniów, który będzie w stanie pomóc. Adresatem jest premier Józef Cyrankiewicz.

Przez wiele lat po wojnie trwają prace nad zabezpieczeniem i magazynowaniem materiałów. Archiwum zawiera dziś 280 metrów bieżących dokumentów.

– To niewiele w porównaniu ze zbiorami z innych obozów – tłumaczy Płosa. – Od połowy 1944 roku władze obozowe, mając świadomość, że nadciąga Armia Czerwona, podjęły decyzję o niszczeniu dokumentacji.

▼ Cykl obrazów „Birkenau” Gerharda Richtera, inspirowanych czterema zdjęciami z Zagłady w Auschwitz
FOT. DOMINIK SMOLAREK / MDSM

Administracja KL Auschwitz składała się z sześciu wydziałów. Ewidencjonowano wszystko, włącznie z liczbą zębów z metali dentystycznych usuwanych ze zwłok. I te raporty istnieją: ile protez w dolnej szczęce, po lewej, po prawej.

SOWIECKA FAŁSZYWKA

W zbiorach Muzeum znajdują się dziesiątki tysięcy fotografii, 509 pokazuje budowę Auschwitz I i Auschwitz II-Birkenau. Na najbardziej unikalnych widać prace wykończeniowe wewnątrz komór gazowych i krematoriów. Te zdjęcia w zasadzie nie miały prawa powstać. Każdy esesman przed przystąpieniem do służby w KL Auschwitz podpisywał zobowiązanie, że zachowa w ścisłej tajemnicy wszystko, czego będzie tam świadkiem.

Podobnie było ze zdjęciami Bernharda Waltera, szefa Erkennungsdienst, służby rozpoznawczej. Kilkukrotnie na przełomie maja i czerwca 1944 roku jechał z aparatem do Birkenau, gdzie przywieziono transporty Żydów węgierskich. Fotografował przebieg selekcji na rampie i tych, którzy byli prowadzeni na Zagładę.

Istotną część archiwum stanowią fotografie wykonane tuż po wyzwoleniu. Zwraca uwagę jedno z nich – pokazuje więźniów, którzy z otwartymi ramionami czekają na żołnierzy Armii Czerwonej. To inscenizacja. Ambasada Sowiecka dostarczyła fotografię do archiwum w latach sześćdziesiątych, kiedy Muzeum uruchomiło część wystawy poświęconą martyrologii narodów Związku Sowieckiego. Jak wiadomo, wyzwolenie nastąpiło w sobotę, 27 stycznia 1945 roku. Według zeznań ocalałych była sroga zima, a czerwonoarmiści mieli na sobie białe maskowanie. Na zdjęciu nie ma ani śladu śniegu, ani kamuflażu. Zrobiono je dużo później w celach propagandowych.

Większość archiwum to fotografie więźniarskie; ujęcia w trzech pozach. Więźniowie ubrani w obozowe pasiaki, w lewym dolnym rogu, widoczny jest numer obozowy, narodowość. W sumie 39 tysięcy zdjęć.

SKĄD APARAT ZA DRUTAMI

Ale my się spotykamy, żeby rozmawiać tylko o czterech z nich. To jedyne istniejące fotografie zrobione chwilę przed Zagładą i w jej trakcie. Na temat ich powstania wiadomo niewiele.

Szukam informacji w pięciotomowej monografii „Auschwitz 1940-1945. Węzłowe zagadnienia” z dziejów obozu wydanej przez Muzeum, ale jest tam o nich jedynie krótka wzmianka. Ledwie parę informacji, prawie żadnych szczegółów. Zdjęcia były reprodukowane i publicznie rozpowszechniane, można je oglądać w niezliczonych książkach, w filmach czy na wystawach.

eprasa.pl 86b7bc0612

▶ **Pawilon na terenie obozu, w którym eksponowany jest cykl „Birkenau" Gerharda Richtera**
FOT. KRZYSZTOF MARCHLAK

Jednak sama akcja nie doczekała się żadnego wyczerpującego opisu, pozostaje w sferze dociekań historyków.

Wiadomo mało, dużo jest niedopowiedzeń i przypuszczeń, trudno dogrzebać się do najdrobniejszej informacji. Jeśli już, to o całej akcji pisze się z zastanowieniem, znakiem zapytania i jakby z bezradnością. Nie ma wzmianek w dokumentach, niewiele się zachowało.

Na pewno w akcji biorą udział Alberto Errera z Grecji, Szlojme Dragon, jego brat Abram i Alter Fajnzylberg, którzy pochodzili z Polski. Dawid Szmulewski, obozowy członek ruchu oporu, ma dostarczyć aparat z filmem do obozu. Jakim cudem mu się to udało? Do dzisiaj nie wiemy.

Nie zachowały się żadne relacje ani zeznania. Funkcjonują dwie wersje. Pierwsza: aparat został przeszmuglowany z zewnątrz przez Franciszka Mordarskiego, robotnika cywilnego, miał ze sobą wiadro z podwójnym dnem. Możliwość druga, może bardziej prawdopodobna: aparat został wyniesiony z magazynów ze zagrabionym mieniem ofiar.

To mogło być latem 1944, w tym czasie do obozu przyjeżdżają masowe transporty Żydów z Węgier. Kiedy cztery krematoria okazują się za mało wydajne, władze obozowe decydują, że trzeba spalać zwłoki na otwartym powietrzu.

Nie wiemy, jak przebiegała akcja, możemy się tylko domyślać: Alberto, zwany Alexem, robi zdjęcie z wejścia do krematorium nr V. Kilka miesięcy później ginie, próbując uciec z Birkenau. Nie dowiemy się, jak było naprawdę. Przez lata trwa dyskusja, czy to faktycznie on nacisnął spust migawki. Pozostali więźniowie stoją na zewnątrz na czatach, rozglądają się dookoła, na wypadek gdyby nadchodził jakiś esesman. Nie mają zbyt wiele czasu. Fotografują masową Zagładę tak jak potrafią.

ZDJĘCIA PRZEKAZAĆ ALIANTOM

Nie ma pewności, w jakiej kolejności zdjęcia zostały zrobione. W sumie wykonano siedem negatywów, cztery ujęcia, w tym dwa prawie identyczne. Doktor Płosa przekłada je zgodnie z intuicją, tak jak to mogło wyglądać.

– Pierwsza klatka to w zasadzie próba, raczej nieudana – wyjaśnia. – Obiektyw ucieka Alexowi do góry, jedyne, co widać na zdjęciach, to korony drzew rosnących wokół krematorium i plamy światła. Kolejne ujęcie pokazuje masowe palenie zwłok pod gołym niebem. Na koniec udaje się przesunąć obiektyw w kierunku zagajnika. W rogu zdjęcia widać nagie kobiety pędzone do komory gazowej.

Film miał prawdopodobnie siedem klatek, są cztery zdjęcia. Co się stało z pozostałymi? Być może je prześwietliło i się nie zachowały, może klatki zostały wcześniej wykorzystane.

Następnie zdjęcia zostają przeszmuglowane z obozu drogą, której już nigdy nie poznamy. Jedna z wersji mówi, że to Helena Datoń, legenda ruchu oporu, wyniosła kliszę z obozu. Podobno ukryła ją w tubce pasty do zębów.

7 września 1944 roku Józef Cyrankiewicz i Stanisław Kłodziński w jednym z grypsów wysłanych do Krakowa, piszą tak:

„Przesyłamy Wam zdjęcia z Birkenau – z akcji gazowania. Zdjęcie przedstawia jeden ze stosów na wolnym powietrzu – na którym palono trupy, gdy krematorium nie może nadążyć z paleniem. Przed stosem leżą trupy, czekające na rzucenie na stos. Zdjęcie inne przedstawia jedno z miejsc w lasku – gdzie ludzie rozbierają się rzekomo do kąpieli i potem idą na gaz [...]. Te załączone zdjęcia wyślijcie natychmiast do Tell – zdjęcia powiększone można, uważamy, wysłać dalej".

Kończą takim dopiskiem: „Zdjęcia przekazać aliantom zachodnim jako kolejny dowód zbrodniczej działalności nazistów".

Jak wynika z daty nadania, trzeba było długo czekać na możliwość wysyłki, i tu powstaje kolejne pytanie: filmu czy już wywołanych zdjęć? To zagadka, nad którą głowią się wszyscy badacze. Najłatwiej byłoby wysłać kasetę z kliszą. Z drugiej strony film można było wywołać w obozie – Erkennungsdienst, służba rozpoznawcza, miała swoje laboratorium, w którym pracowali więźniowie, między innymi Wilhelm Brasse, fotograf z zawodu. Od czasu do czasu robili takie przysługi dla obozowego ruchu oporu. To Brasse wraz z kolegami, jeszcze przed ewakuacją obozu, ocalili 39 tysięcy negatywów z fotografiami obozowymi.

> Richter uznaje, że obrazy pędzenia ludzi na śmierć i palenia ich ciał nie poddają się realistycznemu odtworzeniu, że to malarstwo kłamie. Dlatego kopie autentycznych zdjęć zastępuje abstrakcją

MEMENTO DLA ŚWIATA

Zdjęcia zrobione z krematorium nr V są dowodem na to, że w KL Auschwitz II-Birkenau trwa masowa zagłada Żydów. Nigdy nie dotrą do polskiego rządu na uchodźstwie w Londynie. Równolegle do aliantów trafiają błagalne odezwy o zbombardowanie komór gazowych i krematoriów, a przynajmniej torów prowadzących do Auschwitz. Dowództwo brytyjskiego lotnictwa jest temu niechętne, jak twierdzą, Alianci toczą bój na śmierć i życie z Niemcami. Bombowce są zaangażowane na wszystkich teatrach działań wojennych.

Wcześniej obozowy ruch oporu wynosi poza mury wykazy więźniów i transportów, zdjęcia i odpisy badań więźniarek, na których Josef Mengele przeprowadzał doświadczenia, fotokopie planów budowlanych krematoriów z komorami gazowymi, rysunki obrazujące życie obozu. Waldemar Nowakowski tytułuje swoje szkice: „Budowa Oświęcimia", „Chorzy", „Sztaple w kostnicy", „Do gazu".

Na zewnątrz wydostają się także wykazy z nazwiskami osób rozstrzelanych, zabitych w komorach gazowych i zastrzykami z fenolu. Jednym z cenniejszych dowodów jest księga ewidencyjna „Bloku śmierci". Na jej podstawie można odtworzyć przebieg tysięcy egzekucji.

Ocalona dokumentacja ze zdjęciami ma służyć jako memento, by świat poznał prawdę. Zostanie wykorzystana podczas procesów w Norymberdze i innych miejscach. To relacja przekazana na gorąco, przez świadków, którzy za chwilę mieli być już tylko wspomnieniem.

ODRUCHY CZŁOWIECZEŃSTWA

Cztery fotografie pojawiają się tuż po wojnie w raporcie profesora Jana Sehna, przewodniczącego Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Krakowie. W latach pięćdziesiątych można zobaczyć je na pierwszej wystawie w Auschwitz. Do archiwum trafią w styczniu 1985 roku. Z protokołu z oględzin akt: „Otrzymaliśmy siedem / 7 / sztuk odbitek stykowych, oryginały, zdjęć wykonanych w 1944 r. przez nieznanego więźnia KL Birkenau przy krematorium nr 5".

Odbitki odnajdują się po czterdziestu latach u Władysława Pytlika, mieszkańca Brzeszcz, zaangażowanego w pomoc ruchowi oporu, on sam nie dożyje ich przekazania. To wdowa po nim na życzenie męża dostarcza je do Muzeum.

Działalność ruchu oporu to ta sfera historii Auschwitz, która nie zostawiła po sobie zbyt wielu śladów. Ludzie związani z jego działalnością milczą po wojnie, nie warto się do niej przyznawać. Niektórzy wolą zabrać te historie do grobu.

Cudem zachował się cały zbiór grypsów nielegalnie wysyłanych poza obóz. Były pisane na papierowych bibułkach, szmuglowało się je na różne sposoby: ukryte w kluczach, w chlebie, w zapalniczkach.

Patrzę na zdjęcia, które daje mi doktor Płosa, niewyraźne, zrobione w pośpiechu, zniszczone przez czas. Coś jednak sprawia, że jedno z nich przynosi więcej, niż można się po nim spodziewać. Igor Bartosik z Centrum Badań Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau zwraca uwagę, jak jeden z więźniów Sonderkommando, uchwycony przez Alexa, stąpa między stosami ciał. Ostrożnie i z wielką uważnością patrzy, gdzie stawia stopy, żeby nie nadepnąć na zwłoki.

– W ten sposób wyraża szacunek dla zmarłych. Na samym dnie obozowego piekła zdarzały się odruchy człowieczeństwa – mówi Płosa.

CZTERY ZDJĘCIA WEDŁUG RICHTERA

Nadine Fresco, historyczka we francuskim Centre National de la Recherche Scientifique, poświęciła kilka lat badaniom nad ośmioma zdjęciami ukazującymi masakrę Żydów, której dokonano w grudniu 1941 roku na plaży w pobliżu łotewskiego miasta Lipawa. Podobnie jak na zdjęciach z Auschwitz widać na nich nagie kobiety i dziewczęta na świeżym powietrzu, kilka klatek później ciała zsuwające się do wykopanych dołów.

Autorka w książce „Śmierć Żydów. Fotografie" zadaje sobie pytania: Do kogo te zdjęcia należą? Kto ma do nich prawa? I o jakie prawa chodzi? O prawo moralne? O copyright, znany tak powszechnie, że wystarczy lakoniczny, lecz czujny symbol „©"?

Dochodzi do wniosku, że fotografie same w sobie, a nie ich copyright, należą do „domeny publicznej". Czyli do całej ludzkości. Do historii.

Gerhard Richter, niemiecki malarz uznawany za jednego z największych wśród żyjących artystów, mógł zadawać sobie podobne pytania. Fotografie z Brzezinki przetworzy – w imię ludzkości – na nowo. Zabiera się za to w 2014 roku. Na wielkich płótnach wyświetla zdjęcia z projektora, a potem starannie je kalkuje. W końcu zmienia zdanie, postanawia wszystko zamalować. Zdrapuje i rozciera farbę, nakłada kolejne warstwy i ponownie zdejmuje. Richter uznaje, że obrazy pędzenia ludzi na śmierć i palenia ich ciał nie poddają się realistycznemu odtworzeniu, że to

eprasa.pl 86b7bc0612

malarstwo kłamie. Z tego powodu kopie autentycznych zdjęć zastępuje abstrakcją. Praca nosi nazwę „Birkenau”. Obóz jest w niej obecny, choć niewidoczny.

Richter, idąc za myślą francuskiego filozofa Georgesa Didi-Hubermana, próbuje z szacunkiem odnieść się do fotografii z Birkenau, nie popadając w szablonowe przedstawienia Holokaustu. Patrząc na płótna, każdy ma swoją interpretację. Zieleń z płócien kojarzy się z lasem. Czerwień – z krwią. Didi-Huberman twierdził, że warstwę farby zakrywającą temat można potraktować metaforycznie jako warstwę czasu, które oddziela nas od tamtych wydarzeń. Albo niemożność zobrazowania Zagłady. Marian Turski mówił, że cykl Richtera niesłusznie jest nazywany malarstwem abstrakcyjnym. Bo ten pozwala zobaczyć i przeżyć więcej.

Richter niechętnie opowiada o swoich obrazach, wiadomo, że malując, czerpie z własnej biografii. Ze zdjęciami z obozu zetknął się w 1963 roku. Publikuje je „Frankfurter Allgemeine Zeitung” przy okazji drugiego procesu oświęcimskiego. Richter umieści je w monumentalnym dziele „Atlas”. To szkicownik myśli artysty, album z setkami rysunków, szkiców i wycinków prasowych, które gromadził blisko pół wieku. Nie wiadomo, czy wtedy też trafił na cztery zdjęcia z Birkenau. Wiadomo, że jedno z nich przez lata wisi nad jego biurkiem.

ŚWIAT PRZED HOLOKAUSTEM I PO NIM

Dopiero mając 73 lata, Richter odkrywa rodzinne sekrety. Jego teść okazał się wysoko postawionym lekarzem SS. Był odpowiedzialny za ponad tysiąc przymusowych sterylizacji. Nigdy nie odpowiedział za swoje czyny. Brat matki Richtera, jego ojciec chrzestny, zginął na froncie we Francji. Siostra wujka była ofiarą nazistowskiej polityki wobec osób chorych psychicznie. Zmarła z wygłodzenia w zakładzie zamkniętym.

„Birkenau” było pokazywane w Dreźnie, Baden-Baden, Berlinie, Moskwie, Nowym Jorku. W 2020 roku Richter użycza Międzynarodowemu Komitetowi Oświęcimskiemu jedną z trzech kopii cyklu wydrukowaną na metalowych płytach. W ten sposób obrazy wracają do swojego źródła, przyczyny. Pozostałe egzemplarze mieszczą się w Reichstagu w Berlinie i muzeum sztuki w Dreźnie.

Zwykle reprodukcje powstają z myślą o sprzedaży. Richter zdecydował, że te nigdy nie zostaną wystawione na sprzedaż.

Najdroższy obraz artysty osiągnął cenę 46 milionów dolarów.

W 2024 roku na terenie Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu powstaje pawilon wystawowy według projektu Richtera i jego żony. To dość nietypowa sytuacja. Artysta zaprojektował sobie muzeum. Po wystawie oprowadza mnie Barbara Daczyńska z MDSM-u, zwraca moją uwagę na parę szczegółów. Po pierwsze, budynek jest strzelisty, akustyka wewnątrz doskonała, panuje atmosfera kontemplacji, jak w każdej świątyni. Po drugie, przestrzeń jest przedzielona na pół. Na świat przed Holokaustem i po nim. Na wprost od obrazów wisi długie szare lustro. Jak to interpretować? Każdy zwiedzający widzi w nim siebie, a za sobą tragedię i historię obozową.

Richter stawia pytanie: Co zrobisz dzisiaj, kiedy coś takiego zdarza się na świecie?

Marian Turski odczytał to podobnie, potrafił też zauważyć, że szary jest nieprzypadkowy. W obozie nie było luster. Więźniowie szukali swojego odbicia pod stopami, w szarych kałużach. Skwer przed pawilonem dostaje imię Turskiego kilka miesięcy po jego śmierci.

Richter pochwala ten pomysł jako przestrogę przeciwko zapomnieniu; w nadziei, że ludzie wyciągną jednak wnioski z historii. ●

Historia krzepi

Wzlot i upadek Edwarda Benesza

Prezydent Czechosłowacji traktował Polskę z wyższością, uważał, że jest państwem nie środkowej a wschodniej Europy.

Natecz

Losy Edwarda Benesza, najwybitniejszego czeskiego polityka XX wieku, skłaniają do wielu refleksji, także w aktualnych kwestiach. Pokazują, jak łatwo państwo, uważające się za ważny podmiot międzynarodowy, takie jak międzywojenna Czechosłowacja, może stać się obiektem cynicznego handlu pomiędzy mocarstwami, w którym ono samo nie ma nic do powiedzenia. To także świetny przykład, jak w polityce szybko stacza się z wyżyn wielkości w otchłań upadku.

Można więc tylko przyklasnąć, że w końcu doczekaliśmy się polskiej biografii Benesza. Tym bardziej, że jest ona znakomita, świetnie udokumentowana, pełna wyważonych sądów i pozbawiona emocji często towarzyszących debacie o tytułowym bohaterze. Autor monografii, Andrzej Krawczyk, to wytrawny historyk, ale i doświadczony dyplomata, wieloletni ambasador w Pradze i Bratysławie. Jego ogromna wiedza historyczna i kunszt dyplomatyczny pozwoliły chłodno i bezstronnie odsłonić meandry polityki Benesza, zaliczanego w okresie międzywojennym do grona najzdolniejszych polityków europejskich.

Zaistniał on, i to od razu w roli czarnego konia, na paryskiej konferencji pokojowej, na nowo urządzającej Europę po I wojnie światowej. Miał 35 lat i był jednym z najmłodszych uczestników, ale dzięki inteligencji i pracowitości, jako jedyny dyplomata z Europy Środkowej uczestniczył we wszystkich spotkaniach, a nie tylko w posiedzeniach poświęconych jego krajowi. Zazdrościł mu tego wyróżnienia starszy o 20 lat Roman Dmowski, zapraszany jedynie w sprawach Polski. Co więcej, twórcy ładu wersalskiego bardziej cenili zdanie Czecha niż Polaka.

A sytuację wyjściową Benesz miał o wiele trudniejszą, bo kwestia odbudowy jego ojczyzny wyglądała znacznie gorzej niż sprawa odrodzenia Polski. Dość przypomnieć, że słynny program pokojowy prezydenta USA Woodrowa Wilsona z 8 stycznia 1918 roku twardo mówił o „stworzeniu niepodległego państwa polskiego” i tylko wzmiankował o „możliwości autonomicznego rozwoju narodów Austro-Węgier”, nadal mających grać ważną rolę w europejskim koncercie. Mimo to udało się Beneszowi przeforsować wszystkie jego postulaty. Nie dość, że doprowadził do zniszczenia imperium Habsburgów i powstania Czechosłowacji, to zapewnił jej maksymalne terytorium, kosztem roszczeń niemieckich, węgierskich i polskich.

Wdzięczni rodacy wynagrodzili go stanowiskiem ministra spraw zagranicznych, sprawowanym nieprzerwanie we wszystkich rządach, od listopada 1918 do grudnia 1935, co stanowiło europejski rekord w kierowaniu tym resortem. Był bardzo wpływowy na scenie wewnętrznej, a jednocześnie należał do najaktywniejszych polityków europejskich, nadających ton powołanej w 1919 roku Lidze Narodów, aspirującej do kierowania polityką światową.

Andrzej Krawczyk celnie zauważa, że „reprezentowana przez Benesza Czechosłowacja postrzegana była jako kraj demokratyczny, stabilny i bezproblemowy, w odróżnieniu od Polski, Węgier, Rumunii czy Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców”.

Rodziło to u ambitnego ministra pychę i poczucie wyższości, z jakim traktował Polskę. Uważał, że jest ona państwem nie środkowej, a wschodniej Europy, mocno obarczonym przeżytkami feudalizmu i kultury szlacheckiej, dla niego równoznacznej z zacofaniem. Jak ognia unikał wizyt w Warszawie. Jedyna jaką odbył w 1925 roku, niczego nie przyniosła. Opinia publiczna kojarzyła ją wyłącznie z tragicznym wypadkiem, w którym samochód czeskiej kolumny śmiertelnie potrącił przechodnia.

Kiedy w lutym 1933, zaraz po dojściu Hitlera do władzy, minister Józef Beck zaproponował czeskiemu koledze zawarcie paktu obronnego, ten ofertę odrzucił, przekonany, że jego kraj jest wystarczająco zabezpieczony traktatami międzynarodowymi, sojuszem z Francją i przychylnością Związku Sowieckiego.

Jak wielki błąd popełnił, przekonał się już jako prezydent, którym został w 1935 roku, zastępując swojego wieloletniego protektora Tomasza Masaryka. W obliczu zaborczych żądań Hitlera traktaty, które tak bardzo cenił, okazały się świstkiem papieru. We wrześniu 1938 na konferencji monachijskiej, Francja i Anglia, chcące ratować za wszelką cenę pokój, uczyniły Czechosłowację łupem III Rzeszy.

Przegrany i upokorzony Benesz zaakceptował dyktat. Tłumaczył, że nie chciał „prowadzić narodu na rzeź w tej osamotnionej wojnie”. Zaraz po tym zrzekł się prezydentury i udał na Zachód, na emigrację. Wrócił do roli odgrywanej w czasie I wojny światowej, tzn. na nowo podjął walkę o odbudowanie niepodległej Czechosłowacji. Nie miał łatwo, ale po raz drugi dopiął swego, co ciekawe, popełniając stare błędy, czyli nadmiernie ufając wielkim mocarstwom, zwłaszcza sowieckiemu dyktatorowi, Józefowi Stalinowi, który umiejętnie wprzągł go do rydwanu swojej imperialnej polityki, mającej na celu skomunizowanie całej Europy wschodniej i środkowej.

• **Edward Benesz, prezydent Czechosłowacji, zdjęcie z 1935 roku**
FOT. ZBIORY NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Dla dobrych relacji ze Stalinem Benesz zaprzepaścił ostatnią, jak się wydaje, szansę zablokowania sowietyzacji tego regionu Europy. Zerwał porozumienie, zawarte w listopadzie 1940 z rządem gen. Władysława Sikorskiego o utworzeniu polsko-czechosłowackiej konfederacji. Nie ma pewności, że zahamowałaby ona ekspansję Stalina, ale bez wątpienia bardzo utrudniłaby mu grę. Jednak wiązało się z tym spore ryzyko, którego Benesz wolał uniknąć.

Pozornie wygrał, powracając w 1945 roku z Londynu do Pragi jako prezydent niepodległej Czechosłowacji. Cieszył się tym sukcesem znacznie krócej niż w poprzedniej odsłonie dziejów. W lutym 1948 Stalin podporządkował sobie Pragę jeszcze brutalniej niż Hitler po Monachium. Benesz, podobnie jak w 1938, zrzekł się prezydentury. Złamany fizycznie i psychicznie zmarł kilka miesięcy później, 3 września 1948.

Od tej pory trwa gorący spór o jego postawę. Będzie on dzielił Czechów jeszcze bardzo długo, a kolejne pokolenia dopiszą do niego własne rozdziały. Te kontrowersje ujmy Beneszowi nie przynoszą. Są świadectwem jego nieprzeciętności, bo tylko miernoty szybko pokrywa kurz zapomnienia. ●

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

Edward Benesz. Polityk z Europy Środkowej

Andrzej Krawczyk
Universitas
2025

eprasa.pl 86b7bc0612

MY, NIEMCY, OFIARY WOJNY

W niemieckim podręczniku do historii agresji na Polskę we wrześniu 1939 roku poświęcono zaledwie 11 linijek, a alianckim bombardowaniom prawie cztery strony.

Kamil Frymark

Artykuł jest skróconą wersją rozdziału książki „W służbie przyszłości" wydanej przez Ośrodek Studiów Wschodnich w grudniu 2025 roku pod redakcją Anny Kwiatkowskiej.

Mimo rosnącej roli nowych technologii to nie platformy społecznościowe, lecz podręczniki wciąż porządkują szkolną wiedzę o przeszłości. Co więcej, w epoce dezinformacji i algorytmów podsuwających młodzieży coraz bardziej skrajne treści podręczniki do historii stają się jednymi z ostatnich stabilnych i najczęściej wiarygodnych źródeł wiedzy. Dlatego to, co w nich jest – i czego w nich nie ma – ma ogromne znaczenie. Zarazem są one sejsmografem polityki historycznej.

Niemieckie bardzo dobrze pokazują, co w pamięci RFN – zwłaszcza tej o XX wieku – jest najważniejsze: koncentracja wokół Holokaustu i dyktatury narodowego socjalizmu. W tej narracji ofiarami są przede wszystkim Żydzi oraz... Niemcy – przedstawiani nierzadko jako społeczeństwo zniewolone, zastraszone, uwikłane w system. A reszta Europy? Polacy, Ukraińcy, Białorusini czy sowieccy cywile pojawiają się rzadko i tylko wtedy, gdy jest to konieczne.

Żydowsko-niemiecki publicysta Ralph Giordano już dekady temu pisał o „hierarchii ofiar" występującej w niemieckiej polityce historycznej: pierwsze miejsce zajmują w niej Żydzi i mieszkańcy Europy Zachodniej, dopiero na dalszych są ofiary ze Wschodu. Ta hierarchia jest w niemieckich podręcznikach nadal dobrze widoczna, nawet jeśli gdzieniegdzie widać próby jej przełamywania.

SPRAWA „OBECNIE KONTROWERSYJNA"

Przeanalizowaliśmy podręczniki z serii „Horizonte" wydawnictwa Westermann przeznaczone do nauczania historii w gimnazjach w dwóch landach – Berlinie i Brandenburgii. Pod uwagę wzięliśmy trzy tomy: pierwszy wydany w 2016 roku, przeznaczony dla klas siódmych i ósmych, wprowadza uczniów w epokę nowożytną oraz przemiany prowadzące do wydarzeń XIX wieku. Kolejne dwa, z 2018 roku, skupiają się na historii XX wieku. A także podstawę programową do nauczania historii dla Berlina, Brandenburgii oraz Meklemburgii-Pomorza Przedniego.

Wyłaniający się z niemieckich podręczników obraz Polski, Francji i Izraela jest zróżnicowany. W przypadku Izraela oś narracji tworzą Żydzi i Holokaust. Po 1948 roku Izrael pojawia się przede wszystkim jako aktor konfliktu bliskowschodniego, z ograniczoną uwagą poświęconą przemianom społecznym, gospodarce czy życiu społeczności żydowskiej w RFN. Najbardziej rozbudowane miejsce zajmuje zaś Francja – częściowo z racji jej roli w historii Europy, ale także ze względu na szczególną pozycję w polityce Niemiec. Jest ona alternatywnie wzorem, partnerem i przeciwnikiem, obiektem fascynacji i niechęci. Ale jest obecna.

W przypadku Polski uderza natomiast brak głębszego zainteresowania. Definiowana przez rząd RFN Polska jako strategiczny partner, a niekiedy przyjaciel, pojawia się na kartach niemieckich podręczników wyłącznie, gdy nie da się jej pominąć – przy opisie wybuchu II wojny światowej, czasem przy omawianiu podziału Europy po 1945 roku – ale rzadko w innych miejscach.

Jednym z uderzających przykładów nieobecności Polski na lekcjach historii jest kwestia rozbiorów. Uczeń siódmej i ósmej klasy widzi jedynie mapę „podbojów Fryderyka II" przedstawianego jako reformatora i modernizatora Prus. Ekspansja terytorialna, która kosztowała życie setek tysięcy ludzi, określana jest w podręcznikach jedynie jako „obecnie kontrowersyjna", a krytyka ogranicza się do kwestii wewnątrz pruskich.

Jednym z nielicznych fragmentów, w których Polska pojawia się w roli partnera Niemiec, jest opis Wielkiej Emigracji po powstaniu listopadowym i solidarności z Polakami podczas Hambacher Fest – wolnościowego zrywu Niemców, w którym uczestniczyli również Polacy.

SYMETRYZM PO NIEMIECKU

W podręczniku z Brandenburgii wojna obronna Polski we wrześniu 1939 roku została ujęta bardzo skrótowo – w zaledwie 11 linijkach – i przedstawiona powierzchownie. Szczególnie problematyczne jest sformułowanie, że Związek Radziecki wkroczył „dopiero po kapitulacji Polski", co jest błędem faktograficznym i zafałszowuje kontekst paktu Ribbentrop-Mołotow. Nie pojawia się nazwa „Katyń", a zbrodnię NKWD opisano ogólnikowo, bez wskazania jej skali i znaczenia; nie podano też, że w wyniku niemieckiej okupacji zginęło około sześciu milionów obywateli Polski.

Rażący jest brak wzmianki o powstaniu w getcie warszawskim, powstaniu warszawskim i zniszczeniu stolicy, jak również o skali strat ludności cywilnej i zniszczeń materialnych. Choć okupacja Polski została omówiona na osobnej stronie, a jedno ze zdjęć – egzekucję polskich cywilów – opatrzono rzetelnym podpisem, narracja koncentruje się głównie na aspektach administracyjno-kulturowych, marginalizując wymiar terroru, pracy przymusowej, wywózek do obozów i systemowej polityki wyniszczania.

W badanych materiałach – co charakterystyczne dla niemieckiej polityki historycznej – szczególnie wyeksponowano cierpienia niemieckiej ludności cywilnej: temat alianckich bombardowań zajmuje niemal cztery strony, z licznymi ćwiczeniami, danymi o 600 tysiącach ofiar i zniszczeniu czterech milionów domów oraz rozbudowanymi, emocjonalnymi opisami codziennych trudów (wspomina się schrony, noce w piwnicach, utratę mieszkań i dobytku). Towarzyszy temu narracja o wojennych problemach społecznych w Niemczech – rozłąkach, nieobecnych ojcach, pracy matek w fabrykach – budująca obraz społeczeństwa cierpiącego, zaangażowanego, a zarazem w dużej mierze nieświadomego zbrodni.

Równie jednostronnie ujęto problem oporu: przedstawiono go jako zjawisko istniejące „od początku" Trzeciej Rzeszy, niemal wyłącznie w wydaniu niemieckim, z konkretnymi nazwiskami i środowiskami. Ruchy oporu w innych krajach – w tym w Polsce – zredukowano do jednego zdania o „partyzantce", a następnie zestawiono z brutalnymi represjami okupanta stwierdzeniem, że „obie strony dopuszczały się wielkich okropieństw", co prowadzi do nieuprawnionej symetrii i zatarcia granicy między sprawcą a ofiarą.

NOWA NIEMIECKA MŁODZIEŻ

Nie jest tak, że historia w Niemczech odeszła do lamusa i nie ma dla kogo pisać nowych, poprawionych wydań podręczników. Niemiecka młodzież jest zainteresowana historią. Tak deklaruje 47 proc. z nich w badaniach przeprowadzonych przez Uniwersytet w Bielefeldzie, Memo Studien z 2023 rok. Co więcej, 53 proc. lubi ten przedmiot w szkole. Problemy – a tym samym potrzeba korekty niemieckiego podejścia – zaczynają się, gdy zajrzymy głębiej.

W tych samych badaniach dowiemy się, że 20 proc. młodych Niemców uważa, iż ich przodkowie byli ofiarami w trakcie drugiej wojny światowej, a 15 proc., że ich przodkowie pomagali ofiarom. Jeżeli już zapytamy o te ofiary, to się okaże, że byli to przede wszystkim Żydzi (88 proc.), a następnie osoby chore i z niepełnosprawnościami (40 proc.), Romowie (31 proc.), homoseksualiści (24 proc.), osoby pochodzenia niearyjskiego (14 proc.), prześladowani politycznie (8 proc.), przeciwnicy reżimu (7 proc.), specyficzne grupy narodowościowe (3 proc.). Polaków szukać ze świeczką.

Na kształt świadomości młodego pokolenia nie wpływają jednak tylko podręczniki. Nie bez znaczenia jest także zmieniająca się struktura etniczna uczniów. Zgodnie ze spisem ludności z 2023 roku 41 proc. nastolatków w szkołach ogólnokształcących i zawodowych w RFN ma tak zwane pochodzenie migracyjne, a w roku szkolnym 2024/2025 1,9 mln z około 11,4 mln uczniów (16 proc.) nie posiadało niemieckiego obywatelstwa. Uczniowie, których rodzice pochodzą z Syrii, Turcji czy Afganistanu, wnoszą odmienną pamięć i wrażliwość historyczną. To właśnie na styku tych doświadczeń z niemiecką narracją o drugiej wojnie światowej i Holokauście dochodzi dziś do najostrzejszych sporów – zarówno na lekcjach, jak i w relacjach z rodzicami.

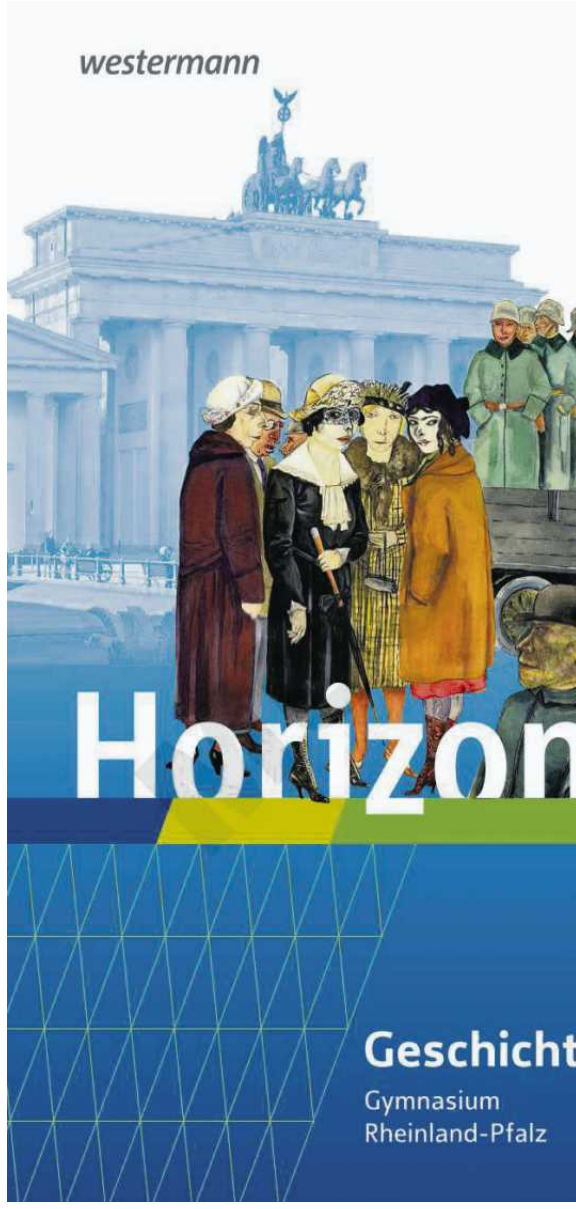

• **Okładki dwóch badanych niemieckich podręczników do historii z serii „Horizonte"**
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

AFD CHCE „ZMIAN W KULTURZE PAMIĘCI"

Napięcia te ujawniły się szczególnie po ataku Hamasu na Izrael w październiku 2023 roku i izraelskiej odpowiedzi. W wielu niemieckich szkołach doszło wówczas do aktów antysemityzmu i otwartych konfliktów wokół zajęć poświęconych historii Żydów, wizyt w muzeach czy dyskusji o współczesnym Izraelu. Podobne problemy – choć na mniejszą skalę – pojawiły się wokół wojny Rosji przeciwko Ukrainie, zwłaszcza w klasach, w których znaczną część uczniów stanowią dzieci z rosyjskojęzycznych rodzin. Dla nauczycieli oznacza to konieczność prowadzenia lekcji historii w coraz bardziej spolaryzowanym środowisku, zarazem przy ograniczonych zasobach i rosnącym braku kadry.

Na kontekst demograficzny nakładają się zmiany polityczne. Coraz poważniejszym wyzwaniem dla edukacji historycznej jest rosnąca w siłę skrajnie prawicowa partia AfD. Jej lider w Turyngii Björn Höcke domaga się „zmiany o 180 stopni w kulturze pamięci", wzywa do „pozytywnego stosunku do przeszłości" i przedstawia istniejącą pamięć o zbrodniach nazistowskich jako efekt „reedukacji" po 1945 roku. Określenie berlińskiego Pomnika Pomordowanych Żydów Europy mianem „pomnika wstydu" dobrze oddaje ten kierunek myślenia, wcale

eprasa.pl 86b7bc0612

nieodosobniony w partii. Ewentualne przejęcie władzy przez AfD w landach wschodnich w przyszłorocznych wyborach w Saksonii-Anhalt, a partia cieszy się poparciem ponad 40 proc. badanych, otworzyłoby drogę do ograniczenia finansowania miejsc pamięci, rewizji podstaw programowych i wywierania presji na wydawnictwa przygotowujące podręczniki.

KOREKTA JEST MOŻLIWA

Konsekwencje deficytów wiedzy o Europie Środkowo-Wschodniej i wypaczonego obrazu regionu nie ograniczają się tylko do polityki wewnętrznej. Franziska Davies i Katja Makhotina w książce „Offene Wunden Osteuropas” (Otwarte rany Europy Wschodniej) przekonują, że słaba znajomość historii wschodnich sąsiadów – a właściwie brak zainteresowania tą częścią Europy – przyczyniła się po 2014 roku do odmowy udzielenia jednoznacznej i efektywnej pomocy Ukrainie. Dopiero pełnoskalowa agresja przeciwko Kijowowi w 2022 roku wymusiła korektę tego stanowiska – i to z opóźnieniem. Pytanie badaczek, czy Niemcy rzeczywiście wyciągnęły właściwe lekcje z katastrofy drugiej wojny światowej i jak to możliwe, że po ponad 80 latach tak mało wiedzą choćby o powstaniu warszawskim, prowadzi z powrotem do edukacji historycznej.

Zmiana obrazu Polski w niemieckich podręcznikach i szerzej, w niemieckim społeczeństwie, jest możliwa, ale wymaga długotrwałego, systemowego podejścia i zaangażowania wielu aktorów. Konieczny jest stały dialog z władzami landowymi odpowiedzialnymi za edukację – zwłaszcza w Berlinie i Brandenburgii, ale także w Saksonii – obejmujący zarówno programy nauczania, jak i same podręczniki czy infrastrukturę miejsc pamięci. Wsparcia potrzebują grupy zawodowe odpowiadające za przekazywanie wiedzy: edukatorzy muzealni, autorzy materiałów dydaktycznych, a przede wszystkim nauczyciele. Bez ich zainteresowania i kompetencji nawet najlepiej napisany podręcznik nie zmieni praktyki szkolnej.

Z perspektywy niemieckiej lepsze zrozumienie dziejów Polski i regionu oznacza większą odporność na rosyjską dezinformację i bardziej realistyczne spojrzenie na wschodnią politykę bezpieczeństwa. W tym sensie korekta obrazu Polski w podręcznikach do historii nie jest dobrodusznym gestem wobec sąsiada, lecz inwestycją w jakość niemieckiej debaty publicznej i w bezpieczeństwo samej RFN. ●

Śródtytuły od redakcji.

Kamil Frymark

• analityk ds. polityki wewnętrznej w Zespole Niemiec i Europy Północnej w Ośrodku Studiów Wschodnich. Wcześniej był szefem działu Europa w „Portalu Spraw Zagranicznych”. Uczestniczył w międzynarodowych projektach badawczych, w tym w ramach Think Visegrad. Odbył staże badawcze m.in. w Georg-Eckert-Institut w Brunszwiku. Publikuje w „Więzi”, „Tygodniku Powszechnym”, „Forbes Polska”. Absolwent stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Warszawskim, studiował również na Wolnym Uniwersytecie Berlińskim.

Okruchy historii

Fake Konfederacji

Wbrew twierdzeniom niektórych polityków prawicy nie ma dowodów na to, że akcji „Wisła” była konieczna.

Motyka

Przeglądając internet, można łatwo natknąć się na opinie rozpowszechniane przez niektórych posłów Konfederacji, jakoby akta zgromadzone w Centralnym Archiwum Wojskowym (CAW) potwierdzały konieczność przeprowadzenia w 1947 roku akcji „Wisła”. To klasyczny fake, czyli jak mówi słownikowa definicja tego słowa: „coś nieprawdziwego, co ma udawać coś prawdziwego”. Bo z lektury materiałów zgromadzonych w CAW wynika coś wręcz odwrotnego.

W rozkazach dotyczących przeprowadzenia akcji, czy jak kto woli operacji „Wisła”, jest mowa, że jej celem było „zniszczenie band” oraz „pomoc w wysiedleniach”. Oba te zadania od początku traktowano niby łącznie i równoważnie, jednak jak wynika ze sprawozdań i meldunków w pierwszym okresie, główny wysiłek skupiono na wywózkach ludności ukraińskiej i „mieszanej”, czyli rodzin polsko-ukraińskich. Dopiero po miesiącu prowadzenia intensywnych wysiedleń i przekształceniu Bieszczadów oraz Pogórza Przemyskiego w pustynię gros sił wojskowych przesunięto do zadań przeciwpartyzanckich. Czerwcowe obławy oddziałów Wojska Polskiego przyniosły w końcu rezultat, zmuszając formacje UPA do przebicia się na zachód lub na Ukrainę. Wcześniej upowcy tylko z rzadka staczali przypadkowe potyczki. W miarę spokojnie leżakując w lasach, by zabić nudę, rozegrali nawet turniej szachowy...

Usprawiedliwiający przymusowe wysiedlenia powołują się na ustawę z 30 marca 1939 roku „O wycofaniu urzędów, ludności i mienia z zagrożonych obszarów Państwa”, która niby stworzyła prawne podstawy do takiego rozwiązania. Na poparcie tej hipotezy przytaczają wypowiedź gen. Stefana Mossora z 20 lutego 1947 roku, wygłoszoną w trakcie obrad Wojewódzkiego Komitetu Bezpieczeństwa w Krakowie. Było to ciało, które koordynowało zwalczanie podziemia i Polskiego Stronnictwa Ludowego. Jednak wypowiedź Mossora, jak pokazuje lektura sprawozdania z tego posiedzenia przechowywana w CAW, dotyczyła rodzin członków polskiego, a nie ukraińskiego podziemia!

Wnioski z narady w województwie krakowskim przedstawiono w 12 punktach. W pierwszych kilku Mossor entuzjastycznie zwracał uwagę, że władze „skutecznie przełamały na wsi kręgosłup wpływów PSL”, zachęcając jednocześnie do kontynuowania akcji politycznej i zwalczania podziemia. Dopiero w punkcie 6 podniósł problem „resztek ukraińskich”, które należało na wiosnę wysiedlić „pojedynczymi rodzinami w rozproszeniu na całych Ziemiach Odzyskanych, gdzie szybko się zasymilują”. Przygotowana lista tych „pozostałości” liczyła 4876 rodzin, 20 306 ludzi.

W kolejnych punktach narady Mossor omawiał sprawę przejmowania przez komunistów ruchu harcerskiego, przestrzegał przed przyjmowaniem w szeregi partii rządowych byłych członków PSL, pochylił się też nad prośbą lokalnych działaczy, by pozostawić w województwie krakowskim i rzeszowskim duże siły przeciwpartyzanckie. I ledwie w punkcie 11 zajął się sprawą „oddziałania na rodziny aktywnych bandytów”. Zwrócił przy tym uwagę, że istnieje „przedwojenna ustawa, która zezwala starostom powiatów pogranicznych wysiedlać rodziny, których działalność jest szkodliwa dla państwa. Na podstawie tej ustawy można by właśnie z powiatów najgorszych pod względem bandytyzmu wysiedlić rodziny aktywnych członków band”. W tym celu zalecił szefowi krakowskiego UB przygotowanie „szczegółowej listy takich rodzin”, co umożliwiłoby oficjalne zgłoszenie tego postulatu do Ministra Administracji Publicznej. Ponieważ listy ukraińskie były już przygotowane, w grę mogły wchodzić w sposób oczywisty tylko rodziny polskie, głównie związane z oddziałem Józefa Kurasia „Ognia”.

Wiadomo, że już jesienią 1946 roku komuniści dokonali masowych aresztowań na Podhalu, wywołując panikę i plotki o nadchodzącej „wywózce na Sybir”. Do planowanych przez Mossora wysiedleń Polaków z Podhala nie doszło, bo dzień po naradzie, 21 lutego 1947 roku, „Ogień” został otoczony w Ostrowsku i nie chcąc dostać się w ręce UB, popełnił samobójstwo.

Z pomysłu wywózek niewygodnych dla partii komunistycznej Polaków Mossor jednak nie zrezygnował. Już w czasie akcji „Wisła” nakazał do transportów z ludnością ukraińską dołączać Polaków „przegniłych wskutek propagandy PSL i NSZ”. Dokumenty wojskowe potwierdzają, że operacja „Wisła” była deportacją i zbrodnią komunistyczną w rozumieniu ustawy o IPN – nie dajmy się nabierać na dezinformację! ●

Prof. Grzegorz Motyka
– historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

eprasa.pl 86b7bc0612

• **David Flay, australijski zoolog i konserwator przyrody z dziobakiem – bohaterem niecodziennej akcji dyplomatycznej z 1943 roku**
FOT. AUSTRALIAN MUSEUM

SPRAWA DZIOBAKA WINSTONA

To szczególny rodzaj dyplomacji, który stosowali zarówno komuniści, z Mao i Chruszczowem na czele, jak i najwięksi monarchowie świata.

Robert Stefanicki

Marzec 1943 roku. Na Wyspach Brytyjskich był to czas masowej mobilizacji, niedoborów i lęku przed niemieckimi nalotami, naznaczony kilkoma traumatycznymi zdarzeniami.

Odgłos nowych rakiet przeciwlotniczych wywołał panikę na londyńskiej stacji metra Bethnal Green, wskutek czego 183 osoby zostały zadeptane. Włoska korweta u wybrzeży Sycylii zatopiła okręt podwodny HMS „Thunderbolt" z całą załogą. Dwa tygodnie później poległo 379 marynarzy, gdy w zatoce Firth of Clyde przypadkowa eksplozja zniszczyła lotniskowiec HMS „Dasher".

W tym samym czasie premier Winston Churchill wysłał prośbę do premiera Australii Johna Curtina o przysłanie mu sześciu dziobaków.

REJS ŚCIŚLE TAJNY

Świat zawsze fascynował się tym dziwadłem. Ssak składający skórzaste gadzie jaja, z pyskiem i nogami kaczki, ciałem przypominającym wydrę i ogonem bobra oraz jadowitym żądłem na piętach tylnych nóg samców.

Kiedy pierwszy wypchany dziobak trafił do Anglii pod koniec XVIII wieku, naukowcy, którzy go badali, uznali, że takie zwierzę nie ma prawa istnieć.

Dotychczas tylko jeden żywy egzemplarz opuścił Australię i w 1922 roku trafił do ogrodu zoologicznego w Nowym Jorku. Przeżył 49 dni. Później władze australijskie zabroniły wywozu dziobaków. Ale dla Churchilla postanowiono zrobić wyjątek w nadziei na to, że prezent pozwoli mu przychylniej podejść do apeli o wsparcie militarne w walce z Japończykami na Pacyfiku.

Australijski zoolog i konserwator przyrody David Fleay, największy na świecie ekspert od dziobaków (w listopadzie 1943 roku po raz pierwszy uda mu się je rozmnożyć w niewoli), nie krył irytacji. „Wyobraźcie sobie, że człowiek obarczony taką odpowiedzialnością jak Churchill, w sytuacji, gdy ludzkość jest na krawędzi zagłady w Europie i Azji, znajduje czas, żeby zapragnąć posiadania pół tuzina dziobaków" – napisał w swojej książce z 1980 roku pt. „Paradoxical Platypus" (Paradoksalny dziobak).

Fleay przekonał polityków, aby zamiast sześciu stekowców oddać jednego. Schwytano go w rzece niedaleko Melbourne i ochrzczono imieniem Winston.

Operacja była utrzymywana w tajemnicy. Rząd w Canberze chciał uniknąć protestów obrońców przyrody oraz ewentualnej krytyki na wypadek porażki przy transporcie zwierzęcia na drugi koniec świata. Na statku zbudowano dla niego dziobakarium z norami wyłożonymi sianem i świeżą wodą z australijskiego strumienia. Zgromadzono zapas 50 tys. robaków i krem z kaczych jaj na deser. Był też opiekun, który miał doglądać Winstona podczas 45-dniowej podróży.

Stosowne przygotowania podjęła również strona brytyjska. W londyńskim zoo zbudowano sztuczne siedlisko mające naśladować przytulne nory nadbrzeżne, w których dziobaki składają jaja i karmią młode. Zamierzano trzymać zwierzę w ciszy i odosobnieniu, a odwiedziny ciekawskich ograniczyć do godziny dziennie. Przygotowano też do publikacji ogłoszenie, które obiecywało młodym chłopcom wynagrodzenie za łapanie i dostarczanie robaków dla Winstona.

21 września statek MV „Port Phillip" wyruszył z Melbourne. Przepłynął Pacyfik i przez Kanał Panamski dostał się na Ocean Atlantycki. W listopadzie, cztery dni żeglugi od portu w Liverpoolu, wydarzyła się tragedia: Winston został znaleziony martwy.

„Jego utrata jest dla mnie wielkim rozczarowaniem" – napisał Churchill do ministra spraw zagranicznych Australii Herberta Evatta. Brytyjski premier kazał imiennika wypchać i ustawił go na półce w swoim biurze. Incydent próbowano utrzymać w sekrecie, ale w końcu w gazetach zaczęły się pojawiać doniesienia o śmierci Winstona. Winę zrzucono na nazistów: australijski statek po drodze miał się natknąć na niemieckiego U-Boota, doszło do serii eksplozji, a dziobak zmarł wskutek stresu.

„Niewielkie zwierzę wyposażone w unerwiony, niezwykle wrażliwy dziób, zdolny wykryć nawet delikatne ruchy larwy komara wijącej się na dnie strumienia w ciemnościach nocy, nie jest w stanie poradzić sobie z tak potężnym szokiem – napisał David Fleay. – Było oczywiste, że gdyby nie nieszczęścia wojny, piękny, zdrowy i obiecujący dziobak zapisałby się w historii jako pierwszy okaz tego gatunku, który zamieszkał w Anglii".

Dopiero niedawno – opisała to BBC – odkryto prawdziwą przyczynę zgonu Winstona.

Badacze z Uniwersytetu Sydney w dzienniku opiekuna dziobaka wyczytali, że w czasie podróży dzienne racje żywnościowe Winstona zmniejszono z 750 do 600 robaków, bo te zaczęły umierać. Poinformowany o tym australijski parlament przekazał Churchillowi, że Winston, jak się przypuszcza, osłabł z powodu braku pożywienia, co obniżyło jego „witalność" i uczyniło bardziej podatnym na wibracje wskutek wybuchów bomb głębinowych.

Wątpliwe jednak, czy takie eksplozje w ogóle miały miejsce. Harrison Croft, doktorant Uniwersytetu Monash, w archiwach w Canberze i Londynie znalazł dokumenty załogi statku, w tym wyniki sekcji zwłok dziobaka i wywiad z jego opiekunem. Załoga była pewna, że nie doszło do wybuchów, na pokładzie panowały spokój i cisza.

Kluczem do rozwiązania zagadki okazały się temperatury wody i powietrza notowane na statku rano i wieczorem. Nawet w tych chłodniejszych godzinach, gdy przez mniej więcej tydzień statek przebywał w okolicy równika, były znacznie powyżej 27 C – co obecnie uznaje się za bezpieczny próg dla dziobaka. Z perspektywy czasu – oraz dodatkowych 80 lat badań naukowych nad tym gatunkiem – australijscy badacze uznali, że choć nie można całkowicie wykluczyć szoku wywołanego przez okręt podwodny, to Winston został praktycznie ugotowany żywcem.

2 RP

eprasa.pl 86b7bc0612

PRZYRODNIK CHURCHILL

Po co Churchillowi dziobak? Polityk przez całe życie fascynował się hodowlą egzotycznych zwierząt i uprawą roślin. Podczas podróży po Indiach i Afryce Wschodniej, gdy miał 20 lat, zainteresował się kolekcjonowaniem motyli i polowaniem. W 1922 roku kupił posiadłość Chartwell House i zaczął tam rozwijać ogrody i hodowlę zwierząt, w tym ryb i ptaków. Prowadził również obszerną korespondencję na temat swoich ulubionych czarnych łabędzi oraz białych kangurów darowanych mu przez Australię.

Miał też lwa imieniem Rota, którego najpierw wygrał w zakładzie George Thompson, biznesmen i jeden z członków Londyńskiego Towarzystwa Zoologicznego. Thompson przed wojną pracował dla niemieckiej fabryki maszyn do druku rotacyjnego Rotaprint, zwierzę było więc maskotką i reklamą firmy. W 1943 roku Thompson w imieniu zoologów podarował drapieżnika Churchillowi, aby upamiętnić zwycięstwa armii brytyjskiej w Afryce Północnej. Lew przez jakiś czas przebywał w klatce na terenie posiadłości Churchilla, potem został przeniesiony do londyńskiego zoo. Kiedy zmarł 12 lat później, okazało się, że umowa darowizny stanowiła, iż martwy lew wraca do darczyńcy. Thompson go wypchał i sprzedał amerykańskiemu biznesmenowi. Teraz Rotę można oglądać w muzeum na Florydzie.

Natalie Lawrence, filozofka biologii z Uniwersytetu Cambridge, w pracy „Premier i dziobak: paradoks na wojnie” (2011) pisze, że w przypadku dziobaka Churchillowi chodziło o coś więcej niż tylko o kolejne trofeum. Zdobycie zwierzęcia dotychczas niewidzianego w Europie w środku wojennej polityki oszczędności podniosłoby morale społeczeństwa. Dziobak miał się stać maskotką całego narodu.

Ponadto – uważa Lawrence – przydałby Brytyjczykom autorytetu w debacie taksonomicznej, jaka toczyła się przez cały XIX wiek pomiędzy francuskimi i brytyjskimi filozofami przyrody: czy to ssak, czy gad i do jakiej gromady należy go zaliczyć. Chociaż w połowie XX wieku kwestia ta została ustalona, nadal spierano się o szczegóły życia dziobaków, np. nigdy jeszcze nie zaobserwowano ich rozmnażania.

BEZCZELNA LAFIRYNDA PENELOPE

Dziobak Winston oddał życie na ołtarzu polityki. W 1942 roku stosunki między Wielką Brytanią a (niedawno uwolnioną z formalnej zależności od Korony) Australią były napięte. Australijczycy z coraz większym wysiłkiem stawiali opór Japończykom w Azji Południowo-Wschodniej i obawiali się inwazji na swój kraj. Rząd Churchilla uznawał to za mało prawdopodobne, bardziej przejmował się stosunkami z Waszyngtonem i wojną na Atlantyku. Dlatego premier Curtin nalegał na wycofanie wojsk australijskich z Europy. Po wysłaniu dziobaka Churchill w końcu uwzględnił prośby Australii o pomoc wojskową: wysłał tam swoje okręty wojenne i najnowszy model myśliwca Spitfire.

W 1947 roku Australia podjęła kolejną próbę dziobakowej dyplomacji. Po pierwszym udanym rozmnożeniu w niewoli – wyczynu, którego nie powtórzono przez kolejne 50 lat – David Fleay przekonał rząd, aby przekazać trzy sztuki do zoo w Bronksie. To symboliczne podziękowanie Amerykanom za pomoc podczas wojny miało zacieśnić więzi między narodami.

25 kwietnia Betty, Penelope i Cecil opuścili pokład statku w Bostonie i pojechali limuzyną do Nowego Jorku, gdzie czekał ambasador Australii, aby ceremonialnie nakarmić ich pierwszym robakiem. Dziobaki były prawdziwymi ambasadorami – w zoo ulokowano je pod ojczystą flagą, przyciągały ponad 4 tys. gości dziennie i stały się pretekstem do wielu pozytywnych artykułów na temat Australii w amerykańskiej prasie.

Betty zmarła wkrótce po przybyciu, ale Penelope i Cecil stali się celebrytami. Planowano „ślub”, brukowce obsesyjnie śledziły każdy ich ruch. Tiffanie Turnbull z BBC wspomina, że „podczas gdy Cecil był chory z miłości, Penelope najwyraźniej miała jej dosyć”. W mediach przedstawiano samicę jako „bezczelną lafiryndę”, „jedną z tych kobiet, które lubią trzymać samca na smyczy”. Aż w 1953 roku para przeżyła czterodniowy romans opisany jako „całonocne orgie miłości” podsycane „ogromnymi ilościami raków i robaków”.

Penelope wkrótce zaczęła budować gniazdo, a ludzkość z niecierpliwością wyczekiwała jej potomstwa – byłyby to zaledwie drugie dziobaki rozmnożone w niewoli i pierwsze poza Australią. „Po czterech miesiącach traktowania jak księżniczka, z podwójnymi racjami żywnościowymi, opiekunowie sprawdzili jej gniazdo na oczach tłumu podekscytowanych reporterów. Ale nie znaleźli żadnych dzieci – tylko niezadowoloną Penelope, którą natychmiast oskarżono o symulowanie ciąży, aby zdobyć więcej robaków” – opisuje Turnbull.

Cztery lata później Penelope zniknęła ze swojego wybiegu. Po tygodniach poszukiwań zoo uznało ją za „przypuszczalnie zaginioną i prawdopodobnie martwą”. Dzień po odwołaniu poszukiwań Cecil zmarł – z powodu „złamanego serca”, jak uznały media.

Wkrótce Australia zaostrzyła przepis zakazujący wywozu dziobaków. Jedyne dwa, które opuściły kraj od tamtej pory, od 2019 roku mieszkają w zoo w San Diego.

ZWIERZĘCA DYPLOMACJA

Dar Australii dla Churchilla wpisuje się w długą tradycję dyplomacji zwierzęcej. Arystokratyczne menażerie i parki łowieckie były powszechne od czasów średniowiecza. Początkowo większość okazów pochodziła z darów od innych władców – przykładem XVI-wieczna kolekcja Ferdynanda Medyceusza – a później z łowów na podbitych terytoriach. Francuscy historycy zoologii Eric Baratay i Elisabeth Hardouin-Fugier uznali przywłaszczanie zwierząt za symbol kolonizacji. Oswojony i czasami zbuntowany słoń był emblematem brytyjskich Indii. Wiele wczesnych ogrodów zoologicznych rozwinęło tę symbolikę, eksponując zwierzęta w ikonicznej architekturze ich kraju pochodzenia, a nawet obok „tubylców” ludzkich.

W 1252 roku londyńczycy mogli podziwiać białego niedźwiedzia z założonym kagańcem i przykutego łańcuchem, pływającego w Tamizie w pobliżu Tower of London. Był to dar dla Henryka III od króla Norwegii. Henryk trzymał w Tower menażerię rzadkich zwierząt, w tym trzy lwy podarowane przez cesarza Fryderyka II oraz słonia od króla Francji.

Jednak pierwszym znanym przypadkiem użycia zwierząt w dyplomacji zdaje się żyrafa podarowana przez Kleopatrę Juliuszowi Cezarowi w 46 roku p.n.e., choć można to też uznać za prezent dla kochanka. Rzymianie nazwali ją „wielbłądzim leopardem” (camelopardalis). Jedno z podań sugeruje, że Cezar nakarmił nią lwy przed widownią w Koloseum.

Więcej szczęścia miała żyrafa, którą osmański wicekról Egiptu Mehmet Ali Pasza dał w prezencie królowi Francji Karolowi X. W 1826 roku popłynęła zmodyfikowanym statkiem z otworem na szyję wyciętym w pokładzie do Marsylii, skąd pieszo, w specjalnych butach i kurtce chroniącej przed zimnem, pokonała 900 km do Paryża. Towarzyszyły jej trzy krowy, które dostarczały 25 litrów mleka dziennie. W stolicy Francji powitał ją 30-tysięczny tłum, została przedstawiona królowi i przez kolejne 18 lat mieszkała w paryskim ogrodzie botanicznym. Prasa nadała jej przydomek „Piękna Afrykanka”. Tkaniny z cętkowanym wzorem stały się wówczas niezwykle modne, a kobiety domagały się wysokich, „żyrafich” fryzur.

> Pandy służą też do karania za złe zachowanie. Kiedy Biały Dom ogłosił zamiar spotkania Baracka Obamy z Dalajlamą, młody miś urodzony w zoo w Waszyngtonie musiał pakować się z powrotem do Chin

PANDA W PREZENCIE

Najsławniejszymi czworonożnymi dyplomatami są pandy. W roku 685 cesarzowa Wu Zetian z dynastii Tang podarowała parę tych zwierząt Japonii. Do tego pomysłu powrócono w XX wieku. W 1941 roku żona Czang Kaj-szeka wysłała dwie pandy do zoo w nowojorskim Bronksie, by podziękować Amerykanom za pomoc w czasie wojny z Japończykami. Chińska partia komunistyczna, która pod koniec tamtej dekady objęła rządy w Pekinie, z obdarowywania pandami uczyniła dyplomatyczny rytuał. Zaraz po dojściu do władzy Mao Zedong podarował je swoim sojusznikom: Korei Północnej i Związkowi Radzieckiemu. W 1972 roku, gdy doszło do głośnej wizyty prezydenta Richarda Nixona, para pand przybyła do zoo w Waszyngtonie. Pozazdrościł ich rząd brytyjski i również, dwa lata później, wyprosił dwie sztuki.

W 2008 roku Pekin podarował pandy Tajwanowi, gdzie do władzy wróciła partia Kuomintang dążąca do pojednania z Chinami. Wcześniejszy rząd suwerennościowej Partii Demokratycznego Postępu odrzucił dar. Żeby nikomu nie umknęło polityczne znaczenie gestu, parę nazwano Tuan Tuan i Yuan Yuan – połączenie tych słów oznacza „zjednoczenie”.

Xi Jinping osobiście zatwierdza każdą taką umowę. Australia, Francja i Kanada otrzymały pandy po wydaniu zgody na sprzedaż Chinom technologii jądrowych. Szkocja przyjęła parkę w następstwie umów o udostępnieniu techniki odwiertów morskich i eksporcie łososia. Singapur i Malezja dostały je, gdy Stowarzyszenie Narodów Azji Południowo-Wschodniej ASEAN podpisało porozumienie o wolnym handlu z ChRL.

Pandy służą też do karania za złe zachowanie. Kiedy Biały Dom ogłosił zamiar spotkania prezydenta Baracka Obamy z Dalajlamą, młody miś urodzony w zoo w Waszyngtonie musiał się pakować w drogę powrotną do Chin. Bo we wszystkich umowach wynajmu pand jest klauzula, że każde młode urodzone za granicą pozostaje własnością państwa chińskiego.

PUSZINKA OD I SEKRETARZA

Wróćmy jeszcze do Australii, która nie ograniczała się tylko do dziobaków. Kolejnym ambasadorem zostało zwierzę bardziej urodziwe: koala. Jeszcze w 1983 roku ówczesny federalny minister turystyki John Brown robił, co mógł, aby Australia przestała być kojarzona z tym, jak publicznie oświadczył, „małym, zepsutym stworzeniem”, które „ma pchły, sika na ciebie, śmierdzi i drapie”. Na nic. Najbardziej pamiętne zdjęcia ze szczytu G20 w Brisbane w listopadzie 2014 roku przedstawiały światowych przywódców kolejno trzymających koalę. Julie Bishop, ówczesna minister spraw zagranicznych Australii, uznała przytulanie koali za jeden z najważniejszych elementów strategii miękkiej siły swojego kraju.

Australia wykorzystuje też inne zwierzęta jako prezenty dyplomatyczne, np. brytyjski książę Jerzy otrzymał od niej trzy krokodyle. Tyleż koali zostało wypożyczonych do zoo w Singapurze, aby uczcić 50. rocznicę stosunków dyplomatycznych między oboma krajami. Z kolei prezydent Indonezji Suharto w latach 80. przekazał singapurskiemu przywódcy Lee Kuan Yew smoki z Komodo; później taki sam dar otrzymał prezydent USA George H.W. Bush.

W Azji najczęściej przekazuje się słonie: Ho Chi Minh, ówczesny przywódca Wietnamu, wysyłał je Mao Zedongowi, to samo robiły Indie i Sri Lanka.

Dyplomację zwierzęcą uprawia też Rosja. W 2013 roku ówczesny premier Dmitrij Miedwiediew podarował prezydent Finlandii Tarji Halonen syberyjskiego kociaka. Publicznie znana była jej miłość do kotów i żal po śmierci dwóch pupilów. Kilka dekad wcześniej Chruszczow po pogawędce z Jacqueline Kennedy o Strielce – jednym z pierwszych psów wysłanych przez ZSRR w kosmos – wysłał Kennedym szczeniaka Strielki o imieniu Puszinka, która stała się ulubionym zwierzęciem całej rodziny.

„The Telegraph” napisał, że królowa Elżbieta II otrzymała tak wiele zwierzęcych prezentów, iż mogłaby otworzyć własne zoo. Oficjalna strona internetowa Royal Collection Trust wymienia 36 takich darowizn: świnie, hipopotamy, łabędzie, kangury, tukany, leniwce, pancernika, słonia z Kamerunu o imieniu Jumbo i kilka gigantycznych żółwi. Najpopularniejszym prezentem były ukochane przez Elżbietę konie, począwszy od araba podarowanego jej przez króla Iraku Faisala z okazji koronacji w 1953 roku. Trzy lata później Związek Radziecki też podarował królowej ogiera i dorzucił trzymiesięcznego niedźwiedzia dla księżniczki Anny.

Kłopotliwy prezent sprawiła Kompania Zatoki Hudsona. Kiedy w 1670 roku Karol II nadał jej przywilej polowania i sprzedaży bobrów, kompania zobowiązała się do wręczania dwóch skór bobrowych i dwóch głów łosi każdemu królowi angielskiemu, który pojawi się w okolicy. Elżbieta II odwiedziła Kanadę w 1970 roku i otrzymała w prezencie dwa żywe bobry. Kiedy się pochyliła, żeby je obejrzeć, oddawały się kopulacji.

– Co one robią? – zapytała.

– Proszę pani, nie ma sensu mnie pytać – powiedział wicehrabia Derick Heathcoat-Amory, ówczesny prezes kompanii. – Jestem kawalerem. ●

eprasa.pl 86b7bc0612

weekendówka 189

TAJEMNICA TAJEMNIC

Trzy walce, zwane też rotorami, miały po obu stronach 26 styków połączonych w skomplikowany sposób. Przez ułożone jeden obok drugiego rotory płynął prąd z klawiatury do żarówek z literami, umieszczonych nad klawiaturą. Szyfrant wpisywał jawny tekst na klawiaturze, a z podświetlanych żarówek odczytywał litery zaszyfrowanej depeszy. Kolejność przyporządkowania żarówek do klawiszy zależała od wzajemnego ustawienia walców. Po każdym naciśnięciu klawisza na klawiaturze pierwszy walec obracał się o jedną literę (co zmieniało przypisanie liter z klawiatury do tych na żarówkach), a po wykonaniu pełnego obrotu obracał następny walec. Nawet jeśli w depeszy powtarzały się litery, to w zaszyfrowanej wiadomości kodowane były różnymi znakami.

Tak działanie Enigmy – niemieckiej maszyny szyfrującej – opisywał w „Gazecie Wyborczej" (12.04.2019) Marcin Bójko. Nazwa, którą inżynier Arthur Scherbius ochrzcił swoje dzieło była bardzo adekwatna. Enigma, czyli po grecku zagadka, zagadkę stanowiła istotnie. Liczba wszystkich możliwych kombinacji ustawień maszyny standardowo wyposażonej w trzy rotory wynosiła niemal... 159 kwintylionów.

Dotychczas metody dekryptażu oparte były na lingwistyce: gdy znało się język wiadomości, w zaszyfrowanym tekście wychwytywało się charakterystyczne tegoż cechy.

Ale przy Enigmie lingwiści byli bezradni. Potrzeba było matematyków. Mariana Rejewskiego, Henryka Zygalskiego i Jerzego Różyckiego oraz kilkunastu swoich najzdolniejszych studentów wybrał prof. Zdzisław Krygowski, kierownik katedry matematyki Uniwersytetu Poznańskiego. Wszyscy przeszli kurs kryptologii. Potem wspomniana trójka trafiła do ekspozytury Biura Szyfrów w Poznaniu, ale o Enigmie powiedziano im już po przenosinach do Warszawy, do siedziby Biura. Tam, a następnie w Pyrach pod Warszawą rozwiązali „Zagadkę". Rejewski opracował m.in. urządzenie zwane cyklometrem (wyliczało permutacje cykli szyfrogramów), dziełem Zygalskiego był system perforowanych płacht rozkodowujących szyfrogramy zaś Różyckiego metoda zegara, ułatwiająca odtworzenie ustawień maszyny.

Pierwszą depeszę udało się rozkodować pod koniec grudnia 1932, w styczniu 1933 metodę usystematyzowano. W 1939 roku, latem, w obliczu zbliżającego się ataku Niemiec na Polskę, wszelkie materiały przekazaliśmy aliantom. Ocenia się, że odkrycia polskich matematyków skróciły wojnę o jakieś dwa lata.

25 stycznia Wydział Matematyki i Informatyki Uniwersytetu w Poznaniu ustanowił Dzień Kryptologii. Zaś w 2021 r w tym mieście powstało interaktywne Centrum Szyfrów Enigma. Dzisiejsza „Weekendówka" jest więc „zakodowana", ale na pewno sobie z nią poradzicie! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

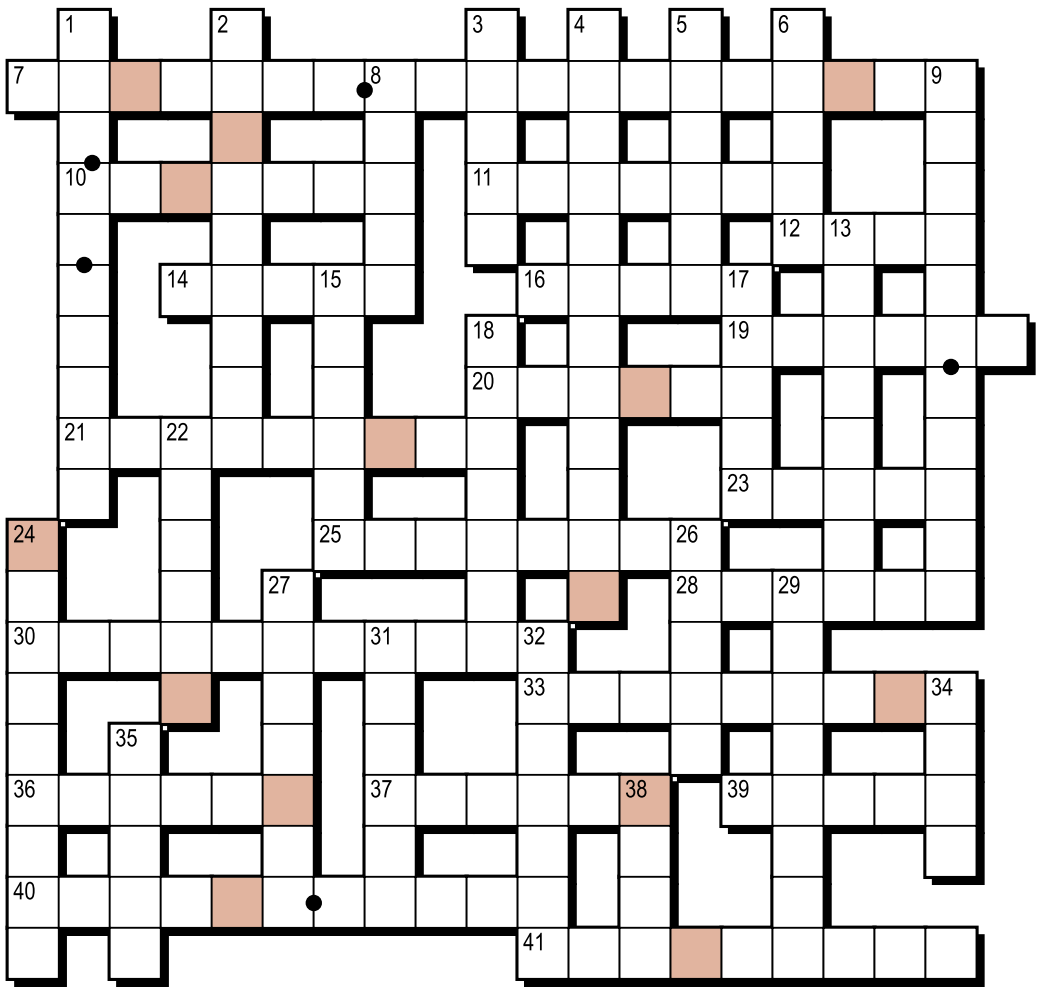

SZYFRY I KODY
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
7) komedia z takimi tajnymi hasłami i odzewami jak „Żyrafy wchodzą do szafy" i „Pawiany wchodzą na ściany"
10) urządzenie na klatce schodowej (podaj kod, wciśnij kluczyk)
11) w niej zadania dla uczestników gry terenowej
12) ... końca świata, podobno jest zaszyfrowana na malowidle „Ostatnia Wieczerza"
14) w duecie z loginem
16) ... Szyc, w obsadzie serialu „Tajemnica twierdzy szyfrów"
19) ... losowych liter, cyfr, znaków specjalnych – w haśle odpornym na przypadkowe odgadnięcie
20) dotykowe – w bankomatach (PIN + zielony)
21) przypuszczony przez hakera
23) można je wykorzystać np. do nadania wiadomości alfabetem Morse'a
25) np. kasiarz plądrujący sejfy
28) ruchy wykonywane dyskami krypteksu – urządzenia kojarzonego z powieścią z określenia 1 pionowo
30) żartobliwie o czymś bardzo skomplikowanym, zawiłym (jak zaklęcie)
33) badacz, uczony, tęga głowa
36) tu kryptonimy, szyfry, kontakty, inwigilacje to chleb powszedni
37) niemiecka maszyna szyfrująca z czasów II wojny światowej
39) do zamykania drzwi, walizek, szuflad (przyda się klucz)
40) rzecz zupełnie dla kogoś niezrozumiała
41) Marian Rejewski, Jerzy Różycki lub Henryk Zygalski

Pionowo:
1) tytuł ekranizacji bestselerowej powieści Dana Browna
2) do bankowości elektronicznej – nierzadko kilkuetapowe
3) alfanumeryczne – na klawiaturze komputera, smartfona
4) wiedza o szyfrach, sposobach ich tworzenia i rozwiązywania
5) włączają się, np. gdy nieupoważnieni podadzą niewłaściwy kod dostępu
6) rozpoznanie prowadzone w terenie, np. przed skokiem na bank
8) ktoś włamał mi się na ...!
9) pokoje zagadek (trzeba się nieźle nagłówkować, żeby ukończyć misję na czas)
13) od A do Z
15) ... kodów (mistrz deszyfracji)
17) szereg cyfr lub innych znaków, których znajomość umożliwia otworzenie specjalnego zamka
18) ... do telewizji naziemnej
22) jednym z jego wrogów jest Riddler – Człowiek-Zagadka
24) forsuje zabezpieczenia, by obrabować skarbiec
26) zadanie szaradziarskie, np. ...-szyfr (odmiana krzyżówki)
27) tajemnica do rozwikłania
29) matematyczne, z wieloma niewiadomymi
31) organ wywiadu i kontrwywiadu dowództwa niemieckich sił zbrojnych, utworzony w 1925 r.
32) np. wyraz „sekret" względem słowa „kretes"
34) zestaw kolejnych czynności (iteracji) zmierzających np. do odczytania szyfru
35) „... tajemnic", sztuka teatralna Antoniego Cwojdzińskiego
38) czyjaś silna strona, cenna zaleta, np. bystrość umysłu

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 188 z 17.01:

Poziomo:
6) rock 8) Zawsze tam gdzie ty 10) Nana 11) trasa 12) witryna 14) Zostawcie Titanica 16) pole 17) Zdrada 18) list 20) kawa 23) niebo 25) Warszawa 26) piosenka 28) To co mam 31) rzecz 32) Międzyzdroje 34) Tacy sami 35) Ohyda 36) Jezus

Pionowo:
1) Mała wojna 2) festiwal 3) latanie 4) mgła 5) Kilimandżaro 6) Ryby 7) cuda 9) skaut 13) wiara 15) cel 16) Panas 19) stworzenia 20) kompozycja 21) wokalista 22) usta 24) wstyd 27) obcy 29) Madame 30) mrok 33) los.

Hasło: ZAMKI NA PIASKU

Kraj/34414082

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store

1 RP

eprasa.pl 86b7bc0612